

FRANCISZEK MORAWSKI

Z WALKI DWÓCH DUCHÓW

SŁOWO WSTĘPNE. GENUĘNCZYK
W POZNANIU. RACHUNEK SUMIE-
NIA. SEN HAKATYSTY. DZIECI PO-
ZNAŃSKIE. ŚWIATŁO KRESOWE.
Z ROLI WIELKOPOLSKIEJ. MAN-
KIETNICY W POZNANIU. O PO-
DZIAŁ W ZYSKACH. JAK POLACY
KRYTYKUJĄ. ROMAN SZYMAŃ-
SKI. REALIZM ZACHODNIO-POL-
SKI. PRUSSIENS ET POLONAIS.
PROPOS PRUSSIENS. DER KOM-
----- MENDE TAG. -----

Franciszek Morawski

KRAKÓW

NAKLAD DRAKARNI W. L. ANCZYCA I SP.

1909





323.

22062

SŁOWO WSTĘPNE

Nie łatwo ręką skowanym chwycić za pióro,
i ustom zbolełym mówić swój żal.

Były narody, od Łaby do Odry, z których zostało tylko imię i karty próżne w księdze dziejów,
ludy nie zmarłe śmiercią własną, ludy wytępione.

Tych bóle przerosły miarę ich sił. Śmierć je skosiła, morze niepamięci pokrywa tajemnicę ich przeznaczenia, ich wiarę, nadzieje, miłości, ich czyny i walki i śpiewy.

O miedzę od nas pomały tą głuchą śmiercią.
Na niemych kurhanach zbudował wróg swoje grody, a z krwi pomordowanych zaczerpnął soki swego życia i siły.

I nie ustał na chwilę przez wieki, do dziś.
Po strasznym żniwie Geronów, Henryków, Ottonów kośba szła dalej. Przyszli Krzyżacy i filozof z Sanssouci i żelazny kanclerz i uśmiechnięci biesiadnicy uczt w Liebenbergu.

Od lat tysiąca szli tamci, idą ci, jedną falą,
wieczną chęcią, przyrodzonym parciem na wschód.

Zawsze ci sami. Z mieczem w dłoni i hasłem oświaty na ustach.

Ale innym od owych pomarłych jest lud, któremu po nich narzucili swe pęta. Bratni on tamtym i z rodu powinowaty, jak one uległ, lecz nie umarł.

Bo ma w sobie prócz własnej siły, jeszcze rdzeń tej, którą śpiewa kolenda, że przed nią moc truchleje. Nie zginął, bo narody chrześcijańskie nie giną, ale cierpiał i cierpi nad zwykłą ludzką miarę, ponad tę, co wewnętrznie słabszym byłaby stanowiła granicę życia.

Więc żyje przeciw spodziewaniu tępicielei, przeciw ich liczbom i zamysłom. Owszem, pojony jadem, a żywiony goryczą, wzmógł się w sposób iście cudowny. Po każdej burzy zakwita na nowo, coraz bujniej i plenniej.

A moc patrzy i truchleje, lecz nie ustaje. Bo i ona ma w sobie rdzeń ponad przyrodzenie. Rdzeń tej siły, co wiecznie zaprzecza, co nadczołowieka wznosząc do bóstwa, depcze prawa i Boże i ludzkie.

Widzimy tę moc, jak miasto się cofać, odrzuca przykazania rozumu i wzmaga się potęgą nadludzkiego czaru. Rośnie, olbrzymieje w nawałę straszliwą, co pokrywa ziemię i zakrywa nam niebo. Zieje nienawiścią wieków, grzmi i huczy piorunami gniewu, coraz sroższa i okropniejsza.

Ponad walczącymi ludami walczą dwa pierwiastki odwieczne.

Ich prawa rządzą w obu szykach. Te, co rządzi naszym, zakresła nam razem i kierunek i sposób obrony. Uczy zaś doświadczeniem naszej własnej przeszłości.

Prawdą, cierpliwością i pracą stały się te cuda, które dziś zdwajają napór zdumionego wroga. Pod znakiem tych samych haseł przetrwamy próby nowe, tak ciężkie, że, sądząc po ludzku, nie są do przetrwania.

Widzimy je, nadchodzące z zewnątrz, okropne, przerażające. A jednak ta ich zewnętrzna strona jeszcze nie jest tem, co w nich najgorsze. Ona nie zmoże nas, byle nie zmoгла druga, wewnętrzna. Nie zmoże napaść, byle nie zmoгла pokusa.

Stoi wróg w szyku naprzeciw naszej gromadzie. Znamy go oddawna, mierzyliśmy się z nim nieraz. Nowe kolubryny wytacza, ale i dawne były kiedyś nowymi i nie wygrały. Ten szyk wrogi nas nie zabije.

Lecz moce, którym on się zapisał, co mu służą i co go wiedą w bój, one mają sprzymierzeńców, płody swego ducha. Te wślizgują się w nasz obóz, nieuchwytnie, a czynne i pracują, by go zamieszać i osłabić. Powstają wpośród nas mary i widziadła i złudy. Jedne straszą, drugie grożą,

inne ludzą. Do ucha szeptce pokusa o nowej broni, lepszej od dawnej, do serca wtlacza się nienawiść, burzy się krewkość, to znów ogarnia zwątpienie i ukazuje widmo zdrady, jątrząc braci na braci.

Ten wróg wewnętrzny, to groza prawdziwa. Jego odżegnać całą siłą, oto zadatek zwycięstwa. Jeszcze on pokusą, jeszcze podszeptem, jeszcze nie grzechem.

I zostanie pokusą. Nie rozdwoi, nie omami, nie zamąci. Przenigdy nas nie nauczy swych kunsztów szatańskich. Na gwałt nie odpowiemy gwałtem, na bezprawie bezprawiem, na hipokryzyę spiżkiem. Ale wiarą ojców naszych i pracą doświadczonego pokolenia i cierpliwością przywykłych do boleści i mądrością sprawną, a pogodną, wśród nawalnicy.

Tak przetrwamy. Tak jedynie możemy przetrwać. Oto zasada przez ogół uznana, lecz, choć koniecznym, choć postanowionym, jakże trudnym w niej bezustanny czyn. Ileż trudniejszym od bohaterstwa, lub szalu chwili, w napięciu podnieconych nerwów! On walką o czas, o trwanie, bojem żmudnym, codziennym, on troską, on obmyślaniami chłodnym, mimo krew kipiącą w sercu. On ciągłą naprawą szkód już poczynionych, leczeniem ran już zadanych.

Tych ciosów, co nie chybiły, odczuwamy dziś

dużo. Jednym z najgorszych to ten, co dotknął naszą młodzież. Od lat szkoła nie jest, czem być powinna, jest areną polityczną. Od lat wrogi nam system podkopuje w dzieciach karność i trzebi w nich wiarę

Nie ludźmy się, nie zamykajmy oczu na smutną prawdę.

Takie nauczanie, jakie jest u nas, nie może nie wnieść rozstroju w młode dusze. Ono dało nam już owoc jaskrawy i widoczny: bezrobocie szkolne, czyli rzecz złą, nieszczęście i podmiot dalszego złego. Były w niem chwile wstrętne i rozdzierające serce. Rozpacz naszych biednych, nieszczęsnych dzieci obudziła litość na szerokim świecie. Płakały matki aż w zamorskich krajach nad dolą tych najsłabszych, a myśl się wzdryga na wspomnienie zejść okropnych w domu nauki, wiedzy i światła.

Nie mogło nie być tragedii szkolnej, jak nie może nie zajęknąć harfa, targana ręką barbarzyńca. Ale ten jęk jest także rozdzwiękiem, budzącym dalsze echa złowrogie. Jest czemś przeciw naturze, wpędzanie dzieci w niedziecinne sprawy, potworne czynienie z nich starców bez miary starości.

Ten grzech przeciw przyrodzeniu odbija się na tych, co go wywołali. Nienawiścią z ich posiewu, a trwałą na życie, jak wszystko, co się

wryje w duszę za lat młodości. Ale odbije się i na nas.

To pokolenie, co tak straszną boleścią rozpoczęło swe istnienie, będzie nie łatwem do wychowania społecznego. Duch przeczenia, zbudzony w niem, nie przez nas, odezwie się kiedyś także przeciw nam. Dość zgubnych wiatrów wieje z wschodu i zachodu, niosąc zarazę. Przeciw niej nie zaprawi młodzi naszego ludu wychowanie publiczne. Swoim więc przekazany serdeczny obowiązek pieczy zdwojonej, by snąć stojącym na wyłomie z własnej macierzy nie zrodził się wróg.

To jedna groza. Lecz nie ją jedną przyjdzie nam zażegnać. Oto druga jeszcze bardziej bezpośrednia. Bo gdy przed ową dzieci trzeba krzepić na przyszłość, ta w teraźniejszości gotuje nam zasadzki.

Smagają nas, biczą naszą dumę, depcą świętości, i nawet nietykalne asylum ogniska domowego skazane jest na zabór. Gniazdu rodzinnemu nie przebaczą, a helotom o swej niewoli nie ma być wolno radzić własną mową. Czyż znanym jest w dziejach naród, co dołą podobną zniósł w spokoju ducha?

Nie tak gospodarzyli Austriacy w Lombardyi, a jednak studnie im zatruwano i błyskał sztylet w nocnym zaułku. I wszędzie, gdzie na szerokim

świecie, naród gnębi naród, ten gnębiony wyznaje ewangelie zemsty.

Tu właśnie jest dla nas próba. Co drudzy czynią, nie nam czynić, lecz słuchać swojego zakonu. On sprawił, że żyjemy, choć śmierć nam pisano tyle razy, on puklerzem naszym i tarczą, wypróbowaną zdawna i do dni ostatnich. I on znów nas wyratuje, byle wiernie w nim wytrwać. Bo w nim istota i treść naszego jestestwa narodowego, zrosła z naszą naturą, odpowiednia naszym właściwościom. Jesteśmy bardzo mądrymi, dopóki w nim zostajemy, słabszymi od kogokolwiek, ilekroć go przekraczamy. Ni emigracya, ni bunt, ni gwałt, ni zemsta jałowa, ni czcze okrzyki, lecz ufność w pomoc Bożą i dostrojenie się roztropne do chwili — oto nasz zakon. Jego owocem jest to, że straciwszy przed stu laty niemal wszystko, mamy dziś tyle do stracenia, nawet w treści może więcej, niż wówczas.

Zachodnie kresy, od gór szlązkich do Bałtyku, to bogactwo wielkie, zasób poważny, to dziś najtreściwsza część Polski, najdojrzała w swym całokształcie. Tak jest niezbiecie, choć nie kwitną w niej muzy i płone w niej pole do wytworności języka i myśli.

Lecz dobytku jest dużo. Nietylko tego, co się liczy na monetę, ale i duchowego. To społeczeństwo posunięte w swym wychowaniu dalej niż ogół

z pod innych zaborów. Tam więcej kwiatów, tu więcej owoców. Tam korona bujniejsza, tu korzeń zdrowszy.

Spoglądającym poza siebie, na drogę przebytą, cierpienia zniesione i dzieła stworzone, rośnie świadomość, że na kresach zachodnich zasobów jest wiele i utrwala się doświadczenie, że znieść potrafimy nawet przeciwności sprawniej, niż się po nas spodziewają wrogowie i niż ci tuszą z pośród nas samych, których duch zgorzkniał.

Przeto działać nam trzeba, nie jak idącym na stracenie, lecz jako tym, co mają w swem ręku zadatek przyszłości.

Grożą nam chwile trudne, cierpliwości próby wielkie, sztuki uchylania się przed ciosami egzamin walny. Zniesiemy te chwile, okażemy tę cierpliwość, zdamy ten egzamin. Zawsze znajdują się sposoby obrony mądrej, choć nie głośniejszej, szczególnie wobec naporu głośnego a niemądrego. I pokolenie nasze, chcąc dobrze wychować następne, wprawdzie samo stwierdzi własną wytrawność.

* * *

Powyższe uwagi nie są i nie mają być podręcznikiem dla uciśnionych, ni receptą do użytku gnębiętego kraju. One są sprawozdaniem, są obrazem istniejącego stanu usposobień. Tak na zacho-

dnich kresach Polacy myślą i mówią. Nie wszyscy, lecz tylu, że nie wolno nam wątpić o wytrwaniu ludności naszej w dotychczasowym rodzaju obrony. Mówię, rodzaju, bo sposoby i środki muszą się zmieniać w miarę zmiennych napaści. Ale się nie zatraci ten rodzaj wypróbowany, to znamie ogólne, to hasło życia, nie śmierci, rozwoju, mimo wszystko, a nie stosów ofiarnych. Jest więc sam obrazem ten wstęp do szeregu obrazów i szkiców z życia, zawartych w niniejszej książce.

Rok temu ukazała się w druku jej poprzedniczka p. t. »Z zachodnich kresów« a łaskawe przyjęcie przez polską publiczność i przez krytykę trzech zaborów zachęciło autora do wydania obecnie drugiej wiązanki wspomnień i wrażeń z ostatniej doby. Jak wtedy, tak teraz z rozpraw odrębnych złożyła się całość, różnaita w swej treści i formie, lecz jedna swą myślą przewodnią i tłem ogólnem. I znów, jak wówczas, bezpośrednią podniecię do wydawnictwa dało poczucie, że wobec szybkiego biegu zdarzeń i niepewności jutra zapiski z dnia przechowują nastrój i koloryt chwili i stanowią mogą skromny przyczynek dla badających później dzieje prześladowania na zachodnich kresach.

GENUEŃCZYK W POZNANIU
(SZKIC Z OSTATNICH CHWIL PRZED UCHWALENIEM
USTAWY O WYWŁASZCZENIU).

Poczta przyniosła mi list niepowszedni. Signor Amedeo T., właściciel dużych zakładów przemysłowych pod Genuą, w którego willi doznałem przed dwoma laty najmielszej gościnności, zapowiadał mi swój przyjazd do Poznania.

Pisał, że, jadąc dla interesów do Rosyi, pragnie spełnić daną obietnicę i odwiedzić mnie w przejeździe *nella casa sua*.

Istotnie! Obietnica była dana, ale tak sobie, przy pożegnaniu, na dworcu kolei. Nie wierzyłem wówczas w jej spełnienie.

Tem miłszą była niespodzianka. Syn pięknej Italii na smutnej północy wielkopolskiej, to gość rzadki. Ciekawość, jak się w jego łacińskim oku odbijają ludzie nasi i rzeczy i sprawy.

Nazajutrz przyjechał pociągiem berlińskim. Poznałem go z daleka, gdy wyskoczył z wagonu pierwszej klasy, ale nie poznałem, gdy po wstępnych powitaniach wybuchnął całym szeregiem ognistych pochwał na cześć wielkich, potężnych, znakomitych Prus.

— Przepraszam Pana — zawołał, siadając do samochodu, mającego nas odwieźć do miasta — wiem, że wam tu nie wesoło i że niejedno wam

dokucza, ale to, co teraz przez miesiąc oglądałem, tak mnie po prostu upoiło, że muszę się panu koniecznie wypowiedzieć.

I spowiadał się przez cały wieczór z istnie południową żywością.

Był rzeczywiście upojonym. Przemawiał, jak w zachwycie. Roztaczał przedemną barwne obrazy dzieł pruskich pokoleń, od wielkiego Elektora i starego Fritza do Steina, Bismarcka i Wilhelma II. Chwalił energię rządzących, karność rządzonych, porządki administracji, rozwój handlu, przemysłu, sławił moc i dzielność i rozmach światowy pruskiego geniusza, chwalił wszystko i wszystkich, nawet socyalistów w przeciwieństwie do czerwonych braci w innych krajach, nad Sprewą spokojnych, roztropnych ludzi do rzeczy i do rady.

A gdy tak mówił, wspominałem pewien wieczór po dniu upalnym, na rozkosznym wybrzeżu Liguryi. U stóp marmurowej terasy łagodnie tuliły się ciche fale, a niebo i morze i białe posągi i krasne powoje wiszących ogrodów, promieniały w czerwono-złotym blasku, ginącego w ametystowej toni słońca. Wtedy pan tego cudnego zakątku świata, wyciągnął rękę ku wodom śródziemnym i marzył głośno przedemną, o zmartwychwstaniu łacińskiej przeszłości, o skupieniu znowu, jak dawniej, wokoło tego lustra Amfitryty wielkich środowisk ludzkiej pracy i myśli.

— Tu — mówił wówczas — było serce świata i znów być powinno, stąd niech czerpie podniecie kultura przyszłych pokoleń, tu święcić się będzie drugie odrodzenie, po wiekowym pomroku ger-

mańskich tryumfów, po brutalnem władaniu ducha północnych barbarzyńców.

Polskę nazwał wtedy *la dolce sorella* Boskiej Italii, siostrą wiecznie stęsknioną ze swych śnieżnych krain, ku słodyczom Południa.

A teraz! przysłuchiwałem się peanom nuconym z tych samych ust o kraju *pikelhauby* i *leberwurstu*. Odmieniono mi mojego Włocha, jakby zaklęciem czarodziejskiem.

Więc postanowiłem się trochę zemścić i zauważyłem od niechcenia:

— Poszlij pan sprawozdanie ze swych wrażeń medyolańskiemu *Pensiero latino*. Wiem, że jako wybitny członek ligi łacińskiej, jesteś przyjacielem tego pisma:

Signor Amedeo uśmiechnął się i odrzekł wesoło:

— Przyznaję, że fantazyja uniosła mnie za daleko, obetnijmy jej więc skrzydła.

I zaczął się rozwodzić nad wrażeniami ujemnymi, jakich mu również dostarczył pobyt w Prusiech.

— Odniosłem ich dużo — zapewniał — a wszystkie one dotyczą braku estetyki w tym dziwnym narodzie. Bo Prusacy są stanowczo osobnym narodem w wielkiej rodzinie germańskiej. Najdzielniejszym, ale też najmniej pięknym. Co za typy, jakie ciężkie, niezgrabne postacie snują się po ulicach ogromnego Berlina. A budynki, a posągi! Prawdziwa rozpacz! Przytem widać dużo dobrej woli. Ci ludzie pragną sztuki, wydają na nią dużo pieniędzy. Cesarz zagrzewa, jest na swój sposób róż-



wnocześnie Augustem i Mecenatem. A jednak, cóż za marne wyniki. Widocznie piaski brandenburskie nie są glebą urodzajną dla dążeń artystycznych. Postawili nam w Giardino Borghese Goethego. Otóż myśl grzeczna i Goethe wielki, ale pomnik taki nieładny. Pokolenia wyrosłe na piwie i *sauerkraucie*, lepiejby porzuciły to niewdzięczne dla nich pole sztuki, pozostając w dziedzinie właściwej, rozwoju, potęgi i mocy. W niej ich przyszłość, w niej tryumfy, dla nas łacinników niebezpieczne, ale tak rzetelne i prawdziwe, że nie mogę im szczędzić swego uznania.

To mówiąc, wydobył notatnik z kieszeni i zaczął określać na podstawie cyfr ogromne postępy przemysłu i hadlu niemieckiego w ostatnich latach:

— Sama Francya straciła w roku ubiegłym przez współzawodnictwo niemieckie trzysta milionów obrotu handlowego. To, panie, ubytek kilkudziesięciu milionów czystego zysku! My w Genui dobrze wiemy z własnego doświadczenia, jak rośnie wywóz niemiecki. A u nas przecież także odrodzenie ekonomiczne. Ileż gorszem położenie takiej Rosyi wobec przemożnego sąsiada.

Sięgnął znów do kieszeni i wydobył fotografię.

Oto najdoskonalszy statek pasażerski na świecie, *Kronprinzessin Cecilie*. Stanowi on rekord w swej dziedzinie. Zbudowali go Prusacy, a pozawczoraj widziałem go, jak odpływał po raz pierwszy do Ameryki. To powodzenie na morzu jest środkiem do nowej wielkości, ale jest zarazem wynikiem ogromnego zasobu pracy i energii na polu we-

wnętrznego rozwoju kraju. Jedno z drugiego wykwita, łączy się powodzenie z powodzeniem, owoce rozumu i wytrwałości stają się coraz obfitszymi.

— Czy nie zechcesz pan ocenić ich u nas? — przerwałem.

— I owszem — brzmiała odpowiedź — nadzwyczaj zaciekawia mnie spór polsko-niemiecki. Wiem o nim coś nie coś od pana, a słyszałem także niejedno od Niemców berlińskich. Ale nie zastąpi naocznego zbadania. Mam przed sobą trzy dni wolne. Poświęcę je najchętniej na małą wycieczkę w Poznańskie, pod pańskim przewodnictwem.

Stało na tem, że następne przedpołudnie poświęcimy przechadzce po mieście, a potem wyruszymy na wieś.

Zanim jednak udaliśmy się na spoczynek, zapytałem go jeszcze, z jakimi to Niemcami rozmawiał o Księstwie. Pokazało się, że byli to panowie z berlińskiej *haute finance*. Wśród wyliczonych mi nazwisk stwierdziłem dwa o brzmieniu mocno hakatystycznym.

— Nie macie w nich przyjaciół — zapewniał Signor Amedeo — postanowili zniemczyć was za każdą cenę. Szkoda, szkoda biednego, nieszczęśliwego narodu. Podobno teraz kwestya Polska w Prusiech ma zostać ostatecznie załatwioną. Wasza bohaterska garstka będzie niezadługo tylko wspomnieniem.

To mówiąc westchnął, widocznie szczerze zmartwiony.

Było późno, więc nie próbowałem już pro-

słować pojęć, nabytych przez mego gościa w tak podejrzanem źródle. Wręczyłem mu tylko do poduszki krótkie liczbowe zestawienie najważniejszych danych, dotyczących polskiego stanu posiadania w Prusiech. Zestawienie to przygotowałem na wszelki wypadek po odebraniu jego listu. Nie grzeszyło ono zresztą optymizmem, boć doprawdy, trudno Polakowi w Prusiech dziś być optymistą. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy nazajutrz rano, mój Włoch sam przyszedł mnie zbudzić i, trzymając moją kartkę w ręku, zawołał wesoło:

— A to figlarz z pana. Ja śpiewałem cały wieczór *requiem!* Polakom, a pan słuchałeś cierpliwie, dając mi odprawę dopiero tym oto memoryałem. Ależ to zupełnie inna sprawa, niż myślałem. *Evviva la Polonia invincibile!*

Tę nagłą zmianę swych zapatrywań wytłumaczył mi mój gość natychmiast.

Najpierw oświadczył, że nie miał pojęcia o rzeczywistej liczbie Polaków w Prusiech.

— Prawie cztery miliony, to poważny zastęp. Teraz przypominam sobie, że tę samą liczbę słyszałem z ust pańskich w swoim czasie w Genui, ale wyznaję, że pomieślałem wtedy dane, udzielone mi o Polakach w Prusiech z tem, co mi pan mówiłeś o swych ziomkach z innych zaborów. W Berlinie zaś nie wymieniono mi cyfr żadnych, powiedziano tylko ogólnikowo, że większa część waszego ludu jest już zniemczoną i że tylko agitatorowie wzbudzają sztucznie w pozostałej reszcie poczucie polskie.

Tak mówił Signor Amedeo, ja zaś stwierdzi-

łem ponownie głęboką znajomość duszy pruskiej, okazaną przez wielkiego ironistę parlamentarnego Eugeniusza Richtera, gdy nazwał wymowę pruskich narodowców podwójnem lustrem. W domu dla swoich odkrywa się stronę smutną. Straszne obrazy ukazują się oczom patrzących. Wojna nadciąga, trzeba pieniędzy na wojsko. Polacy są groźną potęgą, trzeba pieniędzy przeciw Polakom. Chwieją się podwaliny państwa, trzeba praw społecznych coraz ostrzejszych i surowszych. Za to dla obcych przeznaczona jest odwrotna strona lustra. W niej same obrazy różowe, jasne, jak poranek wiosenny. Wojsko zapewnia pokój wieczny, Polakom potrzeba już tylko trochę ojcowskiego skarcenia, by przejęli się ostatecznie pruską kulturą. Wszystko piękne, wszędzie dobrze, na pogodnem niebie znikają ostatnie chmurki.

To porównanie Richtera można jeszcze uzupełnić. Uczy nas bowiem doświadczenie, że niekiedy zwykły porządek bywa zmienianym, wesołe lustro oglądają swoi, a ponure obcy. Zazwyczaj jednak domowe kłopoty zachowane są dla oczu domowników.

I tak było tym razem. Włochowi nie podawano w Berlinie cyfr wprost fałszywych, lecz zaostrzono go na drogę ogólnikami, dającymi fałszywy obraz położenia w dzielnicach prusko-polskich. Stąd jego zdziwienie, gdy się dowiedział, jak liczną jest nasza ludność, ile jeszcze posiada ziemi, jakie związki zarobkowe i społeczne, ile gazet, ilu przedstawicieli w trzech izbach berlińskich. Czytał te wszystkie dane z moich zapisków ciągle zazna-

czając, że wcale nie spodziewał się tak poważnego zasobu sił polskich w Prusiech.

A potem dodał:

— Świat jest duży i sprawy na nim z daleka maleją. U nas wszyscy czytali o sporach polsko-niemieckich. Pisano o dzieciach z Wrześni, a niedawno, o bezrobociu szkolnem. Ale te wieści i wrażenia przelotne, giną wśród innych. Nie ustala ich świadomość istotnego stanu rzeczy. Szkoda! Bo jak już widzę, to sprawa ciekawsza i ważniejsza od tylu innych znanych nam lepiej np. alzackiej, duńskiej lub katalońskiej. Lecz *per Bacco* idźmy teraz obejrzyć ją z blizka.

Wyszliśmy na miasto. Signor Amedeo pilnie zważał na końcówki nazwisk firm kupieckich. Kończące się na *ski* zaliczał do polskich, inne do niemieckich. Nie próbowałem rozszerzyć jego językoznastwa objaśnieniem, że końcówki nazwisk polskich są wielce rozmaite. Znalazł się bowiem lepszy sposób pokazania cudzoziemcowi, jak często właśnie na polu językowym mylą u nas pozory.

Gość objawił zamiar załatwienia sprawunków. Zaprowadziłem go więc do kilku naszych kupców o nazwiskach czysto niemieckich, a potem pokazałem mu szereg firm germańskich o brzmieniu polskiem, opatrzonych typową dla obcych końcówką *ski*. Dodałem, że w całej wschodniej połowie państwa, nie wyłączając Berlina, polskie nazwiska u szczerých Niemców są bardzo częste.

Signor Amedeo kiwał głową i zaczął ubolewać nad temi zamianami, jako dla nas z pewnością niekorzystnymi pod względem liczebnym. Przy-

znałem mu słuszość. Cóż znaczy nabytek paru tysięcy spolszczonych Niemców wobec całych dzielnic niepowrotnie dla nas straconych, jak Pomorze lub Dolny Śląsk!

— A teraz oczywiście niemczą się Polacy jeszcze o wiele szybciej niż poprzednio — wniosko-
wał dalej.

Odpowiedziałem zgodnie z rzeczywistością, t. j. przecząco. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedział się Włoch, że olbrzymie postępy dobrowolnej germanizacyi, najniebezpieczniejszej, zmniejszyły się bardzo w ostatnich dziesięcioleciach, że w Księstwie samem już chyba nikt się nie niemczy.

— A starania germanizacyjne rządu? — zapytał żywo.

— Ten właśnie przynoszą owoc — odparłem.

Włoch się zamyślił i coś sobie zapisał w notatniku.

Tak rozmawiając doszliśmy do bramy wchodowej Bazaru.

W głównym hotelu poznańskim nigdy nie brak znajomych. To matematyczny środek miasta, a potrochu i dzielnicy. Jakoż, gdy stojąc w bramie, spoglądaliśmy na przeciwległy pomnik niemieckiego cesarza Fryderyka III, zjawił się niebawem przyjaciel z sąsiedniego powiatu, dobrze obeznany z gospodarczemi i społecznemi stosunkami kraju. Dowiedziawszy się, kim jest mój towarzysz, ułożył najchętniej plan wspólnej wycieczki na wieś. A ponieważ nie rozporządzał dniem następnym, więc stanęło na tem, że w drogę pu-

ścimy się zaraz, dalsze zwiedzanie Poznania odkładając na później.

Chwilę [potem pędziliśmy w doróże samochodowej za miasto. Włoch ciekaw był szczególnie dwóch rzeczy, wsi polskiej, w której się objawiło bezrobocie szkolne i osady kolonizacyjnej. O typowe okazy jednej i drugiej nie trudno w okolicy Poznania. Niebawem też zajaśniały na niebieskim tle nieba czerwone dachy domków kolonizacyjnych, rozrzuconych pstrą gromadą wśród pól i łąnów. Przed jedną z zagród, najbliższą drogi publicznej, orał młody Niemiec z fajką w ustach. Wyglądał porządnie, nawet układnie. Mój przyjaciel, bawiący się trochę w fizyologię, odkrył w nim zaraz typ zachodniego Niemca, wielce się różniący od ponurych, a ciężkich postaci, rasy pruskiej.

Gdy samochód zatrzymał się, Niemiec porzucił swą robotę, zbliżył się do nas i zdjawszy czapkę, zaczął prosić »szanownych panów«, by raczyli wyjednać mu zapomogę na rozmaite melioracje gospodarcze, jak twierdził, niezmiernie mu potrzebne. Widocznie brał nas za urzędników komisji. Chciałem wyprowadzić go z błędu, lecz nie dopuściłem do słowa, wyliczając całą litanię swych potrzeb i niedostatków.

Signor Amedeo, władający dobrze językiem niemieckim, słuchał tych wywodów z wielkim zajęciem i skrzętnie je zapisywał. To podnieciło jeszcze bardziej skarżącego się Niemca, który wreszcie zawołał:

— Spytajcie się panowie moich sąsiadów. Tu

nikt z nas chętnie nie siedzi. Znęciły nas spodziewane ogromne zyski, a te najczęściej zawodzą. Pracujemy tak samo jak w domu, w Niemczech, a za to mamy przyjemność mieszkania w obcym kraju, w Polsce. Doprawdy nie warto było przenosić się tak daleko.

Pożegnaliśmy Niemca, który wrócił do swej roboty i samochód ruszył wolno dalej. Tuż za polem kolonisty zaczynała się długa ulica wsi polskiej. Mój przyjaciel znał w niej niemal każdego chłopca i opowiadał ciekawe szczegóły o sąsiedzkich stosunkach włościan obu narodowości. Nie są one tak złe, jak możnaby przypuszczać. Przyjaźni oczywiście niema, ale jest spokojne współzycie na tej samej ziemi żywicieli. Koloniści rzadko tylko bywają butni, owszem najczęściej sami uważają się za obcych naszemu krajowi. Chcieliby zarobić jak najprędzej i jak najwięcej, ale w duszy ich drzemie pragnienie powrotu do ojczystych stron. Gdyby im była dozwolona sprzedaż swych udziałów, niewielu z nich pozostałoby w Polsce. Tak bowiem nazywają krainę, do której ich przesiedlono. Gniewają się o to miano urzędnicy, ucząc przesiedleńców, że znajdują się *in der deutschen Ostmark*, ale poczucia narodowego nikt nie zmoże. Kresy są dla kolonistów obczyzną, Polską, i zostają nią mimo wszelkie nawoływania urzędowe.

Wogóle mają władze wiele kłopotu z kolonistami. Pominąwszy już brak zapалу patryotycznego, nie okazują również koloniści zapалу ekonomicznego. Urzędowa swada administracji spotyka się tu z najpowszedniejszą prozą. Chłop niemiecki, jak

każdy chłop na świecie, jest wielkim realistą. Nie marzy wiele, ale ocenia rzeczy i sprawy według ich obliczalnego zysku. Otóż obliczenia przesiedleńców często zawodzą. Opuścili odwieczną ojcowiznę zęceni świadomością, że idą na kresy, pod skrzydłami wszechpotężnego, złotodajnego rządu, że są tam potrzebni, i że za to będą sowiec wynagrodzeni. Kiedy rząd cesarski sam prosi, nęci i obiecuje, to musi to być doskonały, wyjątkowy interes. I jest nim rzeczywiście. Ale przecież nie takim, jakim go sobie wyobrażano. Trzeba płacić daniny, kredyt jest ograniczony, udziały w ziemi wcale nie nadmierne, a ostatecznie tytuł własności bardzo wątpliwy. Nie wolno ani sprzedać, ani obdłużyć, a nie zachowując się, jak należy, i nie spełniając przepisanych zobowiązań można ziemię nabytą utracić. Z tej różnicy pomiędzy spodziewanym olbrzymim, a osiągniętym skąpo i od twardej pracy zależnym zyskiem wynika źródło nieustających kwasów. Koloniści daleko więcej zajęci są myślą uzyskania od rządu coraz to nowych dobrodziejstw, niż chęcią odgrywania wobec Polaków roli zwycięzców.

Włoch słuchał pilnie nie przerywając wywodów swego informatora. Dotarliśmy do środka wsi, przed karczmę. Wokoło zatrzymanego samochodu zebrało się dużo ludzi, przeważnie kobiet i dzieci. Nagle gość nasz wysiadł z pojazdu i wchodząc w tłum, zaczął przemawiać po niemiecku. Gromada rozstąpiła się a głucho milczenie było odpowiedzią na zadane pytania. Spoglądano nieufnie na obcego przybysza. Wtedy Signor Amedeo odwrócił się ku nam i poprosił:

— A teraz, panowie, raczcie do nich przemówić po polsku.

I oczywiście na pierwsze słowa z naszej strony rozwiązały się języki całej gromady. Zarzucono nas pytaniami, a gdy powiedzieliśmy, że gość przyjechał aż z Włoch, by zobaczyć, co się u nas dzieje, powstał zapal nie do opisania. Kobiety przyciągały swoje dzieci i pokazywały ślady na rękach i plecach z przepraw szkolnych, wyrażając przytem swe uczucia w sposób nader wymowny. Jakaś młoda matka, trzymająca niemowlę na ręku, przybliżyła się do cudzoziemca i zaczęła mu tłumaczyć najrodowitszą wielkopolską gwara, że swego Janka nigdy nie pozwoli zrobić Niemcem. Inna pocałowała go w rękę, prosząc, by opisał, jak to źle w tym kraju.

Wreszcie uciszyliśmy głośnie wrzawę oświadczeniem, że gość nie rozumie ani słowa po polsku i że my sami już mu wszystko opowiemy, jak należy. Samochód ruszył dalej.

Zaledwie minęliśmy wieś, Signor Amedeo zaczął nam tłumaczyć, dlaczego przemówił do ludu po niemiecku.

— Chciałem się przekonać, czy chętnie będą mnie słuchać. A stwierdziłem, że mnie zapewne nikt z otaczających nawet nie rozumiał. Tak to wygląda ów zachwalany mi w Berlinie duch niemiecki waszego ludu.

— Po stu latach panowania pruskiego — dodałem.

A Włoch na to:

— Żeby taki lud zniemczyć, trzeba by pięćset lat.

Zaczem mówiliśmy mu o Śląsku i jego ściowiekowem odłączeniu od Korony polskiej. On zaś zacierał ręce i powtarzał ciągle:

— *Che popolo perseverante!*

Lecz korciło go jeszcze owe sąsiedztwo naszych chłopów z kolonistami, więc zapytał, czy ci ostatni przechodząc przez wieś polską, nie są narażeni na nieprzyjemności, a dowiedziawszy się, że owszem mogą spokojnie, choćby o północy krążyć wśród osad polskich, zawołał:

— To może i nauczyciele podczas dramatycznych chwil bezrobocia mogli bezbronni ukazywać się we wsii!

I zaręczał, że we Włoszech nie obeszłoby się w takich razach bez sztyletu lub noża.

Z tego wywiązała się rozmowa o sposobach samoobrony odpowiednich dla narodów uciśnionych. Signor Amedeo godził się najzupełniej na zdanie nasze, że najgorszem lekarstwem na ucisk i bezprawie z góry, jest bezprawie z dołu.

— Rozumiem — prawil — waszą dzielną odporność. Opiera się ona na prawie ludzkim i Bożem. W tem jej dziwna, zdumiewająca siła. Nawet dla cudzoziemca, to co się tu dzieje, nie graniczy z cudem. Kto poznał i ocenił ogrom potęgi pruskiej i potem widzi jej wyniki na własnych kresach, temu doprawdy nie trudno za pomocą wywodów logiki skojarzyć przyczynę ze skutkiem, rozwój mocy z jej wydatnością. Wy tu bronicie pierwiastku moralnego nie tylko dla siebie, lecz

jako dobra ogólnoludzkiego, a więc także dla Niemców. I oni tego nie mogą nie czuć. To nie osłabia ich ciosów, lecz czyni je mniej trafnymi a przez to samo mniej skutecznymi, zmusza ich do ciągłych wykretów, do bezustannej hypokryzyi, by zachować choć trochę pozorów.

Przerwało swadę wymownemu synowi Italii głośnie odezwanie się naszej trąby sygnałowej. Samochód skręcił z gościńca i chwilę potem wysiadaliśmy przed siedzibą mego znajomego.

Czytałem w ostatnich dniach jedną z powieści Conana Doylego o dziełach i czynach Sherlocka Holmesa. I gdybym nie był znał od dawna naszego włoskiego przybysza, byłbym zdolny uwierzyć, że to genialny angielski dedektyw składa nam odwiedziny pod jedną z rozmaitych postaci jakie zwykł przybierać. Wprowadzony do pokojów, Signor Amedeo objawiał nadzwyczajne zajęcie się urządzeniem domowem. Mówił, że pragnie poznać, jak mieszkają ziemianie polscy. Gdy mu jednak wobec tego ofiarowano zwiedzenie całego domu i zabudowań gospodarskich, oświadczył, że najpierw prosi o pokazanie mu biblioteki i gabinetu pana domu. Tam zrobił istny przegląd gazet i czasopism, leżących na stołach, a chodząc wzdłuż szaf bibliotecznych, pilnie zważał na tytuły książek.

Podczas obiadu wytłómaczył nam swą ciekawość.

— Obcemu, szczególnie gdy nie zna języka miejscowego, trudno jest badać rzeczywiste usposobienie mieszkańców zwiedzanego kraju. Zależnym jest od tłumaczy i przewodników. Ja tu

jestem szczęśliwszy, rozporządzając łaskawością dwóch tak uprzejmych znajomych. Ale darujcie panowie! Ułożyłem sobie w głowie małą *combinazione*. Rozumowałem tak: Zapiski wręczone mi wczoraj wieczorem są ściśle. Tam same cyfry a przy każdej z nich podane źródło, z którego zaczerpięte, przeważnie niemieckie. Ale ja, prócz cyfr, pragnę poznać duszę tego kraju, o ile to jest możliwe w przelotnym pobycie. Więc rozmawiam z wami, panowie, i widzę waszą wolę i waszą myśl, nie widzę waszej duszy. Co chcecie, wiem; jak myślicie, słyszę; co czujecie naprawdę, tego z waszych słów dociec nie mogę. Jesteście patryotami, mówicie o doli swego kraju! Któż wtedy potrafi być zupełnie przedmiotowym, któż trochę nie zabarwi i swych uczuć i swych nadziei. Ja sam wiem dobrze, że o sprawach włoskich mówię nieco inaczej, cieplej, serdeczniej, niż o innych. Dlatego, gdy mi zaręczaliście, że wasz lud jest dalekim od zgermanizowania, wierzyłem wam wprawdzie, lecz swoją drogą pozwoliłem sobie na małą próbę w owej wsi sąsiadującej z kolonizacją. A następnie, gdy zapewnialiście, że zagrożona wywłaszczeniem szlachta stanowi czynnik nader spokojny i w niczem Niemcom nie dokuczający, wierzyłem wam także, ale powiedziałem sobie, zobaczymy, czy zastanę choć jaki druk niemiecki w tej staropolskiej siedzibie. I zastałem nie jedną, lecz sporo niemieckich książek i czasopismo naukowe i gazety codzienne i broszur politycznych cały stos. Na półce ujrzałem piękne wydanie ustaw państwo-

wych, a na stole wśród książek polskich i francuskich otwarty tom Szyllera.

— Zauważ pan — oświadczył na to nasz gospodarz — że jestem bardzo źle zapisany u Niemców tutejszych. W urzędzie powiedzianoby panu, z pewnością, że w danym razie podległbym jako jeden z pierwszych prawu wywłaszczenia.

Włoch aż skoczył w górę.

— Jak to, więc pana, spokojnego obywatela, wyrugowanoby z tego domu przemocą! Ja sądziłem, że Prusom chodzi o zniesienie jakichś gniazd fanatycznych spiskowców, polskiej *irredenty*! A tymczasem widzę, że owymi fanatykami są ludzie czytający Szyllera. Cóż więc panu zarzucają szwiniści państwowi?

— Dwie rzeczy — odrzekł pan domu. — Po pierwsze, głosuję przy wyborach na kandydatów polskich i to samo czynią moi ludzie. Ale to jest najmniejsza zbrodnia w oczach naszych przeciwników.

— Ciekawym, jaką będzie ta większa — wtrącił Signor Amedeo.

Nasz gospodarz ciągnął dalej:

— Właściwa, główna moja zbrodnia w oczach pruskich, nie leży wcale na polu politycznym, lecz na polu ekonomicznym. Nie tracę majątku, owszem dorabiam grosza i mam go trochę więcej od moich sąsiadów Niemców. To jest grzech kardynalny, na który niema odpuszczenia. Dawniej tu politykowano w rozmaity sposób, lecz naprawdę, dziś dla Niemców polityka jest tylko pozorem nieraz wygodnym, a jedynym prawdziwym uczuciem jest

pożądliwość ekonomiczna. Mają już wszystkie posiadłości rządowe, mają kolonizację, ale i to im nie wystarcza. Chcą więcej i coraz więcej. Dlatego też Polak bankrut, choć najgorętszy przeciwnik, jest im w gruncie rzeczy miłszym od najspokojniejszego lecz bogatego. Oni się boją pracy polskiej i pieniędzy polskich a zresztą niczego.

Signor Amedeo jął zaprzeczać:

— Jakże to wszystko połączyć z całokształtem polityki pruskiej — zawołał. — Czyż nie opiera się ona na ogólnym wzroście i popieraniu dobrobytu w całym państwie, którego wielki rozkwit dopiero co miałem sposobność podziwiać. Rugowanie zdrowych ekonomicznie czynników w jednej dzielnicy zaprzeczałoby popieraniu ich w reszcie monarchii. Ze strony rządu trudno przypuszczać takie burzenie własnych zasad, obalanie podstaw własności w chwili, gdy na wschodzie ta sama teoria już tak zgubne i niebezpieczne przybrała formy. Prywatnym zaś Niemcom na kresach, wywłaszczanie niemniej zdawać się musi szkodliwym, bo *hodie mihi cras tibi*, a zresztą nie czekając jutra, tak radykalny eksperyment ekonomiczny musiałby od razu wyrzucić złe skutki, nawet na niedotkniętych nim bezpośrednio.

— A zatem — przerwałem.

— A zatem, nie rozumiem — kończył Genueńczyk — bo widzę niedorzeczność wywłaszczania, a jednak liczą się z niem i tu i w mądrym, daleko widzącym Berlinie. Dziwna zagadka!

Pan domu powstał i poprosił nas do swej pracowni.

— Tam, jak na zawołanie, posiadam klucz do zagadki, tak tajemniczej dla każdego obcego.

I gdy zasiedliśmy przy dużym stole, zasłanym papierami, uprzątnął je wszystkie, a natomiast wydobyl z szafy potężną plikę listów i rachunków, które roztoczył przed nami.

— Oto moje archiwum w sprawie wywłaszczania — objaśnił. — A że składa się przeważnie z dokumentów o treści niemieckiej, więc będzie ono tem przystępniejszym dla naszego miłego gościa. Oto zaraz koperta o zawartości nader pouczającej.

I wyjąwszy z niej trzy ćwiartki papieru, złożone razem, zaczął jedną z nich głośno nam czytać.

Był to list od barona niemieckiego do jednego z agentów polskich. Baron pisał, że gotów jest pośredniczyć w sprzedaży Polakowi wsi rycerskiej swego kuzyna, a mianowicie w ten sposób, że on, baron, wieś kupi na swoje imię, potem zaś zaraz odsprzeda nabywcy, któregoby wskazał agent. Dla siebie żądał baron okrągłej kwoty dwudziestu tysięcy marek. Po tem zaofiarowaniu swych usług uzasadniał piszący ich wartość.

Zaznaczał, że kuzyn zbyt jest skrupowany swymi stosunkami ze światem urzędowym, by mógł się odważyć na jawną sprzedaż Polakowi. Ale uczyni to bardzo chętnie, o ile będzie mógł zważyć odpowiedzialność na kogoś innego, a mianowicie na niego, barona, członka starego niemieckiego rodu, byłego oficera w jednym z najświetniejszych pułków kawaleryi. »Mną kuzyn będzie zakryty — pisał szlachetny baron — a znów mnie

zupełnie będzie obojętnym gniew sfer urzędowych. W wojsku już nie służę, więc nie mogą mnie ukarać, a zarobić trochę grosza pragnę usilnie».

Do tego listu dołączoną była kopia odpowiedzi ajenta, zaznaczająca, że zanim przystąpi do rozpatrzenia się w interesie, pragnie mieć dowód na piśmie, że ów kuzyn istotnie pokłada swe zaufanie w jasnie wielmożnym panu baronie. O ten dowód widocznie baronowi nie było trudno, gdyż odwrotną pocztą posyłał ajentowi list, otrzymany od swego kuzyna.

Pismo to, niezmiernie charakterystyczne, przepisał sobie w całości signor Amedeo do swego notatnika. Oto treść dosłowna tych rodzinnych wynurzeń:

»Kochany Karolu! — pisze kuzyn. — Powracam do rozmowy, którą mieliśmy przed paru tygodniami w sprawie sprzedaży mej wsi rycerskiej. Godzę się najzupełniej na twoją propozycję służenia mi za pośrednika. Wprost sprzedawać Polakowi nie mogę, bo to zaszkodziłoby karierze mojego Fritza. Tobie zaś nic zrobić nie mogą, a trochę zarobku z pewnością będzie ci pożądanem. Więc śmiało naprzód. *Noch ist Polen nicht verloren!* Kiedy płacą lepiej od Niemców, trzeba brać. Ale powiedz im, że kolonizacya daje 450 marek za morgę. Może oni dadzą 500. Taniej nie sprzedam. Niech zarobię coś za kłopoty, które jednak na mnie spadną ze strony hakatystycznych donkiszotów. Ale trzeba się spieszyć, nim dotknie nas katastrofa wywłaszczenia. My tu wszyscy drżymy przed nią bardziej, niż Polacy. Im przynajmniej

dobrze zapłacą za ziemię. Ale my co zrobimy! Zostaniemy z długami na roli bez kupców, a tem samem bez kredytu, boć kredyt zależny jest od pokupu! Kolonizacya zacznie nam potem płacić coraz taniej, słowem krach na całej linii, dla niemieckich właścicieli. Przymawiałem się wczoraj landratowi, by za jego protekcją kupił moją wieś zarząd domen królewskich. Na to odpowiedział mi, że obowiązkiem Niemca na Wschodzie jest wytrwać na stanowisku. Niech się da wypchać ze swoim stanowiskiem sławetna głowa powiatu. Ci ludzie zwariowali. Zapominają o istocie rzeczy, o tem, że Niemiec idący na ten zakazany Wschód, idzie dla spekulacyi, a nie dla czego innego. Ta spekulacya jest prawdziwym patriotyzmem, wzbogaca przedsiębiorcze jednostki. Zresztą niech rząd robi sobie co chce, ja żadną miarą nie myślę się krępować. Oczekuję wiadomości od ciebie i przesyłam ci najlepsze pozdrowienie».

Treść tych trzech listów wywarła na Włochu silne wrażenie.

— Zmieniłem od wczoraj — odpowiedział — już wiele ze swoich dawniejszych poglądów na sprawę polsko-niemiecką, ale tego, co tu widzę, jednak się nie spodziewałem. Ten arystokrata germański ofiarujący prosto z mostu swe usługi polskiemu ajentowi, dalej widoczne przekonanie tego ostatniego, że można bez obrazy zażądać od szlachetnego barona dowodu prawdy na jego słowa, a wreszcie ten odwrotną pocztą nadesłany, a zdumiewający swym cynizmem dowód, wszystko to odsłania mi praktykę życiową w waszym kraju.

Na Polaków rzuca ta korespondencya osobne światło. Widać, że oni dla idei chętnie drogo płacą.

Pan domu przerwał mu:

— Dla idei, to prawda, ale także dlatego, że nauczysz się dobrze gospodarować umięcią ciągnąć z ziemi poważne dochody. Dla nich ziemia ma istotnie większą wartość, niż dla Niemców, bo ją uważają nie jako przedmiot spekulacyi, lecz jako trwałą warsztat, w którym ulepszenia i nakłady opłacają się z czasem sowicie.

— Znak wyższej kultury — rzekł signor Amedeo.

Na biurku zabrzmiał dzwonek telefonu. Nasz gospodarz przyłożył słuchawkę do ucha a potem odpowiadał po niemiecku:

— *Nicht in der Lage*, panie sąsiedzie. Nie mogę żadną miarą. Spuść pan po 10 talarów na mordze, to pomówimy.

— Zgodzę się, ale pod warunkami, wyrażonymi w ostatnim moim liście.

Znów odezwał się dzwonek. Rozmowa była skończona.

Pan domu zawołał wesoło:

— Moje archiwum wzbogaci się nowym dokumentem. Jutro przysze mi swe ostateczne warunki sąsiad, Niemiec z krwi i kości, siedzący mi pod boki od kilkunastu lat. Nieodrodny to kolega barona i kuzyna, a nawet ich przewyższa, bo należy sam do bractwa trzech liter. Od miesiąca urządza na mnie istną obławę, w nadziei, że znęci mnie jego ładna wioska, granicząca ze mną o mie-

dzę. Ja zaś kupiłbym chętnie, bo to wyborny kawał ziemi, i daję mu wysoką cenę. Ale on żąda jeszcze wyższej, za wysokiej. Więc pewnie rozbije się interes.

— Widzę, że podaś wsi niemieckich, to u was teraz chleb powszedni — zauważył Włoch.

— Istotnie — brzmiała odpowiedź — żyjemy w atmosferze gorączkowej. Zapowiedź wywłaszczenia wytrąciła naszych Niemców z resztek równowagi, jaką posiadali. Kilkuset fanatyków szaleje po prostu, dmąc coraz zajadlej w surmę bojową, a cały liczny zastęp ludzi posiadających, zarówno Niemców jak Żydów, ogarnięty został rzeczywistą paniką wobec prawdopodobnego spadku cen i niebezpiecznych przewrotów ekonomicznych. Nie mają dość śmiałości by skutecznie wystąpić przeciw dzikim zamysłom hakatyizmu, ale kto może usiłuje na własną rękę zabezpieczyć się przeciw ich może już bliskim skutkom. Dlatego też zamożniejsi Polacy są teraz oblegani przez niemieckich sprzedawców.

— Przepraszam pana — wtrącił Genuieńczyk — znów nie rozumiem logiki tych rachub. Jakim sposobem groźba wywłaszczenia ma zachęcać Polaków do kupna, lub choćby wzbudzać tego rodzaju nadzieje u spekulantów niemieckich?

I zatrzymawszy się chwilę, jakby szukając odpowiednich słów, wyraził ostrożnie przypuszczenie, że chyba obie strony liczą na bardzo drogie ceny wykupna.

Zamiast odpowiedzi wręczyliśmy Włochowi numer niemieckiej gazety, zawierający spis mająt-

ków sprzedanych Polakom w ostatnich miesiącach wprost lub przez agentów. Spis obejmował zaledwie kilkanaście nazwisk. Sama zaś gazeta dodawała od siebie, że nabywcami byli wyłącznie Polacy zamożni, posiadający odpowiednie kapitały.

Gość zastanowił się.

— To znaczy, że Polacy jeszcze dziś, w sierpniu, tak urządzają swe sprawy, jakgdyby w ziemi nie groziły im z Berlina uchwały wywłaszczające.

— Tu pana czekałem — zawołał pan domu. — Już spostrzegłeś, że ocena spraw naszych wymaga bystrego oka i subtelного sądu. Utartymi formułkami określać jej nie można, a niestety niemi właśnie posługują się nasi nieprzyjaciele, ku naszej a także ku własnej szkodzi. Jesteś tu pan od 24 godzin, a już stwierdzasz mnóstwo pozornych sprzeczności. Mówię pozornych, boć w rzeczywistości przy bliższem wniknięciu w istotę rzeczy ukazują się te sprzeczności, jako logicznie złączone ogniwa jednego łańcucha przyczyn i skutków. Z dwóch czynników przeciwnych sobie w tym kraju, jeden niemiecki, wciąż spekuluje, urządza najrozmaitsze próby, przedstawia obraz ciągłej zmiany w swej taktyce, coraz to nowych pomysłów, gdy poprzednie zawodzą. Drugi zaś, polski, jest zachowawczym na wskroś, rozwija się na podstawach naturalnych, nie ryzykuje, nie gra na wyżkę lub niżkę w politycznej giełdzie. Jak inne objawy, tak samo zachowanie się Polaków wobec grożącego wywłaszczenia są wymownym dowodem polskiego realizmu w narzuconej walce. Polacy siedzą na

swoich majątkach i liczą się z tym, na razie niezaprzeczonym faktem, gospodarując tak, jakby na nich mieli wiecznie siedzieć. Wkoło nich huczy burza, ale wiadomo, że nie wszystkie pioruny trafiają w dom. Może przyjdzie wywłaszczenie, może też nie przyjdzie. Dostyc jest przeciwnych mu Niemców. A jeżeli nawet przyjdzie, to i wtedy zobaczmy dopiero, czy się powiedzie.

— Jeżeli dobrze pana rozumiem — zagadnął signor Amedeo — to i na ten ostatni smutny wypadek, obmyślcie już różne środki obrony.

— Mylisz się znowu, szanowny przyjacielu — odpowiedział nasz gospodarz — Rzeczywistych środków czynnej obrony nie obmyślamy, bo ich mieć nie możemy. Ale sama natura rzeczy sprawia, że najczęściej zamachy niemieckie nie osiągają swego celu, nieraz nawet wywołują wynik wprost przeciwny od zamierzonego. Tak było np. z ostatniem prawem krępującem swobodę parcelacji ziemi. Uniemożliwiono nawet polskim bankom zakładanie nowych gospodarstw chłopskich, nie wolno dziś budować domu mieszkalnego na odłączonej parceli i oto zamiast zabić działalność parcelacyjną, wprowadziła ją nowa ustawa na tory wprawdzie ciasne, ale bezpieczniejsze i pewniejsze. Sprzedaje się dziś ziemię wyłącznie tylko tym chłopom, którzy sąsiadując z nią, mają w pobliżu własne zabudowanie gospodarskie. Tacy zaś nabywcy są najpewniejszymi klientami instytucji parcelacyjnej.

Włochowi aż oczy się zaświeciły.

— *Bravo, bravissimo!* — zawołał z zapalem. —

Można się u was doprawdy wiele nauczyć. Lecz pragnąłbym jeszcze wiedzieć, jakie trudności napotka w swym niszczącym pochodzie prawo wywłaszczenia. Zapłacą, a potem usuną was i kwita.

Wyznaję, że usłyszawszy to zapytanie włoskiego gościa byłem nieco zakłopotany. Widziałem, że Signor Amedeo bardzo sumiennie prowadzi swoje badanie i że głównie dba o dane ściśle, oparte na cyfrach. Otóż, choć archiwum mego przyjaciela dotąd służyło nam doskonale dokumentami z teraźniejszości, sądziłem, że nie posiada ich w stosunku do przyszłości. Czułem zaś, że ogólnikowe twierdzenia nie trafią gościowi do przekonania.

Lecz niebawem pan domu wybawił mnie z kłopotu. Jego archiwum okazało się rzeczywiście na wysokości swego zadania. Posiadało także materiały, dotyczące rzeczy przyszłych.

Po krótkim szperaniu wśród papierów, wręczonym został Włochowi spis całego szeregu majątków wielkopolskich, obejmujący zestawienie szczegółowe ich produkcji i dochodów. Wynikało z niego, że wskutek wzorowej administracji, poczynionych wkładów, a także dobrych klimatycznych warunków ostatnich lat, czysty dochód i tem samem wartość ziemi wzrosła się ogromnie, dochodząc do dwóch, trzech, a nawet pięciu tysięcy marek za hektar. Kolonizacja zaś płacąc, jak dotąd, poniżej 1500 marek za hektar, już od dawna robi złe interesa, traci ogromne sumy, co zresztą nie jest wcale dziwnem, bo wszędzie na świecie przedsiębiorstwa rządowe, wkraczające w dziedzinę wytwórczości prywatnej, pracują nader ko-

sztownie i ze stratą. Ten niekorzystny stan rzeczy wzmógłby się jeszcze potężniej, gdyby przyszło wywłaszczać majątki najlepiej zagospodarowane, zamiast, jak dotąd, kupować ziemię od ludzi na wpół, lub zupełnie, zrujnowanych.

Włoch słuchał pilnie, co chwila powracał do już przeczytanych kartek wykazu i zapisywał sobie z nich całe ustępy i szeregi liczb. Z wielkiem zajęciem stwierdził, że bilanse pochodziły przeważnie od *Deutsche Landwirtschaftsgesellschaft*, prowadzącej rachunkowość kilku majątności polskich.

— Dla zagranicznego badacza — zapewniał — jest ta okoliczność dość ciekawą. Tym cyfrom, choćym nie chciał, muszę wierzyć. Z pewnością nie skreśliła ich szczególniejsza życzliwość dla sprawy polskiej.

A potem rozpatrywał naszą uwagę, że przy wykupnie przymusowem wchodzi w grę oprócz wartości gospodarczej danego przedmiotu, także jego wartości inne, jak n. p. piękne parki lub posiadanie starej rodowej siedziby i mniej lub więcej wspaniały wygląd tej ostatniej. Tego wszystkiego pozbawionym byłby właściciel przez wywłaszczenie przymusowe i za to wszystko ma prawo żądać odszkodowania. Jakże tu cenić majątki, jakaż różnorodność w szacowaniu poszczególnych przedmiotów wywłaszczenia. A już dziś kolonizacja jest kulą u nogi budżetu pruskiego.

Pokazało się, że gość nasz niedarmo był z za-

wodu finansistą. Do naszych bowiem informacji zaczął teraz dołączać swoje.

— Wiecie równie dobrze, jak ja, że pieniądź dziś w Niemczech drogi, a nawet bardzo drogi. Przyczyna tego w nadmiernej rzutkości handlu i przemysłu niemieckiego, w śmiałości jego wielkich finansistów a także, i to znacznie, w nieogłędności finansowej rządu. To wszystko znanem jest wam, panowie. Ale szkoda, że patrząc na rzeczy te z wewnątrz, nie możecie równocześnie stać za kulisami świata finansowego zagranicznego i przypatrywać się sprawom niemieckim z zewnątrz. Zaprawdę, tak oglądane, przedstawiają Niemcy nie spodziewany widok.

Pieniądź we Francji jest tani, za tani. Tak samo w Belgii i Holandii. Niedrogi też w Anglii a nawet i u nas we Włoszech taniej z roku na rok. Więc czemuż nie płynie do Niemiec, gdzie jest drogi, coraz droższy, lecz raczej do Rosji, Portugalii, południowej Ameryki, słowem do firm niepewnych, dłużników lichych, płacących odsetki co prawda wysokie, lecz słabo zagwarantowane. Czyż Niemcy nie dają zabezpieczeń bez porównania lepszych i czyż nie byłoby wprost świetnym interesem otworzyć tak potężnej firmie drogi kredytu?

— Istotnie trudno dziś o lepszego dłużnika — wtrąciłem.

— Tak i nie — odrzekł Signor Amedeo. — Materyalna podstawa niemieckiego kredytu jest rzeczywiście doskonałą. Nie prędko powtórzy się takie położenie, jak obecne, społeczeństwo w peł-

nym rozwoju ekonomicznym kraju świetnie zaspodarowanego, a jednak chorującego na brak kredytu. Ale z drugiej strony ekonomiści zagraniczni, choć wiedzą dobrze, ile warta firma niemiecka, muszą patrzeć w dal. A dal ta napełniona jest chmurami. Podmuchy burzy wioną przez Europę, a wszystkie one ciągną od Berlina. Rok temu przed konferencją marokańską w Algericas, już grzmiało i błyskało. Teraz, dzięki mądrej inicjatywie króla Edwarda i taktowi gabinetów europejskich, pohamowano cokolwiek wojownicze zapędy berlińskich potentatów. Ale właśnie to odosobnienie polityczne Niemiec wpływa bardzo niekorzystnie na ich położenie finansowe. W Niemczech nie tyle brak pieniędzy, ile raczej widocznym jest fakt, że posiadacze ich stali się nader ostrożnymi. A to wielka niewygoda dla handlu i przemysłu, będącego w pełnym ruchu ekspansywnym. Zagranica zaś boi się po prostu korzystać z tego stanu rzeczy i pchać swoje kapitały w niemieckie ręce. Bo kłopoty pieniężne Niemców są jednym z najlepszych hamulców dla ich zbytnej krewkości w stosunkach międzynarodowych. Istnieją jeszcze hamulce inne, ale takiej potęgi, jak dzisiejsze Niemcy, nigdy nie można dostatecznie skrepuwać.

— O tem wszystkim wiemy wybornie — rzekł pan domu — i nie wątpimy, że w każdym razie niewesołem będzie usposobienie izb pruskich, gdy im przyjdzie uchwalać na nieproduktywne cele polityki antypolskiej nowe setki milionów.

— Może nawet miliardy — dodał Signor Amedeo — bo jeżeli wywłaszczenie ma być skute-

cznem, toć trzeba będzie usunąć z ziemi także polskiego chłopca.

I zaczął się rozwodzić nad niepraktycznością polityki ekonomicznej rządu pruskiego na Wschodzie.

— Przykrości mogą wam zrobić jeszcze dużo, bardzo dużo. Zniszczą niejedną owoc pracy polskiej i obniżą tem samem ogólny poziom kraju; z dziedzicznych pałaców mogą usunąć właścicieli i dzieci szkolne zmusić do odpowiadania po niemiecku. Ale całego kraju nie wywłaszczą, ani ludności nie zniemczą. Owszem stworzą sobie tylko jątrzącą się ranę w własnym organizmie państwowym. Że też mądrzy panowie berlińscy nie zdają sobie z tego sprawy?! A może też wiedzą, co czynią, lecz nie mają odwagi opuścić fałszywej drogi.

— Tak jest — podchwycił pan domu. — Dziś znam więcej Niemców potępiających szowinizm pruski na wschodnich kresach, niż takich, którzy w tym szowinizmie widzą objaw miłości niemieckiej i ojczyzny.

— Ale cofnąć się trudno, przyznać się do błędu jeszcze trudniej — dokończył z uśmiechem Genuieńczyk.

Gwarzyliśmy w ten sposób jeszcze długo, wreszcie zrobiło się późno. Wypadało wracać do Poznania. Wyjechaliśmy znów we trójkę, gdyż mój przyjaciel miał zamiar nocnym pociągiem udać się w dalsze strony.

Dwie godziny później siedzieliśmy przy wieczerzy w Bazarze. Włoch reasumował swoje wrażenia.

— Kto wierzy w sprawiedliwość dziejową — mówił — ten nie zaprzeczy, że Prusacy sami ją sobie gotują tu na wschodzie. Ich rozum i przebiegłość, świetne i znakomite odnoszą zdobycze na innych polach. Za dawniejsze swoje cnoty państwowe nagradzani są różnorodnie i wielce. Ale obok tej cnoty i tych zalet, mają następcy Krzyżaków swoje grzechy: bezwzględność dla wrogów i pychę, pychę bez granic i miary. Ona tu w naszym kraju objawia się najstraszniej, najbrutalniej, i tutaj też już jest karana i będzie jeszcze bardziej. Wobec sąsiadów swych są dotąd jeszcze organizmem mocnym, więc nad nimi górują. Wobec was uciśnionych są siłą moralnie niższą, społecznie gorszą i dlatego was nie mogą pokonać.

— Jakiż stąd wniosek? — zapytałem.

Signor Amedeo chwycił mnie za rękę i odrzekł:

— Jesteś pan zdrowym, lecz przypuścić na chwilę, że utworzył się panu na dłoni bolesny wrzód. Zamiast go leczyć maścią gojącą, drażnisz go ciągle, rozrywasz i jątrzysz. Jakiż będzie skutek. Ten chyba, że wrzód się zaogni, powoli zapalenie wzrośnie, i cała ręka zacznie gorączkować. A właśnie wypada panu spełniać czynność, do której obie ręce są panu potrzebne. Cóż wtedy! Jesteś słabszym, odporność twoja zmniejszona, cały organizm mniej zdolnym do walki z życiem, tem bardziej do walki o życie. Tak przedstawia mi się sprawa polska w Prusiech. Jest bolączką w ciele państwowem. Nie leczona jątrzy się, stanowi słabą stronę w potężnym organizmie pruskim. A że ten

organizm wśród nieżyczliwości europejskiej żyje jedynie wielkiem naprężeniem swych sił żywotnych i ciągłym objawianiem swej dzielności, przeto taka rana jest mu dziś już niewygodną, a w razie większych trudności życiowych stanie się zabójczą.

Te słowa naszego gościa nasunęły nam myśl, że może mniema on, że Polacy zrozpaczeni uciśkiem, chwycą za broń w razie zawikłania się Prus w wojnę zagraniczną. Zaczęliśmy więc zaręczać mu, że tego rodzaju mrzonki nie istnieją u nas nawet w głowach najmniej dowarzonych.

Ale pokazało się, że Signor Amedeo podczas swego krótkiego u nas pobytu już był dostatecznie zrozumiał ducha kraju. Zawołał bowiem stanowczo:

— Ani mi przez myśl nie przechodzi taki obrót rzeczy. Rana polska zupełnie inaczej da się we znaki tym, którzy ją wciąż zaogniają.

I wyjaśnił nam, jak sobie przedstawia przyszły rozwój sporu polsko-pruskiego i jego wpływu na losy monarchii. Zdaniem jego, Prusy się nie opamiętają, lecz rozwścieklone niepowodzeniem swych dotychczasowych zakusów, będą próbować wciąż nowych. Najbliższym z kolei będzie wywłaszczenie szlachty wielkopolskiej. To zerwie ostatnie mosty pomiędzy Niemcami a Polakami, przepaść stanie się nie do przebycia, nienawiść uciśnionego narodu, wybuchnie coraz jaskrawiej. Od tej chwili kwestya polska stanie się z czysto narodowej, narodowo-społecznej, podwójnie groźną. Ze względów politycznych całe polskie

kresy przejdą do obozu socjalistycznego, złączą się z protestem proletariatu niemieckiego i wzmocnią go olbrzymio. Los wyższych warstw niemieckich na wschodzie stanie się nieznośnym. A rząd i hakatyzm będą brnąć dalej na fałszywej drodze. Zaczną wywłaszczać chłopów, ale to się nie powiedzie. Ten i ów stanie przed progiem swego domu z siekierą w ręku. Po kilku takich próbach, rząd ograniczy się na karach pieniężnych i upośledzaniu gmin opornych. Powstaną strajki szkolne i rolnicze, czyli znów kary, więzienia i rozjątrzenie stosunków. Prusy wytworzą sobie w swoim łonie drugą Irlandyę, ale większą i groźniejszą od tamtej. A tymczasem Europa coraz pilniej przypatrywać się będzie słabej stronie pruskiej. Ta ostatnia zacznie odgrywać rolę w kombinacjach międzynarodowych, tem większą, im znacniejszym będzie jej wpływ na wewnętrzne stosunki w Niemczech. Bo, jak powodzenie, tak i niepowodzenie, idzie seryami. Widząc kłopoty rządu pruskiego na wschodnim skrzydle, ośmiela się wszystkie inne czynniki niezadowolone w państwie. Rozognią się na nowo inne, także obce kresy. W niezdobytej warowni germańskiej zaczną się tworzyć szczeliny i wyłomy. Separatyzm południowców znów zacznie nurtować w sercach Bawarów i Wirtemberczyków. Zmniejszy się odporność siły pruskiej, a ta odporność, właśnie dla Prus jest najpotrzebniejszą, dla tego państwa, którego znaczenie w świecie polega głównie na tem, że dziś boją go się wszyscy. Żle mu będzie, gdy zmniejszy się ta obawa.

Włocha unosiła widocznie wyobraźnia. Żartobliwie rzekłem półgłosem:

— *Si non vero e ben trovato.*

Ale on się zaperzył.

— Ja nie zmyślam, panowie, i nie stawiam horoskopu przyszłości bez opierania się na przesłankach teraźniejszości. Wszystkie te objawy, prądy i uczucia istnieją już dziś, żadnego z tych zarodków nie brak w nowożytnych Niemczech. Ale są to tylko iskry tlejące. Nie mogą wybuchnąć jasnym płomieniem, bo przydusza je ciężar pancerza pruskiego. Nie patrzmy na historię z punktu widzenia dziennikarskiego. Nie zaślepiajmy się pozorami, lub nawet rzeczywistością chwili, lecz oceniamy rzeczy i sprawy z wyżyn światopoglądu dziejowego. Ten zaś uczy nas, jak zmienny jest los wszystkich sztucznych tworów politycznych. Porównajmy Austrię z przed czterdziestu laty, z Austrią dzisiejszą. To inne państwo, w swej istocie i swoim ukształtowaniu. Niemcy dzisiejsze, jakże niepodobne do wczorajszych, dlaczego nie mamy przypuszczać, że są także odmiennymi od jutrzejszych. Wszystko płynie, powiedział Heraklit, odpłynie też suggestya, a z nią skutki pruskiej siły.

Po wygłoszeniu tych prorocत्व, Signór Amedeo zawołał:

— Czy jeszcze przypiszeć mi, panowie, zbytek wyobraźni.

— Powiem raczej, że masz jej pan za mało — odparł mój przyjaciel.

— A to dlaczego? — zapytał Włoch, wielce zdziwiony.

— Bo widzisz tylko jedną drogę rozwoju naszych spraw w przyszłości — brzmiała odpowiedź. — A tych dróg jest więcej.

— Nie zaprzeczam, że może hakatyzmowi powiedzie się walkę rozognić do ostateczności i że wtedy spustoszenie tutejsze będzie dobrą podniętą dla niezadowolenia tlejącego w innych czynnikach cesarstwa. Ale może być też przeciwnie. Mogą się sprawy wewnętrzne i zewnętrzne Niemiec tak obrócić, że obecny system w Prusiech nie znajdzie już dostatecznej ilości popleczników w izbach i kraju. Na powodzeniu łatwo oprzeć jakikolwiek kierunek rządów. Ale niepowodzenie rozwiązuje języki i wzbudza krytykę. Patrzmy, jak wybucha ona przy każdym choćby przejściowem zaćmieniu na słonecznej tarczy rządowych tryumfów, jak na włosku wisiała niedawno przyszłość niemieckich kolonii wskutek nadmiernych na nie wydatków i poniesionych strat, pamiętajmy, jak cierpkie uwagi od swoich znieść musiały koła miarodajne berlińskie z powodu odosobnienia Niemiec w polityce ogólno-światowej. Takich sposobności do niezadowolenia coraz więcej, a mnożą się one właśnie dlatego, że naród niemiecki jest zepsuty powodzeniem, zwyczajny, że mu cały świat ulega, że cokolwiek się dzieje, dzieje się na jego korzyść. Tacy wygodni panowie, jak obecni Niemcy, grymaszą łatwo. Więc wolno przypuszczać, że te wszystkie kwasy, tak się z czasem powiększą, iż staną się niebezpiecznymi dla obecnego systemu

junkrowskiej bezwzględności, do którego arsenału należy również radykalna i niszcząca polityka antypolska. Stąd wniosek blizki, że znów może w Prusiech, a tem samem w Niemczech, zawitać nowy prąd, niekoniecznie nam korzystny, ale przecież nie tak dręczący, jak obecny.

— Zgadzam się z panem zupełnie — zawołał Genuieńczyk.

— Kto sam dla siebie pragnie większej swobody, ten choć nie dba o nią dla drugih, nie może jej tak jaskrawo zaprzeczać, jak godzący się na własne jarzmo.

Na stole leżał numer *Münchener Allgemeine Zeitung*, organu jak wiadomo, mocno liberalnego, a zarazem wrogiego Polakom. Zawierał on zjadliwy, antypolski artykuł o sprawach poznańskich i zdał mi się najlepszą odpowiedzią na wyrażoną poprzednio nadzieję polepszenia się naszych stosunków. Przeczytałem go więc głośno, a potem przypomniałem, że kłopoty nasze w Prusiech wzmożyły się niepomniernie, właśnie od czasu względnego zwycięstwa liberalizmu i zapoczątkowania ery konstytucyjnej, tak że obca demokracja jeszcze gorszą nam się staje od obcego absolutyzmu.

Włoch zafrasował się:

— Doprawdy zawilemi są wasze zagadnienia — rzekł, wskazując na gazetę — sama wyrocznia Delficka nie mogłaby mniej jasno o przyszłości wróżyć, niż rozważający o losach, jakie was czekają. Oto bowiem dowód, że i liberalizm nie jest dla was kluczem do świątyni szczęścia.

Gospodarz odezwał się znowu:

— Jesteś pan na najlepszej drodze zrozumienia, dlaczego my oględni jesteśmy w naszych sądach i przedstawiamy sobie przyszłość jako wiązanek różnych hipotez. Otóż już dwie z nich omówiliśmy, mianowicie bezwzględne trwanie obecnego kursu i zwycięstwo postępowców w Niemczech, a już widzimy, że trzeba nam szukać jeszcze innych.

Włoch potakiwał:

— *Va bene va bene!* Proszę mnie prowadzić dalej w tym labiryncie przypuszczeń i wniosków. Zaciekawia mnie on w wysokim stopniu, zwłaszcza, że przewodnikiem moim jest Polak i to Polak o umyśle nader spokojnym.

Więc Polak prawił w dalszym ciągu:

— Przystąpmy do hipotezy trzeciej, wcale nie fantastyczniejszej od obu pierwszych, mianowicie, że rząd sam, inaczej mówiąc, korona, własnowolnie zmieni swą taktykę wobec Polaków.

— To niemożliwe — zawołaliśmy.

— Przepraszam — odpowiedziano z naciśkiem. — Gdybym twierdził to jako pewnik, pański wykrzyknik byłby usprawiedliwiony. Ale ja przedkładam tylko hipotezę, jedną z wielu. Pamiętajmy, że polityka jest sztuką rzeczy możliwych, ale nie zapominajmy, że obok powyższego, istnieje drugie przysłowie: w polityce wszystko jest możliwem. Kto już dwa razy zmienił u nas kurs? Rząd, z koroną na czele. Kto może go zmienić po raz trzeci? Dlaczegoż znowu nie rząd i znowu nie korona? Bywa na świecie, że zmieniają się poglądy, szczególnie po odbytych doświadczeniach.

Te zaś na kresach naszych, chyba nie przedstawiają się dla rządu dodatnio. Więc może dosyć ruin, dosyć roboty niszczycielskiej, dosyć radykalizmu z góry. Czyż takie myśli nie mogą zaświtać tam, gdzie należy?

Signor Amedeo jął przeczyć.

— Ile wiem, taka zorza ukazała się już raz na waszem niebie!

— To było zupełnie co innego — brzmiała odpowiedź. — Chwilowa przynęta na wypadek wojny z Rosyą. O prawdziwym uzdrowieniu stosunków na kresach nikt wtedy nie myślał w Berlinie. Wygrano nas w polityce zagranicznej, jak się wygrywa atut w kartach, ale gdy się zmieniła gra polityczna, rzucano niepotrzebną kartę pod stół.

— Nie powróci już taki zbieg okoliczności — rzekł Włoch.

Polak zaś odparł:

— Choćby i powrócił, nie byłby dla nas więcej wart. Moja zaś hipoteza przypuszcza zwrot w usposobieniu rządzących, oparty na przekonaniu, że prześladowanie Polaków w Prusiech jest szkodliwym objawem w wewnętrznym ustroju państwa, że przynosi uszczerbek nie tylko Polakom, ale i Niemcom, że naraża znaczną część monarchii na olbrzymie straty materialne i moralne.

Tak mówił Polak, przedstawiciel większej własności ziemskiej, t. j. tej właśnie grupy społecznej, która dziś przez zamachy niemieckie najbardziej jest zagrożoną. Ta okoliczność podpadła widocznie Włochowi, który zapytał, czy hipoteza wytworzenia się jakiegoś *modus vivendi* na naszych kresach

uwzględnianą jest przez wielu z naszych rodaków. Odpowiedziano mu, że określonych przypuszczeń prawie nikt u nas dziś w tej mierze nie żywi wobec faktu, że przecież cała część Polski, będąca pod panowaniem pruskim daje ciągle i od lat przykład bezgranicznej a mądrej cierpliwości. Niemcy zaś, pomimo to o żaden *modus vivendi* się nie troszczą.

— Co za umiarkowanie, jaka cierpliwość polityczna — podziwiał Signor Amedeo i rzekł potem: — Blask pruskiej potęgi jaśnieje dziś wobec zagranicy, a ogromny dorobek sił od lat trzydziestu pozwala wywierać następcom rycerzy krzyżowych suggestyę niezaprzeczoną choć nie usprawiedliwioną na Europę. Ale kto pragnie zbadać do głębi istotę nowopowstałej potęgi, powinien także poznać jej słabe strony. Tych nie brak, co prawda, w Niemczech samych, ale nigdzie nie objawiają się one tak jaskrawo i dobitnie, jak właśnie tu na polskich kresach germańskiego imperyum.

I dokończył:

— Wcale nie z litości dla Polaków, ale dlatego, by słuszną miarą ocenić niemądrość rządu pruskiego, warto nam, cudzoziemcom, poznawać wasze kresy.

Rozprawialiśmy jeszcze długo i północ już była dawno wybiła, gdy niestrudzony gość udał się wreszcie na spoczynek, ciesząc się z góry na obiecane zwiedzenie miasta Poznania.

Ale nazajutrz rano, gdy o umówionej godzinie stawiłem się u niego, Signor Amadeo powitał mnie okrzykiem prawdziwej desperacyi:

— Patrz pan — zawołał, podając mi depeszę — oto wezwanie, bym najbliższym pociągiem wyjeżdżał do Petersburga. Nazwisko podpisane pod wezwaniem wystarcza, by zrozumieć, że nie wypada mi zwlekać. O te interesa, te nieznośne interesa!

W godzinę później *Nordexpress* unosił południowego gościa ku północnym strefom, ja zaś wracając do domu, wspominałem jego ostatnie słowa, wyrzeczone w wagonie:

— Xerxes chłostał morze, a morze dało się chłostać. Dziś Xerxesa nie ma, a Hellespont jest Hellespontem.

RACHUNEK SUMIENIA

Przez obiadową salę berlińskiego hotelu Adlon słodko, łagodnie płynęła melodia niemieckiej piosenki.

Spoglądałem na typy obiadujących. Tuż obok mnie, przy stoliku, ubranym w czerwone kwiaty, dwóch junkrów, o twarzach jeszcze czerwieńszych, obficie sobie dolewało szampana, rozprawiając dość głośno o przedstawionem właśnie sejmowi pruskiemu prawie wywłaszczenia. Byli z niego niezadowoleni. Starszy, którego służba tytułowała baronem, mówił:

— Zasady posiadania ziemi lepiej nie tykać, to zbyt niebezpieczny przykład. Dosyć mamy socjalistów, gotowych czepiać się takiego pierwotnego wzoru z góry.

Młodszy zaprzeczał:

— Drwie sobie z socjalizmu, kochany wuju. Parę pułków huzarskich wystarczy do rozpędzenia hołoty, gdyby zaczęła rezonować. Jeżeli rząd chce wywłaszczenia, to musimy połknąć tę arcyniemiłą pigułkę.

Z drugiej strony prowadziło uczoną rozmowę o psach i koniach kilku młodych oficerów gwardyi.

Pociągnąłem wzrokiem dalej. Tam, pod oknem,

znana z pism ilustrowanych postać słynnego egzubernatora jednej z kolonij. Oczy krwią nabiegłe, gruby kark, istny katowski typ.

Zaczęli o nim rozmawiać junkrowie:

— Stał się niemożliwym, to prawda, i rząd musiał go w końcu usunąć, ale swoją drogą był to najteższy z naszych urzędników kolonialnych. Prawdziwie żelazna ręka. Podobno murzyni, przyprowadzani przed niego, na sam jego widok wpadali w kurcze epileptyczne!

— Donnerwetter — odpowiedział drugi, spoglądając z widocznym uszanowaniem na dymisjowanego wielkorządcę. — Taka siła musi teraz porządnie się nudzić w życiu prywatnem.

Do sali weszli nowi goście, dwóch starszych panów, postacie zgoła odmienne od tych, jakie dotąd miałem przed sobą. Wybitnie semickie twarze świadczyły, że to synowie narodu wybranego.

Naprzeciw mnie był stolik wolny. Zajęli go przybysze i rozpoczęli głębokie studia nad kartą obiadową. Jeden z nich, zwrócony ku mnie, zdał mi się znajomym. Gdzieś tę twarz już widziałem.

Potwierdziły me wrażenia uwagi barona o nowoprzybyłych, półgłosem powiedziane swemu towarzyszowi:

— Ten naprzeciw, to radca handlowy Lissner. Strasznie bogaty człowiek. Siedzi na milionach, jak kura na jajach i wciąż znosi nowe. Podobno traktuje teraz o kupno Burghausenu, przesłicznej posiadłości mego sąsiada Erwina. Biedny Erwin! Szkoda historycznego zamku i takiego polowania, jakiemu nie znajdzie równego w całej prowincyi.

Tu baron westchnął głęboko i dodał:

— Smutne czasy. Pan Lissner włożył frak i obiada w pierwszej restauracyi stolicy, a takim ludziom, jak hrabia Erwin, brak nawet gotówki, by wypić butelkę szampana. Patrz na tego bankiera. Jakim rubinem spał on gors od koszuli! Ten kamień wart parę tysięcy marek. A brylant, co mu świeci na palcu! Błyszczący, jak gwiazda!

Postać Lissnera przypomniła mi lata dzieciinne. Handlował drzewem i kupował u nas poręby leśne. Był już wtedy bardzo zamożnym, ale przyjeżdżał lichą budką i kłaniał się nisko, wchodząc do pokoju. Nam dzieciom ofiarował niegdyś pierniki, jako porękawiczne, po zawarciu dobrego interesu.

Spoglądałem na niego, stwierdzając czarodziejską moc złota. W przeciągu lat kilkunastu niepokazna dawniej figurka, rozkwitnęła w okazałą postać grubego bankiera, skupującego historyczne zamki.

Z drugiego końca sali nadchodziło dwóch znajomych rodaków. Przechodząc koło mnie, zatrzymali się chwilę. Wymieniliśmy parę słów, obiecując sobie spotkanie nazajutrz. Zauważyłem, że na dźwięk polskiej mowy bankier zaczął mi się pilnie przypatrywać. Widocznie także mnie poznał, choć z pewnością zmieniłem się — nie mniej od niego.

Jakoż niebawem, gdy Polacy odeszli, powstał i, przystąpiwszy do mego stołu, przypomniał się mej pamięci.

Powinszowałem mu awansu na wielkiego finansistę.

— No, no — odparł z uśmiechem — jest tu niejeden większy odemnie. Berlin, łaskawy panie, to nie Poznań. Tutaj stać w pierwszym szeregu wcale nie łatwo. Ale pozwól pan przysiąc się. Pogawędzimy trochę o Poznańskim, które zawsze mile wspominam.

I zaczął rozpytywać się o sąsiedztwo mej wsi rodzinnej. Czy wszystko pozostało po dawnemu, czy też ubyło coś z polskich dworów.

Odparłem, zgodnie z prawdą, że nie ubył żaden, a owszem jeden z rąk niemieckich przeszedł w polskie.

Lissner nie zdziwił się wcale.

— Choć rzadko teraz bywam w Poznańskim, nie straciłem jednak z oczu tamtejszych spraw. Już wtedy, gdy opuszczałem Księstwo, zanościło się na to, co dziś widzimy. Polacy coraz dzielniejsi, Niemcy coraz mniej sprawni. Ale bo też wszystko sprzyściło się, by utrudnić na wschodzie zwycięski pochód niemczyzny.

Oburzyłem się:

— Panie Lissner, pan sobie chyba ze mnie żartujesz. W chwili największego naszego ucisku opowiadasz mi o trudnościach, jakim podlegają Niemcy!

Bankier spojrzał mi prosto w oczy:

— Nie lubię paradoksów — odrzekł poważnie. — Mówiąc o trudnościach dla Niemców, stwierdzam rzeczywiście ich istnienie. Nie sądź mnie pan według ministrów pruskich, płaczących

nad złością polską. Ja mówię, jako kupiec, Niemcy wpakowali się w zły interes. On kosztuje dużo, a procentów nie przynosi wcale. Owszem, jest deficyt, a najgorszą będzie likwidacja.

— Wywłaszczenie — wtrąciłem ironicznie.

Finansista zachnął się:

— To nowe szaleństwo, zgubniejsze jeszcze od poprzednich. Choćby rząd teraz, lub później, rzeczywiście przeforsował w izbie ustawę wywłaszczającą, to i cóż z tego? Mniejsza o pieniądze bezpośrednio na ten cel wyrzucone. Paręset milionów zmarnowanych nie zrujnują bogatych Niemiec. Ale cóż za fatalne skutki pośrednie! Poruszony kamień, który dalej toczyć się będzie własnym ciężarem. Wystarczy już to, co dotąd się stało. Rząd, zachowawczy rząd pruski, socjalizmowi szeroko otworzył bramę państwa. Sam fakt, że kanclerz poparł w sejmie taki przewrotowy projekt, jest prawdziwą klęską. Tego faktu już cofnąć nie można, choćby wywłaszczenie rządowe w praktyce zawiodło, o czym zresztą nie wątpię, lub choćby rząd nawet w teorii od niego odstąpił. Jak iskra pod popiołem, tak tlić będzie zarzewie niezdrowego hasła.

— To samo mamy w Rosji — zauważyłem.

— Wcale nie to samo — zawołał bankier. — Tam hasło rzucono z dołu, od stronnictw postępowych. Że lewica żąda dalekonośnych zmian w ustroju społecznym, rzecz zwyczajna na całym świecie. Ale u nas robi się rewolucję z góry. Że zaś tego nie czyni rząd rewolucyjny, konsekwentny w swem działaniu, lecz rząd z istoty swej feu-

dalny, przeto polityka jego nie jest logiczną, prowadzi w dziedzinę samych sprzeczności, słowem jest polityką bezrozumu i zamięszania.

Urwał na chwilę, a potem dodał:

— W niedobrych rękach jest teraz sprawa niemiecka na wschodzie. Was Polaków krzywdzi się i niszczy, ale ją w tym samym stopniu. Wam będzie coraz gorzej, ale i Niemcom. Ci z pomiedzy tych ostatnich, którzy są wyznania mojżeszowego, już oddawna coraz liczniej opuszczają zbyt gorące pole walki.

Lissner przytaczał fakt ogólnie znany. Istotnie, Żydzi tłumnie uciekają z kresów. Na wsi niema ich już oddawna. Ale teraz znikają także z miasteczek. W Bninie np. niema już ich wcale. W większych miastach są jeszcze gminy żydowskie, w Poznaniu nawet kilkutyśięczna i dość bogata. Ale i ona nie zwiększa się, lecz topnieje z roku na rok. Przyczyną zaś tej emigracji jest, obok zwiększonej wydatności ekonomicznej ludu, niewątpliwie także nieznośna zajadłość walki rasowej: bojkot handlowy, rozciągający się nawet na hotele i restauracje.

Potrącił o ten niemiły objaw rozprawiający finansista i rzekł:

— Nie dziwię się Polakom, że unikają nie-polskich składów. Oni bojkotu nie zaczęli. Oni się tylko bronią. Ale tamci, to horda rozwydrzona narodowych krzykaczów, to rzeczywiście wandale, niszczący swobodny rozwój wszelkiego interesu na całych wschodnich kresach, a nawet poza wschodnią granicą. A bojkot rolniczy jest równie zgu-

bny, jak handlowy. I on wywołany wyłącznie przez szowinizm niemiecki. Dawniej sprzedawano i kupowano, jak się komu podobało. Było zdrowe współzawodnictwo, mocą którego Niemcy zdobyli pół Księstwa. A teraz co? Prywatny napór niemieczyzny zabity zupełnie. Pozostał tylko rząd naprzeciw Polaków, tracąc miliony, kompromitując się coraz bardziej. W razie zaś wywłaszczenia polskich dworów, któż ręczyć może, że nie powstanie zatarg trzeci, najgorszy ze wszystkich, na tle agrar-nem pomiędzy robotnikiem a pracodawcą. Do tego nowego sporu przyłączy się z zapalem socjalizm niemiecki, zyskując w ten sposób olbrzymi przy-czynek sił.

Bankier mówił tak głośno, że zwrócił uwagę siedzących obok junkrów. Od chwili już przysłuchiwali nam się pilnie. Lecz Lissner na nich nie zważał i ciągnął dalej:

— Sprawa niemiecka na kresach polskich jest teraz tak zaprzepaszczona, że bodaj czy kiedyś zdoła powrócić na normalne tory. Nasi genialni mężowie stanu całą siłą pary dążą do zamienienia jej z ekonomiczno-politycznej na stokroć groźniejszą, bo podwójną, rasowo-społeczną. Dziś jeszcze zachowawcze żywioły wielkopolskie nadają ton całemu ruchowi polskiemu. Cóż będzie, gdy ich zabraknie! Wtedy, od gór szląskich do morza Bałtyckiego, stanie oko w oko z posiadającym Niemcem uciśniony, doprowadzony do ostateczności lud polski. On z konieczności połączy się z proletaryatem niemieckim.

Zaprzeczyłem energicznie:

— Nasz lud będzie się bronił, to rzecz pewna, ale socjalistycznym nie zostanie nigdy. Jest na to zbyt religijnym.

Ale bankier nie dał się zbić z tropu:

— Wiem o tem — oświadczył — lecz czyż panu nie wiadomo, że socjalizm niemiecki *ad usum* Polaków umie nawet bronić religii. Ani mu się śniło obrażać waszych uczuć religijnych. O polski katechizm w szkole upominali się socjaliści w parlamencie najgoręcej ze wszystkich stronnictw. Zresztą któż napewno może twierdzić, że nowe pokolenie, wychodzące ze szkół obecnych, będzie równie religijne, jak dotychczasowe. Katechizm niemiecki z pewnością nie utkwi w sercu tych dzieci. Ja, choć nie katolik i bardzo wolnomyślnie usposobiony, uważam jednak religię w ludzie jako podstawę porządku społecznego, a tę podstawę podkopuje dzisiejszy system gruntownie.

Spostrzegłem, że na te słowa baron trącił łokciem swego towarzysza i szepnął mu coś do ucha. Tamten odpowiedział mu kiwnięciem głowy, jak gdyby przytakiwał.

W sali tymczasem zrobiło się pusto. Wyszli także sąsiadujący z nami oficerowie. W oddali tylko przy kilku stolikach siedzieli jeszcze zapoznieni goście. Muzyka ucichła. Byliśmy sami z junkrami w całej obszernej części sali.

Bankier obejrzał się za swoim przyjacielem. Lecz i jego już nie było.

— Teraz Berlin jest w teatrze — rzekł z uśmiechem. Idą ludzie patrzeć na scenę sztuczną. My zaś, jeżeli to pana nie nudzi, pogawędzimy jeszcze

nieco o scenie prawdziwej, o arenie życiowej, na której Prusy niegdyś odgrywały swą rolę tak znakomicie, a na której dziś występują pod postacią marnotrawnego syna.

— W stosunku do kogo? — zapytałem.

— Do samych siebie — brzmiała odpowiedź — do własnej przeszłości, do twardych, surowych, przebiegłych zdobywców i budowniczych, którzy zbudowali to państwo, a których synowie dziś odprawiają ucztę baltazarową.

Pesymizm pana Lissnera zdał mi się mocno przesadzonym. Powiedziałem mu więc, że jakkolwiek w sprawie polskiej z pewnością Prusy źle politykują, to jednak potęga ich jest tak wielka, że doprawdy trudno uwierzyć w grożące im ogólne *mane tekel fares*.

Finansista odparł:

— Oczy są do patrzenia, uszy do słuchania, a rozum do czynienia wniosków. Kto temi trzema instrumentami włada, temu nie trudno stwierdzić ów napis fatalny na politycznym horyzoncie Niemiec, pozostających pod pruskim dowództwem.

— Przypominają mi Prusy — ciągnął dalej — Francję z ostatnich czasów drugiego cesarstwa. Ogromna pewność siebie, chwała zwycięskich wojen, militarizm szablonowy, dekoracyjny, od parady, dyplomacya ślepa i głucha, a to wszystko na tle rozpasania obyczajów, większego nawet niż we Francji.

W tej chwili zerwał się ze swego krzesła młodszy z junkrów i zawołał:

— Tego mi już za wiele!

Powstał także bankier. Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Zanosilo się na awanturę. Uważałem, że Lissner zbladł, ale patrzył śmiało w oczy swemu przeciwnikowi, czerwonemu, jak kogut.

Lecz baron wystąpił w roli pośrednika. Zwracając się do bankiera, odezwał się:

— Witam pana radcę. Nie poznałem go w pierwszej chwili, ale przecież spotkaliśmy się przed pół rokiem u hrabiego Erwina. Słyszę też, że pan zamierzasz kupić nową własność ziemską w naszej okolicy, w której pan już tyle ziemi posiadasz.

Lissner skłonił się uprzejmie. Podali sobie ręce, a baron mówił dalej:

— Trzeba koniecznie zażegnać to małe nieporozumienie. Mój towarzysz, p. v. Felden, bardzo się interesuje sprawami publicznymi, a p. radca Lissner widocznie również i niewątpliwie zechce wyjaśnić nam bliżej swe ostatnie wywody. Pozwolicie, panowie, że was wzajemnie zapoznam.

Mówiąc to, spojrział ostro na Feldena, który, po krótkim wahaniu, podał dłoń bankierowi. Teraz przyszła kolej na mnie. Obaj junkrowie przedstawili mi się według wszelkich wymagań etykiety. Baron oświadczył, że za młodu, służąc w wojsku, miał kilku kolegów Polaków. Wymienił parę nazwisk. Pokazało się, że mamy wspólnych znajomych. Dowiedziałem się, że »das waren charmante Herren«, potem nastąpił dodatek »jak wogóle panowie polscy«. I zaraz potem zapewnił baron:

— Widzisz pan we mnie jednego z najbardziej stanowczych przeciwników wywłaszczenia,

a mój kuzyn Felden jest nim także, choć shypnotyzowany objawioną wolą rządu:

Kuzyn nie zaprzeczył:

— Wywłaszczenie, to rzecz brzydka. Nie podobają mi się, jako właścicielowi ziemskiemu. Ale kanclerz przecież mędrszym jest odemnie.

— Masz słuszość — zawołał wesoło baron, klepiąc go po ramieniu — ale choć on jeszcze mędrszy od ciebie, jednak mu nie dowierzam. Mówią też, że i cesarz zaczyna o jego geniuszu powątpiewać. Cóż na to powiesz?

To rzekłszy, spojrział złośliwie na Feldena, który szukał daremnie odpowiedzi na trudne zagadnienie.

Rozmawialiśmy tak, stojąc. Wreszcie baron zaproponował:

— Może pozwolicie nam panowie usiąść przy waszym stole. Zaczęliśmy mówić o tak ciekawych rzeczach, że warto, doprawdy, dalej ciągnąć tę rozmowę.

Przyjeżdżając rano do Berlina, zaprawdę nie przypuszczałem, że wieczór spędzę w towarzystwie dwóch junkrów pomorskich i berlińskiego bankiera. Obawiałem się też zrazu, że świeża znajomość z germańskimi ziemianami zakończyć się może w sposób niemiły. W czasach, jak obecne, rozmowa polityczna Polaka z Niemcami aż nazbyt wiele nastrocza sposobności do zatargów. Przyszło mi na myśl, że najlepiej byłoby pożegnać nowych znajomych i opuścić restaurację. Ale ciekawość przemogła. Nie często zdarza się tak dogodna sposobność usłyszenia nieskrępowanego względami ze-

wnętrznymi zdania naszych wrogów. Pragnąłem też wiedzieć, jak się rozprawią junkrowie z bankierem. Przytem baron coraz uprzejmiej zaręczał o swym szacunku »dla rycerskich Polaków«, a i Felden zdobył się na grzeczność, mówiąc, że czytał o królu Sobieskim, który był jeszcze większym wodzem niż Moltke. Poparł go baron, zaręczając, że jest to wielki hołd oddany Sobieskiemu, albowiem Felden zna z historyi tylko najślawniejsze osobistości.

Zasiedliśmy więc przy wspólnym stole, a rozmowa powróciła znów na tory ogólnopolityczne. Przewodził w niej bankier.

— Wybaczcie panowie — rzekł poważnie — że wznowię temat poprzedni. Sami zażądaliście wyjaśnień. Oto służę niemi najchętniej.

— Prosimy, prosimy — odezwali się obaj junkrowie.

Lissner zdjął z palca pierścień, na którym błyszczał ogromny dyament i położył go na stole. Obaj Niemcy patrzeli z podziwem na wspaniałą kamień, rzucający przedziwne blaski pod światłem elektrycznych lamp.

— *Ganz colossal* — rzekł Felden półgłosem.

Bankier zaś oświadczył:

— Ten brylant jest dla mnie miłą pamiątką. Dostałem go od mojej żony na uczczenie jednego z najlepszych interesów, jakie w życiu zrobiłem, i po którym dochody moje przekroczyły sumę stu tysięcy talarów rocznie. Od owej chwili zaczęło mi się na dobre powodzić w pracy.

— Nawet tak dalece, że wykupisz pan nieza długo całe moje sąsiedztwo — wtrącił baron.

Lecz bankier odciął się natychmiast:

— Czemuż ci panowie sprzedają? Ja, gdybym bym był takim feudalnym szlachcicem, za nic w świecie nie sprzedałbym mej dziedzicznej siedziby.

Baron zamilkł, ale Felden zawołał żałośnie:

— Dobrze panu mówić, lecz połowa naszej szlachty zadłużona jest po uszy. Kto niema ordynacyi, ten najczęściej siedzi w kieszeni u Żydów.

— Nie zaprzeczam — potwierdził Lissner — i pozwolę sobie nawet dodać, że wynika ze słów pańskich, iż Żydom dobrze się wiedzie w Prusiech.

A junkier na to:

— Jesteś pan tego najlepszym dowodem.

Baron spojrział niespokojnie na swego kuzyna. Bankier zaś, uśmiechając się dobroduszenie, nałożył znów pierścień na palec i odrzekł uprzejmie:

— Cieszy mnie, że pan mi to przyznajesz, bo tem samem stwierdzasz, że mam powody do dbania o powodzenie kraju, który mi daje dobrobyt. Tak jest w istocie, jak pan mówisz. Dobrze mi w Prusiech. Mam tu wsie i domy w mieście, i fabryki i rozmaite przedsiębiorstwa. Wszystko to tem więcej warte, im lepiej się powodzi Prusom, a każda klęska tego państwa musi być także moją klęską. Zatem twierdzę, że na swój sposób jestem równie gorącym patriotą pruskim, jak najbardziej feudalny szlachcic. A z tego znów wynika, że gdy poprzednio mówiłem o grożących nam niebezpieczeństwach, to miałem ku temu poważne powody.

Pozwól pan więc, że po kolei wyliczę moje obawy.

I rozparłszy się wygodnie na krześle, zaczął tonem profesorskim wykladać:

— A więc najpierw sprawa polska. Że ona dziś dla nas groźniejsza niż dawniej, to przecież twierdzi właśnie rząd pruski. A któż miał ją w ręku, któż od lat ją kształtuje? Tenże sam rząd. *Ergo* wywód łatwy: rząd w tej sprawie nie stoi na wysokości swego zadania. Wolno nawet postawić twierdzenie, że gdy droga obrona przez nasze władze jest złą, wręcz przeciwna byłaby dobrą, dalsze zaś kroczenie po dotychczasowej prowadzi tylko do nowych niepowodzeń. Tyle o sprawie polskiej. Przejdźmy teraz do innych. Twierdziłem, że nasza dyplomacja jest lichą:

Tu zwrócił się do barona:

— Jesteśmy, czy nie jesteśmy odosobnieni w Europie? Lubią nas, czy nie lubią sąsiednie narody? Możemy, czy nie możemy z całą pewnością polegać na trójprzymierzu? Odpowiedź na te wszystkie pytania dała oddawna i daje ciągle opinia publiczna. Przed rokiem o mało co nie mieliśmy wojny z Francją, a o przyszłej wojnie z Anglią dosyć Niemców pisze obszerne traktaty. Prasa całego świata krytykuje nas. Nawet w odległej Japonii potrafiliśmy wzbudzić antypatye. Tworzą się wokoło nas traktaty jawne i tajne. Zawierają się układy bez naszego współudziału, a tam, gdzie współdziałamy, ponosimy takie dyplomatyczne porażki, jak w sprawie marokańskiej. Nasze ministerium spraw zagranicznych i jego organa poselskie

złe nas obsługują, nie orientują się w położeniu. Dyplomata pruski staje się przysłowiowym w całym świecie.

Baron przerwał mu:

— Nie chwalebę naszej dyplomacyi, ale za to rzeczą jest ogólnie wiadomą, że boją się nas wszyscy, a to w części zastępuje wpływ naszych nieprzebiegłych dyplomatów. Pamięta świat Sedan i Sadowę.

Bankier odpowiedział:

— Pamięta, to prawda, ale i my pamiętamy o tych zwycięstwach. Pamiętamy nawet za wiele.

— Nigdy za wiele — wybuchnął Felden — kto ma wojsko stałe i potężne, ten nie potrzebuje niczego się obawiać.

I wpadłszy w ferwor zapewniał, że choćby Prusy pokłóciły się z całą Europą, jednak muszą zwyciężyć.

— Panie radco, nie znasz się na rzeczach wojennych. Rozniesiem na szablach każdego, co nam się przeciwstawić.

— Inni też mają szable — rzekł skromnie Lissner — i armaty i karabiny. Wojsko sławne i potężne miała Rosya przed wojną japońską i Francya przed Sedanem i Prusy przed Jeną. Nie ja sam tak myślę. Czytałeś pan zapewne książkę pod tytułem »Jena oder Sedan!« A prócz tego polecam panu czytanie sprawozdań o manewrach pruskich, jakie zamieszcza w *Berliner Tageblatt* pułkownik Gaedke. Od czterdziestu prawie lat nie prowadziły Prusy wojny. Generałowie nie widzieli w życiu swoim nieprzyjaciela innego, jak na polu

manewrów, któremu z góry nakazano, gdzie ma się zatrzymać. Ciekawe na ten temat anegdoty można czytać w gazetach po każdych ćwiczeniach. Nie dalej, jak w roku bieżącym, rozmawiałem o wojsku pruskiem z bardzo wytrawnym znawcą zagranicznym. Przyznawał mu on pozory świetne, wymustrowanie znakomite, porządek i wygląd wzorowy. Ale o wykształceniu taktycznym wyrażał się nader ujemnie. Twierdził nawet, że w pogardzanej przez Prusy Austrii jest ono daleko lepsze. Spamiętałem dobrze jego ostatnie słowa. Mówił tak: »Dzisiejszym generałom pruskim zdaje się, że gdzie tylko się pokażą, tam nieprzyjaciół zacznie uciekać na sam ich widok. To stary błąd potomków zwycięzców«.

Obaj junkrowie zdawali się być mocno zmartwieni. Felden zmarszczył czoło i widocznie ciężko pracował myślą. Baron zaś podchwycił:

— Panie radco, trochę sugestyi w rzeczach wojennych nie zawadzi. Bądź co bądź, mówiąc na pański sposób, daje nam ona procenta. Bez niej bowiem już dawno mielibyśmy kochanych sąsiadów na karku. Mimo wszelkich powątpiewań o zdolnościach naszych generałów, bagnety pruskie wzbudzają bardzo zbawienny postrach za granicą.

Wtedy bankier zaczął mu tłumaczyć różnicę między sugestją a autosuggestją:

— Dajmy na to, że sugestya wobec zagranicy jest tak wielką, jak pan przypuszczasz. W każdym razie nie przeszkadza ona, że koncert europejski coraz bardziej obywa się bez Prus. A w Niem-

czech i Prusiech autosuggestya zaciemnia umysły rządzących i nie pozwala im zdawać sobie sprawy z tego stanu rzeczy. Lecz postawmy kwestyę inaczej. Zagranica wcale nie jest przejęta takim ślepym strachem przed potęgą militarną pruską, jak się tu niejednemu wydaje. Nie zaczepia, ale też nie mdleje z obawy przed zaczepką. W każdym razie wcale nie boi się Niemców najpotężniejsza Anglia. Lecz poza granicami naszego cesarstwa, istnieje dużo wytrawnych rachmistrzów. Ci rozumieją dobry interes i porównują wpływ, jaki miały w Europie Prusy przed laty dwudziestu z tym, jaki wywierają dziś. A to stało się bez wojny. Znam przypadkowo powiedzenie Delcasego do jednego z finansistów francuskich, wkrótce po swoim upadku. Ex-minister powiedział: »Ludzie myślą, że ja pragnąłem wojny z Niemcami. To nie prawda. Rządzącym w nich Prusom trzeba owszem dać pokój. One są jak owoc. Dojrzawały, rozkwitły, wspaniale...

— A teraz zaczynają gnić — dokończył z gorczycą baron. — Czyż nie takim było ostatnie słowo Delcasego?

— Mniej więcej — potwierdził Lissner. — Horoskop Francuza brzmiał, że owoc pruski zaczyna być robaczywym.

Zapanowało milczenie. Felden był osłupiały, baron wzdychał i nerwowo bębnił palcami po stole. Lissner spojrzał na mnie i uśmiechnął się z lekka. Nie żałowałem już, że mnie skusiła ciekawość pozostania z Niemcami. Ten ich rachunek sumienia zapowiadał się coraz bardziej obiecująco.

Jakoż po chwili baron znów rozpoczął:

— Nie należę wcale do optymistów. Raczej nawet do tych Niemców czarno patrzących, których niedawno tak ostro zgromiono z góry. Ale wy, panowie wolnomyślni, posuwacie krytykę za daleko. Po pierwsze, wszystkie narody i państwa mają swoje bolączki, a powtórnie nie jest dobrą rzeczą tak ciągle osłabiać narodowe samopoczucie. To zaś czyni nieustannie prasa wolnomyślna. *Est tempus loquendi, est tempus tacendi*. Sami sobie szkodzić zbyt otwartem odkrywaniem naszych słabych stron.

Bankier zaprzeczył:

— Na oba te zarzuty odpowiem natychmiast. Słusznem jest twierdzenie, że i gdzieindziej są publiczne niedomagania. Nawet bolączki tu i ówdzie są większe niż nasze. Ale nigdzie w tym stopniu, co u nas, nie zakrywa ich wybujałość pychy państwowej, tej pychy pruskiej, jakiej niema dziś równej na świecie. Kassandry wolnomyślne nie mają u nas znaczenia. Wszystko, co rządzi, co kieruje społeczeństwem i państwem od ostatniego żandarma do ministrów pruskich, choruje na gorączkę pychy w najostrejszym stadium. Ta pycha zaślepia naszą dyplomację, ona nie pozwala nam cofnąć się z manowców sprawy polskiej, ona utwierdza wiarę w konieczną niezwyciężoność naszej armii, lekceważy zagranicę, a depce nogami obce szczepy, żyjące w obrębie naszych granic. Ona wreszcie sprawia, że rząd drwi sobie z wszelkiego niezadowolenia wśród Niemców samych.

Młodszy junkier odezwał się:

— I Bismark był pysznym.

Lecz Lissner dał mu zaraz odprawę:

— Bismark był potężnym, gwałtownym, tyranicznym, ale nie był pysznym. On miał łapę niedźwiedzia, ale duszę lisa. Ten olbrzym w razie potrzeby umiał być stokroć pokorniejszym od swoich małych następców. On umiał się cofać. Dziś zaś włożyliśmy na głowę ogromny pióropusz i trąbimy na cztery strony świata o sławnych, doskonałych, nieomylnych i niezwyciężonych Prusach. Mądrzy ludzie w Europie przypatrują nam się wzrokiem coraz bardziej ironicznym. Więc się pan nie dziw, że kto ulokował swoją fortunę w interesie pruskim, ten spogląda w przyszłość z niepokojem. Oto moje wyjaśnienie, którego żądaliście panowie.

Te ostatnie słowa powiedział bankier powoli i z naciskiem, jakgdyby chciał zamknąć dyskusję. Lecz baron ożywił ją na nowo, zwracając się do mnie:

— Te rozpatrywania pruskich niedomagań zapewne panu, jako Polakowi, sprawiły szczerą uciechę. Felden zaś dorzucił:

— Wyobrażam sobie, jak wy nas kochacie!

Odparłem, że uczucia nasze stoją w prostym stosunku do słodyczy, jakich zażywamy w Prusiech.

A baron na to:

— Bądź pan pewien, że w kołach moich przyjaciół wielu potępia prześladowanie Polaków. W sejmie głosują przeciw wam, ale w duszy wstydzą się rzetelnie.

Bawiło mnie to dość naiwne zcharakteryzowanie dwulicowości pruskich konserwatystów, ale

nie mogłem mu przyznać słuszności. W rzeczywistości bowiem pruskie stronnictwo zachowawcze, jak wynika z jego pism i występów publicznych, poniekąd jeszcze gwałtowniej przeciw nam występuje, niż nawet sam rząd. Mówiąc to, wskazałem na gazetę wieczorną, zawierającą streszczenie obrad nad wywłaszczeniem. Zaznaczyłem przytem, że kwestyi etyki i moralności w polityce nie poruszam w tej chwili wcale, lecz że stoję na stanowisku zajętem przez Lissnera i stwierdzam szkodliwość szowinizmu pruskiego właśnie dla Prusamych.

Baron kiwał głową:

— Tak, tak. Doszliśmy już do tego, że etyki i moralności wogóle od nas się nie spodziewają. Nie miło takie rzeczy słyszeć, ale ten odwet musimy, wam, Polakom, zostawić.

Bankier rzekł jeszcze:

— W każdym razie niech wiedzą, że w Prusiech są jednak ludzie rozsądnie myślący, którym nie podoba się ta cała orgia barbarzyństwa.

Zapewniłem go, że moim ziomkom opowiem, co usłyszałem tego wieczora.

— I owszem, lecz bez podawania rzeczywistych nazwisk — brzmiała odpowiedź. — Wolę nie narażać się na zemstę hakatyzmu.

* * *

Na tem zakończyła się rozmowa. Gdy wychodziliśmy z sali, odezwały się znów tony muzyki,

łagodne, tęskne, rzewne. Grano Rosenlieder Eulenburga.

Na placu paryskim przed hotelem, zatrzymał Lissner przejeżdżającą dorożkę i wsiadłszy w nią, rzekł na odjezdnem:

— W Prusiech jest wszystkiego dużo i ekscelencyj, i wojska, i ludności płacącej podatki, brak tylko coraz bardziej jednej rzeczy, mianowicie — rozumu.

Dorożka ruszyła. Felden rzucił za odjeżdżającym parę kwaśnych uwag, poczem oddalił się. Baron zaś towarzyszył mi milcząco. Drogi nasze rozchodziły się za brandeburską bramą. Żegnając się, mój towarzysz oświadczył:

— Czytałem dziś rano *Frankfurter Ztg.*, która pisze, że w czasach obecnych człowiek wstydzi się być Niemcem. Uważam, że ten, co to pisał, miał trochę słuszności.

SEN HAKATYSTY

Pan Fryderyk Wilhelm, dwojga imion Schulze, udał się na spoczynek.

Godzina była późna, coś pierwsza, czy druga po północy. Lecz to szczegół obojętny. Wprawdzie ludzie stateczni w Bismarckswalde pokładają się do snu najpóźniej o dziesiątej, a pan Schulze należy do najstateczniejszych filarów niemieckiego obywatelstwa w miasteczku wielkopolskim, świeżo ochrzczonego nazwą wielkiego kanclerza. Lato jednak ma swoje osobne prawa. Wtedy żony i działki kąpią się w tanich »badach« niedalekiego Bałtyku, małżonkowie zaś, zwłaszcza stanu kupieckiego, nieznoszącego przerwy w interesie, pocieszają się wieczorami przy chłodnym piwku i wesołej gawędzie.

Gardinenpredigt, nieodzowne gderanie rozbudzonej małżonki, staje się w lipcu i sierpniu niemiłym oczywiście, lecz bładem i odległym wspomnieniem. To czas męskiej swobody, napęniającej dumną samowiedzą duszę nawet pantoflowego filistra.

Oto przyczyny, dla których stateczny mąż pani Herminy Schulzowej ani nie spojrzał na zegarek, lecz, kładąc się do łóża, podśpiewywał so-

bie, mimo stanowczej pięćdziesiątki i odpowiednio okazałej tuszy, wesoło burszowską piosenkę *Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus*.

Poczem zasnął twardo, snem sprawiedliwego.

Należało mu się to święcie. W ciągu sześciu godzin, spędzonych przy *Stammtischu* »pod złotym Jeleniem«, nie tylko że rozprawiano o wszystkim w świecie, o handlu i cenach i Niemcach i Polakach i o Panu Bogu, który przecież sprzyja Prusom. Krzepiono się także, bo, gdy duch rozkwita, to i ciało nie powinno omdlewać. Były więc kielbaski znakomite »pierwszej klasy«, jak mawiał asessor i *Sauerkraut* wyborny, specjały zaś te narodowe, podlewane nieustannie tryskającym źródłem piwka niezrównanego. Słowem, zabawa była *ganz colossal*.

Nie dziw też, że do jej uczestnika, gdy tylko złożył głowę na poduszce, nadleciał sen z szybkością niebywałą i skleił mu powieki.

Pan Fryderyk Wilhelm słodko, łagodnie, jak łódź gnana lekkim zefirkiem, popłynął w krainę marzeń.

Zrazu były one cokolwiek mgliste, niewyraźne. Majaczyły mu się postacie kolegów z piwiarni, zlewały się w lubą, ogólną harmonię śpiewki rozmaite z miłej wieczorynki. Potem cały lokal knajpowy wypełniły jakieś smugi srebrno-różowe. Zrobiło się trochę duszno. Pan Schulze wyszedł na ulicę.

Szedł długo i daleko, a raczej właściwie bez wyraźnego chodzenia przenosił się z miejsca na miejsce. Był to tu, to tam, widział wszystko, słyszał,

co ludzie mówią, a nawet wiedział, co myślą. Znajdował się równocześnie w całej Wielkopolsce. Odczuwał pełnię jej zbiorowej duszy.

I był świadom, że dusza ta jest jednolitą, że wszystkie jej składniki, dążenia i prądy skupiają się w życiowym tętnie mocnego, prawidłowego organizmu. Rozumiał, że nieznośna rozterka polsko-niemiecka załatwiona już oddawna, obcy żywioł strawiony zupełnie, wielkie, germańskie ciało kresowej dzielnicy wzmocnione, utuczone, syte i szczęśliwe.

Więc pan Schulze przechadzał się po kraju i był także szczęśliwym. Oto spełnione marzenia najśmielsze zacnego *Ostmarkenvereinu*, urzeczywistnionym ideał, tylokrotnie przedstawiany w gazetach i mowach patryotycznych działaczy. We dworach sami Niemcy, po wsiach ani śladu polskiego ducha. Dzieci bawią się chorągiewkami czarnobiałymi, a w kościele niemieckie kazanie poucza wszystkich o obowiązkach wobec drogiej germańskiej ojczyzny. Aż miło patrzeć na to wszystko.

W mieście zaś jeszcze przyjemniej. Same składy niemieckie, zniknął paskudny sąsiad-konkurent, zakamieniały Polak, z którym tak trudno było współzawodniczyć, wyplenionym do szczętu ja-szczurczy, przebrzydły rodzaj obcych handlarzy, których sam widok przejmował wstrętem uczciwego człowieka.

I to właśnie, ten tryumf na polu handlowym, zdawał się panu Schulzemu najwspanialszą zdobyczą tyloletnich usiłowań. Bo pamiętał czasy, gdy

Niemcom powodziło się na wszystkich polach gospodarstwa kresowego, tylko nie na tem jednym, tak ważnem. Ziemię łatwo wywłaszczyć, język cudzoziemski skrępować w szkole i urzędzie. Lecz czemuż poskromić nieuchwytną a wszędobecną konkurencyę kupiecką, tę hydrę o stu głowach, tę plagę prawdziwą porządných, pracowitych ludzi.

Pan Fryderyk Wilhelm wspominał swoje zakończone spory na ten temat z kuzynem Pumperem, dzierżawcą królewskiej domeny, który wiecznie upierał się przy zdaniu, że ziemia to jądro całej sprawy narodowej i że jej posiadanie rozstrzygnie o dalszych losach kresów. A taksamo wspominał pyszałkowate zapewnienia przyjaciela Stockmanna, nauczyciela miejscowego gimnazjum, twierdzącego, że z wszystkiego najważniejszą jest niemiecka kultura. Byłe opanować umysły, zniemczyć intelekt, to wszystko inne pójdzie, jak po maśle.

A właśnie, że nie poszło. Bo pan Schulze wspominał również, że za dawnych, podłych czasów, walczone przeciwko ziemię prawami i ustawami bez końca i w szkołach pracowano całą siłą pary nad unarodowieniem ducha niesfornych chłopaków polskich, a przeciwko osiągnięciu tak mało, tak bardzo mało.

Bo z miast rozchodził się wokoło buntowniczy podmuch polskości. Tam najsilniejsza agitacja, tam, gdzie niemieckość już przed zaborami była zwyciężką, cofała się, po nich, najjaskrawiej, a powstające mieszczaństwo polskie coraz groźniejszym, jadowitszym stawało się wrogiem.

I dopiero teraz, widząc wszędzie szyldy firm

niemieckich, nie słysząc ani słowa obcego na ulicy, odczuwał pan Fryderyk Wilhelm pełnię zwycięstwa.

Zrobiło mu się tak lekko, tak przyjemnie na duszy, że postanowił podzielić się swą radością z ukochaną małżonką i skierował swe kroki ku domowi.

Ale pani Hermina przyjęła go dość chłodno. Pytała swoim zwyczajem, gdzie się tak długo waleś i nie czekając na odpowiedź, kazała mu spieścić się do banku, by odebrać kwartalną ratę bezprocentowej zapomogi, *alias* pożyczki, udzielanej z ramienia rządowego kupcom-patryotom, będącym w potrzebie.

Małżonkowi opadły skrzydła. Tak, to prawda, trzeba odebrać ratę i to nie tracąc czasu, bo za chwilę bank zamknie, a właśnie ma się zgłosić natarczywy wierzyciel z wekslem, już płatnym. Ta pocziwa Hermina, choć nieraz trochę kwaśna, ma jednak zawsze głowę na karku. Nie ma to, jak kobiety.

W ten sposób rozumując, biegł pan Schulze do banku. Cały zdyszany stanął u okienka i podał urzędnikowi rewers, uprawniający go do podjęcia raty.

Lecz urzędnik, obejrzawszy dokładnie wręczony mu papier, zwrócił go petentowi z miną wielce zdziwioną.

— Jak możesz pan nie wiedzieć — zapytał — że te kwity nie mają dziś żadnego znaczenia. To zabytek z owych czasów, gdy tu jeszcze srożyła się konkurencyja polska. Teraz niema jej ani śladu.

Schowaj pan sobie swój rewers na pamiątkę, a nie zabieraj nam drogiego czasu.

Pan Schulze osłupiał. Jakto, więc jemu, patriocie zawołanemu, bojownikowi dla świętej sprawy, wysokie władze odmawiają teraz poparcia. To rzecz niesłychana, niemożliwa. To musi być pomyłka.

I jał domagać się natarczywie, by mu przecie ratę wypłacono.

Ale urzędnik zniecierpliwił się teraz na dobre.

— Dosyć tych żartów — zawołał podniesionym głosem. — Co chwila przychodzi tu jakiś weteran na odstawce i żąda pieniędzy, bo ich ma za mało. Ależ do stu par beczek, czyż to nasza wina, że panowie źle gospodarujecie i robicie długi. Doprawdy, dziwne pretensye. Przecież państwo nie jest od tego, by żywić bankrutujących kupców.

Pan Schulze opuszczał, płacząc, gmach bankowy.

Czarna niewdzięczność, pod postacią olbrzymiego nietoperza, unosiła się nad pokrzywdzonym wojownikiem z świętej wojny. Skrzydła jej ogromne zaciemniały całą ulicę, wyglądającą teraz smętnie i szaro.

Strapiony kupiec szedł, na pół przytomny, prosto przed siebie, sam nie wiedząc dokąd. Odruchowo wzrok jego przesuwiał się po szyldach sklepowych i czytał wyrażone na nich firmy. Nazwiska wszystkie szczerze niemieckie, to prawda, ale po chwili uderzyło nieszczęsnego przechodnia spostrzeżenie, że nie odnajdywał nigdzie nazw sobie znajomych.

Zaczął się przyglądać uważniej. Same nazwiska nowe, nieznane. Żadnego z tych, które razem z jego własną firmą stanowiły za czasów »polskich« zwartą falangę germańskich placówek w miasteczku. Czyżby całe *Bismarckswalde* było straciło dawnych, tak dzielnych swych synów, a zapełniło się nowymi przybyszami?

Lecz oto przecież znajomy, bławatnik w nałożonej kamienicy. Ale na szybach jego wystawy sklepowej nalepione wielkie drukowane ogłoszenia, zawiadamiające szanowną publiczność o zupełnej wyprzedaży z powodu zwinięcia interesu.

Pan Schulze wstąpił na chwilę, uradowany, że ma przed kim wylać całą gorycz swego serca. Bławatnik stał przy kantorku i rachował pilnie, mruczając i klnąc pod nosem. Gdy zoczył wchodzącego, rzucił pióro i zaczął dziękować kochanemu koledze, że przyszedł się z nim pożegnać.

— Ot kończę, jak widzisz, likwidację swego interesu. Rachuję na wszystkie strony, ale cóż mi z tego. Same pasywa. Niegdyś nas takie rzeczy wcale nie przestraszały, ojczyzna była hojną, wspomagała obficie. A teraz, teraz poprostu nas dyabli biorą i nikt się nawet o człowieka nie pyta. Nieprawdaż, miły sąsiedzie?

Ale sąsiad już wypadł był z nastroju, w jakim wstąpił do magazynu. Na widnokręgu jego smutnej, znękaney duszy zabłysnął był nagle promyk nadziei. I rosło to światelko, rozlewało się w zorzę jaśniejącą, nowego dnia przedświt cudowny.

Przecież tuż obok, o dwie ulice, istnieje filia

Ostmarkenvereinu, kochanego, drogiego Towarzystwa kresów wschodnich. Tam on także ma kredyt i to wcale poważny. Jakże mógł o tem zapomnieć! Rzeczywiście, nie wolno być tak nerwowym i dać się przygnębić pierwszemu lepszemu niepowodzeniu. A nawet, należy za nie dziękować Opatrzności. Dobrze bowiem człowiekowi poznać, kto mu przyjacielem szczerym, a kto pozornym tylko. Więc gdy stwierdzoną jest rzeczą, iż królewski rząd zapomina o swych zasłużonych weteranach, to owszem lepiej o tem wiedzieć. Pomoc znajdzie się inna, pewniejsza i bliższa, a mniej uciążliwa. Ustanie nareszcie nieznośna konieczność kłaniania się każdemu złotemu kołnierzowi, lizania stóp rozmaitym wyniosłym *Rathom* i głowie powiatu i sekretarzom wszelkiej kategorii. A jak oni wszyscy człowieka z góry traktowali, jak pogardliwie doń przemawiali. Ten sekretarz, szczególnie, pan *von Junkerhausen*. *Von*, podwójne *von*, a sam goły, jak święty turecki, karyerowicz żyjący z dodatków wypłacanych urzędnikom gorliwie germanizującym kresy wschodnie, słowem figura z pod ciemnej gwiazdy. Wszakże to z jego ust usłyszał kiedyś, prosząc o subwencję, bezczelne słowa: »Znowuś pan głodny, panie Schulze!« — a on, Fryderyk Wilhelm Schulze, właściciel zarejestrowanej firmy, członek *Ostmarkenvereinu*, wiceprezes Towarzystwa strzeleckiego, zginał się wtedy wpół, kłaniał po pas, łasił się, przymilał, jak pies do swego pana. Dobrze, że nareszcie minęły czasy tych upokorzeń, tego poniewierania godności ludzkiej.

Takie myśli przebiegały lotem błyskawicy

umysł męża pani Herminy. I nasuwały się coraz nowe, cisnęły się tłumnie, jak potok wezbrany szumi i pędzi, zerwawszy wstrzymującą go tamę. Filisterski, pokorny, lojalny handlowiec, odkrywał w sobie żyłkę opozycyjną, czuł, że na dnie duszy drzemały w nim instynkta liberalne, postępowe, ba, nawet coś nie coś radykalizmu.

I cieszył się w sercu swoim, że teraz zapewne pan sekretarz *von Junkerhausen* mocno spuścił z tonu, nie dostając już chyba gratyfikacji za niemczenie Polaków, gdy Polacy dawno już zniemczeni. Więc powtarzał zadowolony, w duchu: »Dobrze mu tak, jemu i wszystkim tym panom od zielonego stolika. Najedli się dosyć, niech teraz poszczą«.

A tymczasem blawatnik ciągnął dalej swoje lamenty, nie wiedząc, jakie nowe światy otwierały się przed jego roztargnionym słuchaczem, jakie przeobrażenia dokonywały się w jego zmartwych powstałej i odmienionej samowiedzy.

To też, gdy jako epilog swych narzekañ, oświadczył, że opuszcza kraj rodzinny i wynosi się do Kamerunu, bo tam teraz rząd pruski niemczy murzynów i złotem obsypuje germańskich kolonizatorów i gdy po tem oświadczeniu zaprosił swego gościa, by jechał z nim razem próbować nowego szczęścia, wtedy ku swemu największemu zdziwieniu usłyszał z ust pana Schulzego chłodne życzenie dobrego powodzenia i prócz tego ironiczną uwagę, że dzięki Bogu nie każdy znajduje się w tak smutnej doli.

Fryderyk Wilhelm śledził wrażenie, jakie

słowa jego wywarły na nieszczęsnym sąsiedzie. Czuł, że czyta w jego myślach, jak w otwartej księdze, wnikał w jego duszę, jakby we własną, był nim i sobą równocześnie. Więc żał mu się zrobiło biedaka i taksamo żał tych innych, tak licznych, których zmienione stosunki przyprowadziły o kij żebraczy. Oczami duszy widział ich wszystkich, swoich dawnych kolegów od łokcia i wagi, jak wynędzniali, zrozpaczeni, chwytają się ostatniej deski ratunku, uciekają aż hen za morze, by w walce z murzynami znów zyskać tę trochę złota, które niegdyś łatwiej i obficie płynęło na niwie wielkopolskiej.

I naraz owładnęła nim szlachetność. Wiedział, że kredyt jego w *Ostmarkenvereine* przewyższa kwotę, obecnie mu potrzebną, zaczął postanowił olśnić sąsiada swoją wspaniałomyślnością i z dobrodusznym uśmiechem oświadczył mu, że może znajdzie się sposób, by mu jednak dopomódz.

Bławatnik spojrział na swego gościa wzrokiem, w którym mieszała się radość z niedowierzaniem.

— Jakto, więc pan, pan masz jeszcze pieniądze, albo kredyt i chciałbyś mnie biednego wesprzeć. Przyjmuję z serca, ale powiedz mi, przyjacielu, jakim to cudem się dzieje. Myślałem, że i pana już dyabli biorą.

Pan Schulze nie odpowiedział odrazu. Lubował się w swej roli niespodziewanego zbawcy. Wreszcie zwolna, uroczyście, zaczął tłumaczyć, jako mu pan Nimmersatt, kierownik filii *Ostmarkenvereinu* w Bismarckswalde, kilkakrotnie był obiecał,

iż w razie potrzeby wyrobi mu kredyt taki, że spokojnie będzie mógł spoglądać w przyszłość. Wysockości obiecaney sumy nie wymieniał pan Schulze. W zawodzie kupieckim trzeba zawsze być ostrożnym.

Ale w miarę, jak mówił, radość znikła z twarzy słuchającego. Natomiast uwydatniało się na niej pełne ironii lekceważenie.

Wreszcie bławatnik odrzekł drwiąco:

— Więc to takim jest pański kredyt. Winszuję, ale nie zazdroszczę. Co do mnie, wolę się trzymać powziętego zamiaru i udać się do Kamerunu. Murzyni są czarni, to prawda, ale to przynajmniej pewny towar i lepszy od pańskich zielonych nadziei.

Fryderyk Wilhelm obraził się.

— Więc pan nie wierzysz w mój kredyt. Dobrze, nie będzie on się panu narzucał. Nie miła księdzu ofiara, to i tem lepiej.

Lecz bławatnik drwił dalej:

— Nie znałem pańskich zasług na polu ludoznawstwa. *Ostmarkenverein* od czasu ustania polskiego niebezpieczeństwa, zamieniony w Towarzystwo naukowe etnograficzne, widocznie zamierza skorzystać z pańskich badań w dziedzinie dawnych strojów ludowych w tej dzielnicy.

Pan Schulze zrozumiał. Krew uderzyła mu do głowy, rozpacz z podwojoną siłą chwyciła mu serce w swe szpony. Czuł, że nogi chwieją się pod nim.

Zatem koniec! Ostateczny, tragiczny koniec. Znikąd nadziei, znikąd deski ratunku. Trzeba zginąć marnie, jak zginęli ci wszyscy, którzy tu z nim

razem pracowali dla świętej sprawy, albo też pójść, jak goszczący go bławatnik, aż w puszcze afrykańskie.

Czuł, że nagły przeskok uczuć i szybka zmiana wrażeń tamują mu oddech. Dusił się.

Więc wybiegł z magazynu, nie żegnając się z jego właścicielem.

Ale na ulicy zrobiło mu się jeszcze gorzej. Musiał się co chwilę opierać o ściany domów. Szedł jak błędny. Jakieś płomienie przebiegały mu przed oczami. Zdawało mu się, że oszaleje.

A koło niego przechodzili ludzie spieszenie, idący za swemi interesami. Tłum mijał go obojętny, nie zważając na rozpacz zdesperowanego człowieka: jak gdyby go nie widzieli ludzie, ci obcy ludzie, wśród których nikogo nie poznawał. I on czuł się nieszczęśliwym, ale i obcym w tej gwarnej ciżbie, w tem nowem, dziwnem Bismarckswalde, tak niepodobnem do dawnego, w którym żyć i działać było tak miło, tak zaszczytnie, tak korzystnie.

Więc coraz cięższym stawał się głaz, przyniatający mu duszę, coraz trudniejszą do zniesienia straszna krzywda, jaką sobie uprzytomniał.

Z goryczą wspominał czasy, gdy jako młodzieniec, bez grosza w kieszeni, wybierał się na wschodnie kresy. W domu rodzicielskim nie miał szczęścia. Ciasne parafialne stosunki w brandenburskiej mieścinie krępowały jego szeroką naturę. Kwaśił się i dla marnych rozrywek zaczął nawet robić dług. Dość, że go ojciec z domu wypędził, a on stał na bruku zniechęcony do życia, na wpół

już wykolejony. I pamiętał, jak wtedy list kolegi szkolnego, który był wyemigrował na wschód, przyniósł mu myśl zbawienną, skierował jego życie na nowe tory. Kolega pisał, że w Poznańskim żyje się świetnie, że pracy tam nie wiele, a obfitość subwencji ogromna, byle bronić zagrożonej niemczyzny, byle stać się bojownikiem zawołanym w walce z polskim wrogiem.

Przypomniawszy sobie p. Schulze, jak ten list stał się dla niego wprost objawieniem, jak nagle i niepodzielnie o władną nim wielki płomienny patryotyzm.

A potem prawdziwa epopeja, okres bohaterski w jego życiu, mowy, zebrania, obchody narodowe. Raz pielgrzymka do Warzina z tysiącem braci po duchu i przyjęcie przez »żelaznego kanclerza« i grzmiące wiwaty na cześć odnowiciela Niemiec po każdym kuflu piwa pod rozłożystymi dębami. Dwa razy powitanie naczelnego prezesa dzielnicy poznańskiej, odwiedzającego Bismarckswalde, i mowa wygłoszona za drugim razem przez niego, Fryderyka Wilhelma, w imię stanu kupieckiego. Przez cały ten czas zaś równoległe z rozwojem bohaterskiej działalności, rozwój równoczesny handelku, później handlu, wreszcie domu towarowego — rozwój swobodny, bez obawy o jutro, oparty na wdzięczności i zaufaniu złotodajnych potęg narodowych. Tak, to były dobre czasy i wielkie i chwalebne!

Pan Schulze uprzytomniał sobie to wszystko. Siła jego wyobraźni przywracała mu obrazy minionego szczęścia i coraz to mnożyła poczet po-

łożonych zasług. Te zasługi wzrastały przyrównaniem do poniesionej krzywdy, jak wysokość dwóch gór uwydatnia najlepiej dzieląca je przepaść.

Ale właśnie ogrom doznanych zawodów i bezmiar niesprawiedliwości, jakiego czuł się ofiarą znękanego bojownika, wytwarzał w jego duszy poczucie nowe, niemniej smutne co prawda, lecz za to podniosłe.

Kto tyle się zasłużył, tyle wycierpiał, kogo tak skrzywdzono, tego postać stawała się symbolem, wcieleniem idei wielkiej i pięknej, bo ofiary i męczeństwa za ojczyznę — ofiary opuszczonej przez swoich, wyzyskanej aż do ostateczności, a zatem czystej, wygórowanej, niemal nadziemskiej.

Zdawał sobie z tego sprawę mąż pani Herminy i choć pełen smutku i zwątpienia, jednak czuł się wielkim. Tak bohaterowie z wojen napoleońskich obdarci, ale dumni, kroczyli za rządów burbońskich po ulicach niewdzięcznego Paryża. Pan Schulze znał historię.

Więc z większą już godnością zaczął znosić swe nieszczęście i nieco pewniejszym krokiem zdążył ku domowi, by oczekującej go małżonce z rycerskim tragizmem już od drzwi rzucić słowa: »Wszystko stracone, prócz honoru«.

Przewidywał piorunujące wrażenie, jakie w domu wywoła swem oświadczeniem. Nawet przypuszczał, że może w pierwszym uniesieniu małżonka nie zachowa się z godnością równą jego własnej i kto wie, czy nie zapomni się aż do czynnego znieważenia osoby męża-bohatera. Pani Hermina bowiem była charakteru nieco popędliwego.

Ale to już było mu obojętne. Teraz nie bał się już pantofla żony. Groza tragedii, której stawał się zwiastunem, była tak wielką, że wobec niej musiały zblednąć, zniknąć wszelkie poziome uczucia. Całej rodzinie, nietylko jej głowie, należała się aureola męczeńska.

Takich myśli pełen skrzył pan Schulze w ulicę prowadzącą go wprost do domu. Szedł już krokiem pewniejszym, jak skazaniec, który pożegnał się już z życiem i z odwagą idzie na stracenie. Opuściło go nawet niemiłe, czysto fizyczne niedomaganie, towarzyszące nieraz psychicznym wstrząśnieniom, a dręczące go przed chwilą pod postacią jakichś niewyraźnych mdłości i zawrotu głowy.

Lecz oto i znajomy.

Naprzeciw kroczył, wymachując rękami i z daleka już głośno witając przyjaciela, kuzyn Pumper, agronom.

Bohater przystanął. Rad był opowiedzieć krewnemu swe nieszczęścia.

Ale kuzyn, uściskawszy podaną sobie dłoń, zaraz zaczął użalać się nad własną dolą.

Wyrzucano go z posady, odbierano ostatni kawałek chleba, a przecież Bóg widzi, że i ten kawałek zaprawiony był goryczą i upokorzeniem. On, niegdyś dzierżawca rycerskiego majątku, domeny królewskiej, cieszący się protekcją samego radcy rejencyjnego, teraz nie był uważanym za godnego spełniania funkcji najpodrzedniejszych w dominium, w którym dawniej rządził niemal samowładnie. Nawet podrzednym pisarkiem być mu nie pozwalano. Straszne doprawdy nastały czasy.

Pan Schulze zaczął go strofować. Tłumaczył mu, że praca dla ojczyzny bywa często źle nagrodzona, przytaczał z historii przykłady wielkich mężów, niezrozumianych przez własny naród. Wznosił się w swej argumentacji na wyżyny filofii stoicznej. Czuł się równym podniosłym charakterom starożytności.

Lecz kuzyn przerwał mu pełną polotu swadę.

— Daj pokój tym niesmacznym blagom — zawołał — ot raczej pożyczylbyś mi może choć dwadzieścia marek na bilet do Berlina. Stamtąd już jadę za darmo, na koszt wspaniałomyślnego królewskiego rządu.

Pan Schulze widział, że wzniosłe uczucia nie mają przystępu do poziomej duszy kuzyna, zapytał go więc tylko, dokąd się wybiera na koszt rządowy.

— A gdzieżbym jechał — brzmiała odpowiedź — jak nie do Kamerunu. Tam teraz wszystkich naszych posyła rejencya. Niemal całe dawne Bismarckswalde już siedzi nad brzegami morza afrykańskiego. Podła to rzecz na stare lata szukać chleba tak daleko, ale trudno, nowa płaca, to i nowa praca.

Pan Schulze zapytał jeszcze o rodzaj zajęć, przeznaczony kuzynowi na nowym polu działania.

— To samo, co i tu. W tem przynajmniej pewna pociecha, że każdy z kolonizatorów obowiązany jest spełniać zawód, w którym go wypróbowano na niwie wielkopolskiej. Więc ja będę plantatorem. Tylko, że zamiast polskiego pluga-

stwa, będę miał pod sobą jeszcze paskudniejsze plemię dyabłów murzyńskich. Ale też obiecuję sobie prawdziwie pruski porządek w mej plantacji. Oj będą świszcząć bicze po czarnych grzbietach. Niech afrykańskie kanale odpokutują za to, że zmuszają mnie do tak dalekiego zarobku.

To mówiąc, świsnął laską przez powietrze, jakby już murzyńskie grzbiety widział przed sobą. Poczem, jak poprzednio bławatnik, tak i on ją namawiać krewnego, by z nim razem udał się za morze.

— Tu nasza rola skończona. Twoja taksamo, jak innych. Na wschodnich kresach panuje teraz nowy porządek. Niczego już tu nie zarobimy. Lepiej się nie łudzić, kochany Fritzu.

Pan Schulze uznawał w duszy słuszność wywodów Pumpera. Ale czuł się już za starym na nowe przedsięwzięcia. Niech próbują ich inni. Jemu pozostaje tylko zrealizować resztki majątku i osiąść gdzie na stare lata w domku samotnym na pustelni, jak Napoleon na wyspie Sw. Heleny.

— Życ będę wspomnieniami — zapewniał z wielkoduszną prostotą.

Kuzyn zaśmiał się szyderczo.

— Winszuję ci tych wspomnień, ale ci ich nie zazdroszczę. Gdy kto głodny, nie wielka mu pociecha z przypominania sobie, że się kiedyś obżerał. Ja wolę oglądać się za nowym obiadem, choćby na czarnym sosie. Zresztą niech każdy czyni, jak mu się podoba. Wolisz tu pozostać w nędzy, to zostań z Bogiem. Ale, ot idzie nasz

przyjaciół Stockman. On także jedzie do Afryki. Ten ci wybije z głowy twoje marzenia bohaterskie.

Jakoż nadchodził, ubrany w szarą, wytartą opończę, kolega z wieczorków piwnych i z *Ostmarkenvereinu*, profesor Kurt Stockmann.

Nędza widniała mu nie tylko z ubrania, ale i z twarzy, wychudłej, bladej, jak u człowieka, co przebył długą chorobę. Tylko nos fioletowy, nakształt kuli potężnej, jaśniał ametystowym blaskiem, ożywiając zanikłą fizyognomię.

Przywitałszy się ze znajomymi, zapytał profesor Pumpera, kiedy zamierza wyjechać, radząc mu, by nie zwlekał długo, gdyż w koloniach, jak wszędzie, kto zgłosi się ostatni, temu dostanie się co najgorszego. On, profesor, ma już zapewnioną posadę w szkole murzyńskiej w Prügelhausen, nowej osadzie, założonej pod zwrotnikiem w celach germanizacyjnych. Niemiała to sprawa wynosić się aż w te gorące krainy, ale cóż robić. Trzeba żyć. Tu zaś w dawnej ojczyźnie przedwczesna a licha emerytura pozwala człowiekowi co najwyżej od czasu do czasu zalać truneczkiem robaka.

To rzekłszy, z cynicznym uśmiechem wskazał na fioletową ozdobę swej twarzy.

Pan Schulze był oburzony. Oświadczył profesorowi, że nie spodziewał się, by mąż nauki mógł tak nisko cenić własną godność. On, Fryderyk Wilhelm, choć kupiec, więc z pozoru materyalista, większe ma uszanowanie dla wspaniałej przeszłości, w której tyle tu na wschodnich kresach zdziałano dla ojczyzny. Do Kamerunu nie pójdzie, bo za stary, ale gdyby poszedł, to przecież nie tylko

dla marnego zarobku, ale także dla idei, dla tej świętej wzniosłej idei niemieckiej, której żywym pragnie tu pozostać pomnikiem. Niech patrzą młodzi na weterana dawnych bojów, niech uczą się od niego, jak poświęcać się dla ojczyzny nawet za darmo, owszem za nędzę i niedostatek.

Pumper wzruszał ramionami, profesor zaś, chwyciwszy się za boki, śmiał się na całe gardło.

— A to mi Don Kiszot, ten kochany nasz Fritz — zawołał, uspokoiwszy się nieco — i w dodatku komedyant, bo tamten przynajmniej był szczerym i wierzył w siebie samego. Ależ kochany kolego Schulze, pan bredzisz, jak w malignie. Widać, że nieszczęście pomieszało panu rozum. Ja mężem nauki, pan weteranem! To może i przyjaciel Pumper jest zasłużonym agronomem! Tak się mówiło za polskich czasów, to prawda. Ale teraz doprawdy nie potrzebujemy nadal odgrywać tej komedyi sami przed sobą. W Kamerunie co innego. Tam wobec murzynów będziemy znowu apostołami.

Fryderyk Wilhelm czuł, że krew uderza mu do głowy. Ten Stockmann, to jednak doprawdy zakazana figura — pomyślał sobie — i chcąc mu dać dobrą odprawę, oświadczył zjadliwie:

— Widać, że są rozmaite patriotyzmy, jedno na sprzedaż, drugie z przekonania.

Ale profesor nie dał się zbić z tropu. Owszem, stał się jeszcze bardziej szyderczym i ubliżającym. Włożywszy okulary na nos ametystowy, przyglądał się z politowaniem mężowi pani Herminy i za-

czał mu zwolna wykladać, jak żakowi niepojętnemu na ławie szkolnej.

— Bo widzisz — mówił — ty nie rozumiesz wcale położenia. Ale to wcale, a wcale. Tobie się zdaje, żeś pracował dla ojczyzny, a tyś pracował dla siebie, dla własnej, osobistej kieszeni, o ojczyznę zaś nie dbałeś ani trochę. Zresztą tu obecny przyjaciel Pumper taksamo, i ja również taksamo, i w ogóle cały nasz zastęp dawnych kolonizatorów tego kraju. Pracowaliśmy dla siebie, ale było nam za łatwo, za dobrze. Więc nawet ta praca dla własnego dobra ciążyła nam nieznośnie. Dbaliśmy o zyski coraz łatwiejsze, nie zważając przytem na środki. Wiemy przecież, jaką drogą Pumper dostał się do królewskiej dzierżawy. Kupił wioskę na spekulację za cudze pieniądze, podobno i twoje, kochany Fritzu, od bankrutującego Niemca, a potem dopóty groził rządowi, że odprzeda swą ziemię Polakom, aż rząd się zmiłował, nabył od niego majątek i osadził go na nim jako dzierżawcę, obowiązując go do płacenia czynszu, którego najczęściej dla tych lub owych przyczyn nie płacił. Czyż nie tak było? — dodał, zwracając się do Pumpera.

Agronom potwierdził słowa profesora. Ten zaś ciągnął dalej:

— Obłowiliście się obaj na koszt ojczyzny, a ty Fritzu jeszcze osobno na twoim handlu, którego zamknięcie zapowiadałeś zawsze, gdy pragnąłeś podwyższenia subwencji. I mieliście najzupełniejszą słusność, bo gdy płacą, trzeba brać. To stara zasada. Tylko, że potem przywykliście do

łatwego zarobku, żyliście bez rachunku i nie potrafiliście uciulać trochę grosza na czarną godzinę.

Pan Schulze już mu nie przerywał. Cyniczne słowa profesora zaczynały wywierać swój skutek. Aureola męczeńska, w którą się czuł zdobnym, jaśniała mu blaskiem coraz słabszym. Pomnik własnego bohaterstwa chwiał się pod ciosami desperackiej logiki.

Lecz oto nasuwał mu się przecież argument wspaniały, mogący uratować zagrożone samopoczucie bohaterskie. Tak, ten argument trzeba zaraz przeciwstawić rozpaczliwym wywodom profesora.

To też, gdy Stockmann zaczął samego siebie nielitościwie krytykować i zapewniał, że zawsze obliczał sobie w szkole, ile każda niesprawiedliwość, wyrządzona uczniowi polskiemu, przyniesie mu dodatku w gotówce, pan Schulze odparł z powagą:

— To prawda, że nie pracowaliśmy za darmo, ale jednak niezapreczenie działaliśmy dla idei, choćby nawet nie ona była naszą główną pobudką. A ci nowi, ci wszyscy, którzy po nas przyszli, to dopiero prawdziwi materyaliści. Oni przecież nie mają już o co walczyć. Epopea walki kresowej zakończona. To zwykle filistry, korzystające z drogi, utworowanej im przez nas weteranów sprawy narodowej, choć ci to słowo tak śmiesznem się zdaje, mój nazbyt skromny profesorze.

Fryderyk Wilhelm był świadom, że tą odprawą, daną cynicznemu Stockmannowi, utwierdził się znów na piedestale narodowej zasługi. Porównanie dawniejszych mieszkańców Bismarckswalde z obecnymi musiało przecież wypaść na korzyść pierwszych.

Cóż, kiedy uparty profesor nie godził się na to żadną miarą.

— Muszę ci odebrać ostatnie złudzenia, romantyczny przyjacielu — twierdził z szatańskim sarkazmem. — Torowaliśmy drogę nowym ludziom, ale tak, jak podpalacz toruje drogę budowniczemu nowego domu. Niszczyliśmy co sił, porywając przy tem co się dało, byliśmy zorganizowaną bandą tępicielei, których jedyną myślą przewodnią był łup i zysk, łatwy, nie oparty na zdrowych podstawach pracy. Ci nowi, którzy po nas przyszli, są stokroć od nas uczciwsi. Oni naprawdę budują coś nowego, niczego nie łamią i nie burzą. Na tem polu śmierci, przez nas wyjałowionem, zasiewają nowy posiew życia, własnych rąk pracą, wśród zwykłego prawidłowego współzawodnictwa życiowego. I dlatego, choć nikt im nie pomaga, istnieją i krzewią się. My zaś, jako pasożyty, niezdolni jesteśmy sprostać nowym normalnym warunkom istnienia i od chwili, gdy ofiara pożarta, gdy niema na czem tuczyć się i objadać, stajemy się głodnym, dla społeczeństwa niebezpiecznym proletaryatem. Nie kryjmy się z tem, nie udawajmy, że nim nie jesteśmy, bo właśnie ta nasza właściwość niepotrzebnej już i niewygodnej hordy jest naszym ostatniem zbawieniem. Takiego towarzystwa, jak nasze, nie mogą władze pozostawić własnemu losowi i własnym instynktom. Dają nam przeto nowy łup, nową ofiarę do rozdarcia i zniszczenia, dają nam na pastwę murzynów.

Pan Schulze słuchał, jak pacjent słucha wyroku lekarza. A lekarz był sam desperatem, był

nieubłagany. Nie krył niczego, zapuszczał sondę aż do głębi jego jestestwa. Rzymska toga klasycznego bohaterstwa, zdarta z ramion nieszczęsnego wojownika, leżała u stóp jego w błocie, a on stał nagi, drżący, nie mający odwagi spojrzenia sam na siebie.

Stockmann ciągnął dalej;

— W Kamerunie już tysiące naszych. Spotkamy tam całą tę rzeszę wędrownych i nieurzędowych działaczy z polskich czasów. Znow opływają w złoto, znow pracują dla ojczyzny. Właśnie czytałem w gazecie, że pan sekretarz von Junkerhausen, odbywszy z znakomitym skutkiem wyprawę karną do czterech nieposłusznych wiosek murzyńskich, został mianowany Landratem. Nie zwlekajmy zatem, lecz jedźmy, bo tu pozostaje nam tylko śmierć głodowa. Przecież pracować tak, jak ci nowi przybysze, żaden z nas już nie potrafi. Tobie zaś szanowny Fritzu radzę, byś spakował co prędzej manatki i podążył za nami.

To rzekłszy, pożegnał się z nieszczęsnym kupcem i wzięwszy agronoma pod ramię, oddalił się spiesźnie.

Fryderyk Wilhelm pozostał sam — sam ze swojemi myślami, z rzeczywistością straszną, okrokną, zabójczą. Jak stado kruków, tak obsiadły go rozpacz i zwątpienie i ból fizyczny i moralny i wszystko, co dolegać może człowiekowi, z wyżyn dobrobytu strąconemu w głęboki padół nędzy. Cierpiał za siebie, za żonę, za dzieci, za wszystkich, których zarówno z nim dosięgła twarda nemezis. Odebrano mu nawet to jedyne, czego się

czepiał rozpaczliwie, jak tonący chwyta się żdźbła. Zdarto wieniec męczeństwa, którą była go przyozdobiła odporna jego natura. Teraz widział przed sobą koniec, ostateczny, nieodwołalny. Do Kamerunu go nie skuszą. To dobre dla takich łyków, jak Pumper i Stockmann, ale nie dla niego, zwanego przez kupców, sąsiadów, Vanderbiltem z Bismarckswalde, bogaczem na polu łatwego kredytu. On spadał z zbyt wysoka.

I naraz powstało w nim nowe uczucie, tak potężne, gwałtowne, szalone, że pierzchnęły przed nim, niby hyeny i szakale przed lwem ogromnym, wszystkie inne, dręczące go dotąd. Zawładnęła nim wściekłość. Tryumf niemieckiego naporu, jaki widział wkoło siebie, zdał mu się czemś ohydny i potwornym. Więc takim jest wynik całej roboty kolonizacyjnej, długoletniego, zażartego tępienia Polaków. To praca wstrętna, podła, przeklęta. On wie przecież najlepiej, jakimi byli ci Polacy, których teraz zastąpili bezduszni kramarze z Lipska lub Berlina. Byli porządnymi, nawet bardzo porządnymi ludźmi. Oni naprawdę walczyli o ideę, za ojczyznę drogą, ukochaną. A przytem przez samo swe istnienie, samą grozę polskiego imienia, umożliwiali życie niemieckim patryotom, napędzali im złoto do kieszeni. Czemuż ich nie ma, czemuż ich wytepiono, jakim prawem boskiem, czy ludzkim?

I miotał się pan Schulze, jak zwierz ranny, przeciw prześladowcom zniszczonego narodu, cisnął na nich kłatwy, życzył, by widmo Polski na powrót powstało z grobu i wypędziło całe te tłumy Germanów, rozsiadłych po niwach poznańskich.

A gdy Polaków już nie ma, gdy spełnionem dzieło katowskie, niech przynajmniej wspomnienie słowiańskiego narodu odezwie się raz jeszcze w tym grodzie, niech utruje, upokorzy tę ciżbę, tłoczącą się wokoło.

Więc, zdjawszy kapelusz, Fryderyk Wilhelm wielkim głosem zaintonował pieśń, znaną sobie dobrze, pieśń surowo niegdyś zakazaną, za którą sam nawet kiedyś obił był dzieci stróża swej kamienicy.

Pan Schulze śpiewał »Boże coś Polskę«. Śpiewał po polsku, bo znał dobrze język swych dawnych wrogów.

Wkoło niego utworzyła się gromada gawiedzi. Ludzie przystawali i spoglądali na niego, jakby na waryata. Ale nikt go nie rozumiał, bo mowa polska była tu już cudzą, nieznaną. Jakiś chłopak tłumaczył drugiemu, że ten pan, to pewno jakiś Turek, bo takie dziwne brzmienie jego słów. Z okna rzucił mu ktoś monetę.

A on śpiewał, coraz głośniejsze, z pełnej piersi tym murom zgermanizowanego miasta, tej wieżycy luterskiego kościoła, na którą sam niegdyś zbierał składki, urągał pruskiemu orłowi, zdobiącemu gmach landratury. I zdawało mu się, że melodia pieśni rozprasza żyjące i budzi martwe, że wracają wygnañcy, konfederatkami zapelnia się rynek i ulice i place miasta, a sto karabel błyska już w powietrzu.

Aż nadszedł policyant i chwyciwszy go za ramię, powiedział szorstko:

— Nie wyprawiaj pan hałasów na ulicy, bo pana zaaresztuję.

Fryderyk Wilhelm przestał śpiewać. Zresztą

pieśń była skończona. Nią pożegnał świat i życie i nowe ohydne Bismarckswalde. Oddalił się cicho, w stronę bramy miejskiej, tam, gdzie most kamienny śmiałym łukiem przesadza bystre nurty rzeki. To była droga, którą dawniej *Ostmarkenverein* wychodził za miasto na wesołe majówki.

Do widzenia, niewdzięczna ojczyzno!

Fryderyk Wilhelm zamknął oczy i skoczył.

Wir lodowaty pochłonał go. Przez sekundę jedną, dwie, miał jeszcze uczucie przenikliwego zimna, wilgoci, wody zalewającej go zewsząd. Potem opanowała go ciemność, tracił przytomność. Czuł, że umiera.

Naraz chwyciła go jakaś dłoń potężna.

Pan Schulze, szarpnięty gwałtownie, otworzył oczy. Był w swoim pokoju, zalanym potokami sierpniowego słońca. Przed jego łóżkiem zaś stała, groźnie nań spoglądając, pani Hermina.

— W ładnym stanie cię zastaję, ty stary opoju — wołała zaperzona. — Wracam niespodzianie do domu, a tu pan małżonek o dwunastej w południe na wpół ubrany leży rozwalony, wylega się, jakby nie miał nic lepszego do roboty. Pewnoś wczoraj urządził sobie znowu bibę zapamiętałą z twymi sławetnymi kompanami. Nie zapieraj się. Dostyc tu śladów twojej bezecnej orgii.

Fryderyk Wilhelm nie zapierał się. Był jeszcze ciągle na wpół przytomnym. Głowa ciążyła mu, jak ołów, a mdłe i nie mile uczucie krążyło mu po całym organizmie. Zmora nocna wraz z piwem i kielbaskami wieczornymi pozbawiała go wszelkiej odporności.

Lecz gdy pani domu, zapowiedziawszy, że niebawem powróci, oddaliła się do kuchni, zbliżył się do okna, z za którego dolatywały dźwięki polskiego śpiewu. To dzieci stróża bawiły się w podwórzu.

Na widok groźnego właściciela rozbiegły się trwożliwie. Ale pan Schulze tym razem nie zgromił ich, jak zwykle. Zawołał nawet najstarsze z dzieci, dziesięcioletniego Władka stróżowego i wcisnąwszy mu w rękę pięciofenigówkę, powiedział łaskawie:

— Idź do handlu i zmień tę monetę. Oddasz mi z niej tylko cztery fenigi. Resztę zatrzymaj dla siebie.

DZIECI POZNAŃSKIE

Do pokoju wpadł Antek Biedronka, czterna-
stoletni syn ogrodnika i zawołał, cały zdyszany:

— Proszę pani hrabiny, już się zaczęło...

Dziedziczka zerwała się z krzesła, rozmowy
ustały, posypały się zapytania:

— I cóż, mów prędzej, czy biją?

— O jej, i jak jeszcze — brzmiała odpo-
wiedź chłopaka.

Sam zresztą, widać było, że wraca z »bitwy«. Czuprynę miał rozwichrzoną, miejscami włosy po-
wyrywane, kurtkę rozdartą prawie przez pół, na
lewym policzku grubą, sino-czerwoną pręgę. Ale
oczy roziskrzone i mina pełna fantazyi świadczyły,
że młody wojownik nie czuł się wcale pobitym.

Zaczął opowiadać szybko, widocznie przejęty
ważnością swego posłannictwa, które spełniał
z woli dziedziczki, mając sobie powierzone jak-
najszybsze zwiastowanie rozpoczęcia się strajku
w szkole.

— My już od rana wiedzieli, że to będzie
dzisiaj — mówił z zapalem. — Przed klasą patrzy-
limy z bratem przez okno do nauczyciela. On tam
wyjmował z paczki całe kupy nowych książek.

To było zaraz wiadomo, że to niemieckie katechizmy. Więc jak tylko klasa się zaczęła i pan Czypek powiedział, że teraz będzie religia po niemiecku, tak my nic...

— Jakto nic?

— A nic. On gada do nas, do ławek idzie i kładzie książkę przed każdym i powiada, że mamy je otworzyć. A my nic... Ani się nikt nie ruszył. Tak on był bardzo zły i gadał, że będziemy także pacierz po niemiecku mówić, co to wcale już nie mówimy od pół roku. I zaczął mówić — a my ciągle nic... Sam zmówił do końca, a potem poszedł do swego pokoju i przyniósł nową trzcinę, taką grubą jak kij, położył ją na katedrze i wrzeszczał, że teraz będzie lekcja religii. Tak my wstali, Janek Machowiak i mój brat i ja i Kasia od Sołtyśiaków, ta starsza, i my położyli książki na katedrze i kartki od rodziców, że nie pozwalają na niemiecką religię, co my już od tygodnia nosili je w kieszeni. I potem wszyscy wstali i książki pooddawali i do ławek wrócili. A pan Czypek aż głębiej rozdziawił ze złości i wrzeszczał: »wy *Hundeblut*« i po polsku »psia krew, gałgany, złodzieje«... Ale nie śmiał nic zrobić, bo my starsi, stalimy koło katedry, jak te małe oddawały. A potem zaczął wyrywać (pytać) tych z pierwszego roku. Musieli przyjść do niego, a on ich bił po twarzy i wymyślał okrutnie.

— A dzieci co? — zapytano.

Antek uśmiechnął się.

— Te maluskie, to beczwały jak owce, ale żadne nie odpowiedziało.

I zaczął objaśniać, jak potem nauczyciel wezwał starszych chłopców i groził im, że jeżeli go nie usłuchają, to na Wielkanoc nie da im świadectwa dojrzałości szkolnej. Będą musieli uczęszczać do szkoły ponad wiek przepisany prawem. Ale na to on, Antek, odpowiedział za wszystkich, że, choćby sto lat mieli chodzić do szkoły, to i tak nie przyjmą niemieckiej religii. Wtedy nauczyciel rzucił się na niego, szarpał go za włosy, za ubranie, trzciną okładał, a wreszcie chwycił go za gardło i próbował obalić na ziemię. Ale źle trafił, bo Antek, mocny chłopak, ugryzł go w palec, wyrwał mu się i uciekł.

— Hycnałem przez okno i już — powiadał nie bez dumy.

Co potem się stało, nie wiedział; słyszał tylko, uciekając do pałacu, że w szkole powstał ogromny hałas, że nauczyciel przeklinał, a dzieci płakały i krzyczały w niebogłosy.

— Pewnie ta ich jeszcze bije — zaręczał — bo był taki zły jak dyabeł. Ino patrzeć, że którego zatłucze.

W tej chwili ukazał się we drzwiach rządcą z wiadomością, że ludzie we wsi się burzą. Szczególniej kobiety, które chcą iść na szkołę. Zatrzymał je Machowiak starszy przed karczmą i nie puszca dalej. Ale może byłoby dobrze, aby pan dziedzic sam się tam pofatygował i ludzi uspokoił, a także wpłynął na nauczyciela, bo w szkole prawdziwie sądny dzień.

Postanowiliśmy wszyscy pójść zaraz na wieś.

Za ogrodem, przed karczmą, stała duża gromada ludzi, rozprawiając głośno. Na nasz widok gwar umilkł, ale niebawem wysunęła się z tłumu kobieta i padając na kolana, zawołała:

— Ratujcie państwo nasze dzieci, bo im tam głowy pourywa ten hycell!

Panie zaczęły ją uspokajać, a tymczasem dziedzic witał się z gospodarzami i dziękował im, że wstrzymują swe żony od nierozważnych kroków.

Kasper Machowiak, ogromny, barczysty chłop, posiadający 50 mórg niezadłużonej ziemi, wystąpił naprzód i skłoniwszy się, tak mówił:

— Mogą jasnie państwo być spokojni. My tam bab nie puścimy na szkołę. Niech sobie dzieciska same radzą, przecie są Polaki, niech się nauczą na swej skórze, jakto Niemców trzeba kochać.

Przerwała mu jedna z kobiet:

— Wam to łatwo gadać, bo wasz Janek mocny, to mu Czypek nic nie zrobi, ale te moje chroboczki maleńkie, pożał się Boże, Jezusinku miły!... i zaczęła głośno zawodzić.

Kilkanaście głosów kobiecych odezwało się:

— Idźmy do szkoły, niech puści dzieci do domu.

Ale gospodarze zagrodzili im drogę, a Machowiak zawołał:

— Przecież i tak zaraz południe!

To poskutkowało. Kobiety przycichły. My zaś poleciwszy im, by cierpliwie czekały, udaliśmy się ku szkole. Towarzyszył nam Machowiak, zapro-

szony przez dziedzica. Po drodze rozprawiano o położeniu, wytworzonym przez strajk. Machowiak abonował trzy gazety: *Pracę*, *Orędownika* i *Przewodnika* i chwalił, że wszystkie zgodnie nawołują do trzymania się drogi legalnej i unikania wszelkich zaburzeń.

— Dopóki dzieci same strajkują, to im nawet dyabeł nie da rady — prawil poważnie — ale jakby tylko nauczyciel mógł powiedzieć, że go rodzice turbują, to zaraz pisaliby Niemcy, że jest rewolucja polska i mogliby przyprowadzić na nas wojsko. My nie głupi iść na bagnety. Trzeba żyć, żeby tym psiawiarom pokazać, co potrafimy.

Dziedziczka westchnęła:

— Trzeba będzie długo czekać...

Ale gospodarz zaprzeczył żywo:

— Wcale nie długo. Przecie im ciągle zalewamy sadła za skórę. Tu u nas we wsi przed dziesięciu laty było pięciu gospodarzy Niemców. Wielcy panowie — i źle gospodarowali. Teraz jest tylko jeden, Fritze, a tego to ja mam w kieszeni.

Dziedzic wiedział o tem, że Fritze zadłużony u Machowiaka i nieraz mówił, że przybędzie niebawem nowe polskie gospodarstwo we wsi, więc teraz zapytał:

— A prędko wysadzicie go z siodła?

Chłop rozglądnął się ostrożnie wokoło, jakby badał, czy go kto nie podsłuchuje, a twarz jego przybrała wyraz przebiegły.

— Mogłbym jeszcze czekać — odpowiedział powoli. — Niemczysko na pierwszego kwietnia spo-

dziewa się pożyczki od teścia z miasteczka. Ale już czekać nie będę. Kto inny mu nie pożyczy, bo on zadłużony po uszy. A tamten przed kwietniem też nie może, o tem już wiem na pewno. Więc teraz jest dobra chwila. Kolonizacya takiego samotnego gospodarstwa nie kupi. Polacy nie wejdą mi w drogę. Mam Niemca w ręku i kupię tanio.

To mówiąc, wskazał ręką na zabudowania, które mijaliśmy właśnie, jakgdyby je już obejmował w posiadanie. I dodał:

— Pójdzie z torbami, hulał na zabój, niech idzie żebrać do swoich!

Czuć było w jego głosie całą zimną nieubłaganą logikę chłopską, co gdy zbudzona, nie przebaczy, nie daruje. I zarazem była ta postać typowa uosobieniem owego realizmu twardego, owej trzeźwości i energii ludu wielkopolskiego, rzeczywiście wypierającej niemieckich nadludzi wszędzie tam, gdzie współzawodnictwo nie skrepowaniem, a sprawność osobista miarą powodzenia.

Chcieliśmy dalej rozprawiać na rozpoczęty temat i właśnie ktoś zwrócił rozmowę na grożące wywłaszczanie przymusowe z ziemi, lecz byliśmy już u końca wsi, o kilkadziesiąt kroków od dużej piętrowej szkoły, wznoszącej się nad samym krajem pól.

I oto z poza zamkniętych okien gmachu dochodziły nas już głucho krzyki, jakieś ujadania, namiętne wybuchy głosów. Za każdym krokiem naszym wrzaski stawały się wyraźniejsze, rozró-

znialiśmy grube basy dorosłych na tle krzyków dziecinnych.

Chwila jeszcze, a staliśmy przed oknami sali szkolnej.

Widoku, jaki nam się ukazał, nie zapomni póki życia, kto go ujrział.

W sali całej panował zamęt nie do opisania. Czerwony, zziąjany, z oczami nabiegłymi krwią, uganiał się nauczyciel za dziećmi, waląc je niemiłosiernie grubą jak kij trzcina. One uciekały, chowały się za ławki, padały na ziemię i znów uciekały. Rozszałały zaś Niemiec bił ślepo przed siebie, gdzie trafił, po głowach, plecach, rękach. Co chwila porywał mniejsze i ciskał o ziemię, kopał, a potem znów rzucał się w pogoń za innemi, rycząc przytem zachrypłym głosem jakieś niezrozumiałe przekleństwa. W rogu sali, nieruchomie i jakby w hypnozie, stali stuleni w zwartą grupę starsi chłopcy, w liczbie kilkunastu. Przed nimi, odgradzając ich od sali a zarazem od drzwi wchodowych i od okien, stał drugi nauczyciel, trzymając do góry podniesiony i do uderzenia przygotowany potężny bat. Nie bił ich wszakże, tylko krzyczał głośno i wymyślał:

— *Ihr polnische Hunde, dass keiner von euch sich rührt.*

I potem znów:

— *Ruhig verfluchte polnische Kanalien!*

Podarte ubrania i pokrwawione twarze stojących nieruchomo chłopców świadczyły, że i oni byli poprzednio przedmiotem opieki nauczycielskiej, zastosowanej jednak widocznie z mniejszem

powodzeniem, gdyż ubrania obu profesorów również nie były w najlepszym porządku. Wynikiem poprzednich »operacji« była niewątpliwie taktyka, której przyglądaliśmy się właśnie, a polegająca na oddzieleniu starszych i gromieniu głównie małych. Pan Tschaepke, przewany przez chłopców »czypkiem«, był widocznie strategiem nie lada!

I szalał dalej, ale snąć godzinna batalia zmęczyła go nieco, gdyż chybiał coraz częściej, a wtedy miotał się jak wściekły i wołał, że sprowadzi żandarma z miasteczka.

Nagle ujrzał nas i stanął jak wryty. Puścił małą dziewczynkę, którą był właśnie schwycił i targał za włosy. Zaczął sobie poprawiać krawat i widać było, że jest mocno zmieszany. Lecz opamiętał się wkrótce i spojrzawszy na zegar oświadczył, że lekcya skończona i że dzieci mają iść do domu. A potem pierwszy opuścił salę i wyszedł do nas przed szkołę.

Dość hardo zwrócił się do dziedzica i zapytał:

— *Mit was kann ich dienen, Herr Graf?*

Odpowiedziano mu, że przechodząc koło szkoły, pragnęliśmy przypatrzeć się jego systemowi nauczania.

— Jest takim, na jaki zasługują te niesforne bębny — odrzekł. I dodał: — Jeżeli ten bunt potrwa dalej, będę zmuszony telefonować po żandarmów.

Wiedzieliśmy dobrze, że każde nasze słowo należy dobrze rozważyć, gdyż *Berycht* o »najściu na szkołę« pójdzie niewątpliwie do władzy i że

prawdopodobnie za dwa lub trzy dni czytać będziemy w gazecie o nieszczęsnej doli biednego nauczyciela Tschaepkego, osaczonego najazdem z dworu. Niedawno przecież pisały niemieckie pisma o nauczycielach, topionych w Gople przez buntowniczych Polaków.

To też dziedzic oświadczył mu, że nie mamy bynajmniej zamiaru przeszkadzać mu w jego pedagogicznych czynnościach, lecz, że na wypadek skargi rodziców do sądu, chętnie stanjemy jako świadkowie, lepsi od dzieci, których sąd nie dopuszcza do przysięgi.

Pan Tschaepke spokorniał. Wiedział on również dobrze, jak my, czem są procesy o sprawy szkolne w Prusiech. Wiedział, że wygra w każdym razie, gdy wygrali jego koledzy z innych szkół, w których dzieci okaleczały, gdy bezkarnie uszła nawet straszna tragedia Józia Kamińskiego z Anastazewa, której wstrząsające szczegóły podały gazety. Ale wiedział także, że władza, choć broni zawsze swych urzędników, woli jednakże takich, którzy spełniają równie dzielnie swe zadanie, a których bronić nie potrzeba.

Więc zaczął opowiadać, że dzieci pierwsze rzuciły się na niego i że to on bronił się przed niemi.

Lecz nikt go już nie słuchał, bo oto ze szkoły zaczęły wychodzić dzieci.

Wychodziły spokojnie, powoli, bez zwykłego w dni inne pośpiechu. Niemal wszystkie nosiły na twarzy i rękach ślady »lekcji«. Mniejsze płakały

rzewnie. Starsze zato trzymały się dobrze i głośno nas pozdrawiały, od dawna surowo przez nauczyciela zakazanymi słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Tymczasem cała wieś wyległa na ulicę. Na widok pobitych dzieci rozlegał się głośny płacz matek. Ojcowie oglądali poważnie ślady uderzeń i naradzali się wzajemnie. Tego samego dnia jeszcze poszła skarga do sądu.

Jakim będzie wynik, było z góry wiadomo. Gdzie niema stwierdzonego połamania członków, tam najczęściej nawet prokuratora nie przyjmie zażalenia.

Lecz zato wynik na miejscu, na samym placu boju, był inny. Pan Tschaepke wprowadził do wsi żandarma, przyjechał też inspektor szkolny i nawet komisarz z landratury, ale uporu dzieci nie przełamano. Po kilku dniach pedagogii czynnej na wzór tej, której byliśmy świadkami, nastąpił rodzaj rozejmu. Pan Tschaepke i jego kolega mówią sami pacierz po niemiecku przed zebraną klasą i czytają dzieciom ustępy z katechizmu, ale odpowiedzi już nie żądają. Mszczą się tylko wielką surowością podczas innych lekcyj i skazują dzieci na ciągle odsiadanie aresztów.

»Profesorowie« także nie mają wesołego życia. Wiezorami nie wychodzą z domu, choć we wsi panuje solidarna karność i niktby ich nie zaczepił. Ale w myśl przysłowia o czapce, która gore, wolą kulturtraegerzy szkolni nie powierzać się niepewnym ciemnościom. Spotykają ich też

inne trudności. Nikt we wsi nie sprzeda im szklanki mleka. Nawet ich rodak Fritze nie może im w tej opressyi dopomóc. Machowiak bowiem kupił od niego jego dwie krowy. A że pedagogowie są kawalerami i własnego gospodarstwa nie prowadzą, więc muszą wszystko sprowadzać z miasteczka. Pociesza ich jedynie myśl, że dobroczynny rząd królewski nie zapomni o swoich wiernych sługach.

W tydzień później, o wieczornej godzinie, pani domu zaprosiła nas na wycieczkę do mieszkania ogrodnika, oświadczając, że tam teraz schodzą się dzieci ze wsi i urządzają jakieś narady. Trzeba się temu przypatrzeć.

Doprawdy warto było. Zastaliśmy całą izbę pełną dzieci. Siedziały, gdzie które mogło, na ławce, krzesłach, nawet na łóżku, a reszta na ziemi. Nad nimi zaś na wysokiej komodzie górował Antek Biedronka. W rękę trzymał książkę i coś z niej wykladał swoim towarzyszom. Na nasz widok zeskoczył z komody, ale dziedziczka wezwała go, by nie przerywał swego wykładu. — Uradowany chłopak powrócił na swoją trybunę i otworzył znów książkę. Czytał o Bolesławie Chrobrym. A gdy skończył rozdział, zwrócił się do państwa z przeproszeniem, że on teraz z własnej głowy coś będzie mówił. Dowiedzieliśmy się przeto, że kolejną on i Janek Machowiakowy urządzają taką naukę.

I mówił. Rzeczy proste, dziecinne, widocznie owoce własnych rozmyślań. Opowiadał, że narodu polskiego jest tyle, ile gwiazd na niebie, że

Polska taka długa i szeroka, iż choćby kto szedł przez dwa miesiące, to jeszczeby do końca nie doszedł. A potem oświadczył, że teraz będą pytania i odpowiedzi.

Czekaliśmy ciekawie, bo tu już zupełnie objawić się miała własna dusza malców.

Antek namyślił się na chwilę i potem zapytał:

— Czy kochamy Polskę, ojczyznę naszom tak jak matkę własnom?

Dzieci odpowiedziały:

— Jak matkę własnom.

— I czy dobrymi Polakami bendziemy bez całkie życie?

Odpowiedziały:

— Bez całkie życie.

Nastąpiła cisza. Janek szukał w myśli, coby jeszcze powiedzieć. Dzieci siedziały nieruchome, wpatrzone w niego.

Wreszcie zawołał:

— Ach, już mam! — i zapytał:

— Czy przysięgamy Panu Bogu, że Miemcami nie bendziemy nigdy?

Dzieci zaczęły wołać:

— Przysięgamy, Przysięgamy!

Nagle zapukano do drzwi. Służący przychodził z wiadomością, że przyjechał komisarz, zapewne w sprawie owej skargi, wytoczonej przez rodziców. Wróciliśmy więc co prędzej do dworu.

W izbie zaś, po nauce pana Tschaepkego i po

południowym areszcie, zamiast odpoczynku, lub zabawy, mówiły dalej swoją dziecinną litanię wychowanki szkoły pruskiej, nadzieja niemieckiego *Vaterlandu*, przyszli żołnierze Wilhelma drugiego, dzieci Poznańskie!

ŚWIATŁO KRESOWE

Temu trzy lata w »Bibliotece Warszawskiej«, potem w »Czasie« krakowskim, a przed rokiem w książce o zachodnich kresach, mówiłem o niemieckich drogach ducha. Widziałem je i widzę, jak szlakiem ogromnym ciągną się poprzez kraje piastowe coraz dalej, coraz dalej, na wschód.

One pierwsze, a po nich złoto, a po niem szablą i rządy. I znów jak był pierwszym, tak bywa ostatnim, wieńczy, ogarnia dzieło królewskim samowładztwem nasz najdawniejszy, odwieczny pogromca, duch germański.

Stamtąd, gdzie skończył swe zadanie, z krajów między Łabą a Odrą czerpie moc, by zdobywać to, co jeszcze się broni, nasze dzisiejsze zachodnie kresy. I patrząc już dalej po za słupy graniczne, gdzie dopiero ma placówki, szamoce się niecierpliwie z przeszkodą, co nie znika dość prędko. Kresy jeszcze mu są zaporą. Jeszcze!

O tem mówiono nieraz, mówiono i pisano znów świeżo w Warszawie i Krakowie. I zagrano larum, że zaporą słabnie, że obrońcy sami, jak émy do ognia, poczynają się garnąć do lśniącego złowrogim blaskiem zdobywcy. W tej walce dwóch

duchów nasz oskarżono, że kresy porzuca, ba, że składa już hołdy i bije pokłony przed tym, co od Ditmarów i Ottonów do wrzesińskich pedagogów niesie mu zagubę.

Więc, że na tę pobudkę dzwonię już od dawna, rozkazem niech mi będzie życzenie redakcyi »Świata«, bym w rozprawie otwartej znów rzucił słów kilka.

Znającemu nasze kresy nie łatwo o nich pisać. Stokroć trudniej, niż temu, co jaskrawy obraz maluje z wrażeń przelotnych. Bo rozległy kawał Polski, od Gdańska do Bytomia, to kraj przerażający się w sobie, społeczność niejednolita w swym rozwoju, tu już przekwitła, tam nowe rodząca pędy, tu ciężarna przeszłością, tam nadzieją młoda. Ją łączy jedno wielkie tchnienie życia, lecz jej nie skupia żadne środowisko wspólne myśli już wyzwolonej, dojrzałej w swych owocach. Kresy nie mają stolicy! Nie jest nią dla Wielkopolski Poznań, dawniej przeważnie, dziś na wpół niemiecki, tem mniej dla Śląska i Prus królewskich. Poznań to tylko najbardziej polskie z większych miast kresowych, jedyne, w którym żywioł polski poważną odgrywa rolę. Daleko mu do miana rzeczywistej duchowej stolicy, jak nią jest Warszawa dla Królestwa, Kraków i Lwów dla Galicyi.

Kto poznać chce kresy, temu nie wystarczy gród Przemyśława, ten rzemiennym dyszlem wędrować powinien po zachodniej Polsce, zbadać jej części o ustroju tak niejednolitym i śledzić polskie drogi Ducha, krzyżujące się z niemieckimi,

nieraz ginące wśród obcych chwastów, często roztwierające zapadłe pustkowia, gdzie na pozór zamarło już rodzime życie. I potem niech sądzi o sile, o mocy duchowej piastowego dziedzictwa.

A sądzą bracia nasi z za kordonu najczęściej według Poznania! I szukają w nim najpierw rzeczy, która nie jest z tego kraju, szukają w nim wyzwolonej, wszechstronnej kultury polskiej. Żle sobie poczynają. Bo szukając czego niema, nie dojrzeć im łatwo tego, co jest, rozmaicie jednostronnej, ale bardzo prawdziwej polskiej kultury na walczących i cierpiących kresach.

Bywają też inni. Przybył niedawno brat z Litwy, człowiek starszy, co dużo doświadczył i dużo pamięta. Ten chciał patrzeć pilnie i sądzić sumienie. Zaczął od wiodącego cichy żywot Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Potem zwiedził wspaniałą bibliotekę Cesarza Wilhelma, przeczytał plikę druków niemieckich, nawołujących do zatarcia wszelkich śladów wyższej kultury umysłowej polskiej. Rozmawiał z byłymi uczniami szkół wyższych i średnich, wydalonymi za objawy polskiego ducha, własne, lub nawet rodziny. Był w redakcyach, którym nie wolno zatrudniać współpracowników z za kordonu i mających nieraz po kilku redaktorów w więzieniu. Dowiedział się o groźbie wypędzenia za granicę, skierowanej przeciw prof. Askenazemu, gdy zamierzał wygłosić odczyt w Poznaniu. I stanął także zimowym wieczorem we wsi na rozdrożu, pod figurą, gdzie sto dzieci śpiewało »Pod Twoją obronę« i nabiegłe krwią rączęta wyciągało do Królowej Korony Polskiej. A wróciwszy

wiosną, odprowadzał polskiego kapłana, idącego do kaźni więziennej.

Spotkałem go wtedy i zapytałem, co myśli o kresach. Przystanął starzec, zdjął czapkę z głowy, i powiedział głosem cichym, jakim się mówi w kościele, pełen uszanowania — panie, mnie się zdaje, że w domu na Litwie, cofnięty o lat czterdzieści, do owych czasów straszliwych, które dziś, po latach tylu, wspominam z dreszczem przerażenia.

Ten brat z daleka nie poznał kresów, widział tylko ich męczeństwo. Wyjechał, nie ujrawszy pracy, naprawy przeszłości, budowania dni przyszłych, mimo gromy i nawałnice. Nie był w tych wsiach najciekawszych, najrzewniejszych, gdzie dwór obcy oddawna i dziesięć mil wokoło nikt z »wyższych« nie odpowie na polskie pozdrowienie, a gdzie sto gazet polskich w chatach i matki wieczorami uczą dzieci czytania w języku przodków i pod okiem obcych przełożonych przy wyborach cała gmina, jak jeden mąż, głosuje na Polaka. Nie zbadał naszych banków, spółek i stowarzyszeń, nie zmierzył wartości rolnictwa i handlu, ani zakresu działania czytelników ludowych i Pomocy naukowej.

A jednak ten Litwin-Sybirak, ze łzami w oczach mówiący swe smutne wrażenia, uczuciem swem odgadł, w jaki sposób sądzić należy zachodnie kresy, tę jedyną dziś część Polski, jawnie i bez osłony skazywaną na zagładę.

Są w niej błędy i braki i winy. Gdzież ich niema! I nie jest sprawą dobrego syna ojczyzny o nich milczeć, nie wzywać do naprawy. Ale temu,

co czyni wyrzuty walczącym o życie, chyba zabraknąć powinno zacięcia i swady krytycznej. Opatrując rannych, trzeba mieć lekką rękę i kochające serce. A prócz tego trzeba mieć gotowe lekarstwo.

Więc, gdy się widzi, że dobrowolny lekarz zbyt obcesowo zabiera się do leczenia, a w zanderzu swem nie nosi lekarstwa, wtedy blizkiego ogarnia zrazu tylko jedno uczucie, on pragnie z rozkrzyżowanymi rękami stanąć między chorym, a leczącym i zawołać temu ostatniemu — proszę nieco ostrożniej.

Ale to uczucie nie umniejsza świadomości, że choroba jest ciężką istotnie. Dlatego znów o niej chętnie dziś mówię.

Powiedziano — upada polska kultura na kresach. Tak nie jest. Ona rośnie i krzewi się. Przerwane tylko jedno, najwyższe jej ogniwo. To wystarcza, by się niepokoić i trwożyć. Pocóż przyczyniać sobie smutków niepotrzebnych. Sądzę, że niebardzo mijam się z prawdą, twierdząc, że pod zaborem pruskim jest więcej Polaków, umięjących czytać i pisać po polsku, niż na całym obszarze innych ziem Rzeczypospolitej. Tak samo z ogólnej liczby abonentów pism polskich z pewnością połowa żyje w obrębie czarno-białych kolorów. Z czterech milionów ludności wszyscy, prócz niemowląt, piszący i czytający, a ćwierć miliona płacących abonentów, to zaiste poważne i podniosłe cyfry.

Powiedziano — kresy chłopieją. I to niedokładne. Bo to społeczeństwo oddawna przeważnie

chłopskie, w każdym razie przeważnie ludowe. Ale ten lud jest takim, że powoli wytwarza z siebie wyższe warstwy, staje się narodem. Patrzymy, jak polszczeją miasteczka i miasta w Księstwie, śledźmy pierwsze zawiązki takiego samego objawu na Śląsku. Policzmy różne szczeble rozwoju chłopów rolnego, aż hen w górę do tych, co we dwóch, lub sami, za drogie pieniądze skupili w swem ręku takie obszary ziemi, że wchodzi w szeregi większych właścicieli. Trochę swobody, a nowa szlachta bez herbu stanęłaby wkrótce na widowni społeczno-politycznej.

Lecz w części naszych kresów ma jeszcze szlachta swoje dwory. Nieliczne one. Jest ich nie całe pięćset. Ale bądź co bądź istnieją i snąć szczuplej ich liczby niemalą jest waga, gdy feodálny rząd pruski sięga po rozpacznie socjalistyczną broń wywłaszczenia. Czem znaczy ta garstka siedzib szlacheckich, czem, jeżeli nie swoją zawodową kulturą? Odrodzenie pracą po upadkach tyłu, postęp gospodarczy po dawnym zastoju, czyż to nie rzetelna, prawdziwa kultura, czyż to mądre władanie materją nie jest objawem siły ducha!

A duchowieństwo, a praca społeczna i potężne wyniki działalności zbiorowej na polu finansów! Możliwość dużo mówić, dużo chwalić, porównania stawiać, zaprawdę nie na niekorzyść zachodnich kresów. I trzeba uprzytomnić sobie tło, na jakim się rozwija życie polskie pod skrzydłami czarnego orła. Wszystkie szkoły od pokoleń niemieckie, a wojna ekonomiczna tak silna, że nawet domu mieszkalnego nie wolno Polakowi sta-

wić na kupionej parceli. Któż nie zna smutnej litanii naszych bólów i udręczeń. I któż, zbadawszy kresy, zaprzeczy, że to walczące o życie społeczeństwo może walczyć tylko i jedynie swoją kulturą.

Szabli nie mamy, broń polityczną dźierzymy tylko dla zasady i honoru, a puklerzem naszym i godłem i orężem jest prawdziwie, jest z konieczności, a dziś już z tradycyi i przekonania, polska, własna, na przekór obcym rosnąca kultura.

To chciałem, to trzeba powiedzieć, od tego zacząć, gdy się woła na trwogę i niemieckiego ducha zwiastować chce napory.

Ale potem, wzmocniwszy serce kordyałem tego, co widocznie dobre i dzielne, wolno zbadać poważnie to, co upadłe i chore.

II.

Polskiej kulturze na zachodnich kresach, tak dzielnie umocnionej w swych podstawach, tak świetnie rozmaitej swemi licznemi, a rozległemi objawami, brak najwyższego, brak ogniwa, skupiającego wszystkie inne, duchowej syntezy. Zawodowa kultura większa, niż gdziekolwiek, w obrębie ojzyny. Myśl wyzwolona, kultura wszechstronna, nikła i niknąca!

Nie wszędzie oczywiście. Są jednostki, posiadające jej wiele. Znamy dwory, znamy ludzi o kulturze nie tylko ogólnopolskiej, lecz ogólnoeuropejskiej. U nich spotkasz, oprócz rodzimych, świeże

wydawnictwa francuskie, włoskie, niemieckie i angielskie, stwierdzisz osobiste stosunki z działaczami umysłowymi zagranicą, ujrzysz widnokreśli szerokie, oglądę wiedzy i sądu pierwszorzędą. I po za dworami, szukając, odnajdziesz takich ludzi.

Ale, czy na wsi, czy w mieście, musisz ich szukać, a możesz, badając kresy przelotnie, łatwo ich nie znaleźć. Bo nie tylko brak im wspólnego mianownika, lecz także nie istnieje żaden zbiornik ich myśli, ich umysłowego czynu. To prawdziwe jednostki, samotne w swych duchowych potrzebach, gdy w kraju wre walka, kipi praca o życie.

Więc najgłośniejszymi u nas nie są tacy, być nie mogą, bo choć jest ich myśl, niema czynu im właściwego. W szeregu stają i także walczą, bronią pospolitego ruszenia, oni w odmiennych warunkach do innych zdolni zapasów.

Niejednemu żal swej niewyzyskanej siły. Idzie przeto z kresów w serce ojczyzny, tam działa, tam czyni, tylekroć chlubnie i szczytnie, świadectwo dając łączności mimo-rozbiorowej, darem będąc uciśnionych województw granicznych dla silniejszych środkowych. I gdy tak Rzeczpospolita cała różną, od zachodu najgorszą, trapiąca jest opresją, przesmutne kresy wciąż składają braciom swój podatek ducha. Kto został, kto jeszcze został, a nie zamilknął, temu nie pora odzywać się w domu. Píše dla dalszych, w Krakowie lub Warszawie, bo swoi najbliżsi, wsłuchani w szcęk i zgrzyty bojowe, wypatrując, skąd nowy cios padnie, już nie zdolni darzyć go uwagą.

Nasuwa się zarzut — gdzież Towarzystwo

Przyjaciół Nauk? Czemu nie skupia, nie budzi, nie kształci smaku do rzeczy wytworniejszych, czemu nie podnosi poziomowi potrzeb umysłowych wśród warstw wyższych?

Odpowiemy na to — czemuż potrzeba zarzut ten zbijać, czemuż kresy zachodnie braciom dalszym tak obce, że nie wiedzą, iż ciche kroki Towarzystwa podsłuchiwane są już pilnie przez wprawne uszy tych, którym nawet polska mowa zawadą i co w mieszkaniach uczniów szkolnych urządza obławę na książki szkolne. Kilka objawów głośniejszych, trochę ruchu widocznego na zewnątrz, a Towarzystwo Przyjaciół Nauk podzieli los tylu innych dzieł polskiej myśli, będących dziś już wspomnieniem. Obwarowano je statutami, umocniono prawem! Cóż znaczą statuta, czem ochrona prawna, tam, gdzie w imię ustawy dzieje się wszystko, co nas boli.

Na kresach żyjemy szybko. Co wczoraj zdało się pewnem, dziś jest wątpliwem. Kto przed rokiem wzywał do ożywienia Towarzystwa, ten dziś jednego tylko może mu życzyć — przetrwania, przetrwania za każdą cenę, choćby częściowego letargu. I wdzięcznym jest przezornemu zarządowi, dobrze pojmującemu swe obecnie główne zadanie, mimo rady chwilowo niewczesne, ludzi szczerych, lecz niebaczących na skutki.

Ci niech raczej spojrzą na wykłady ludowe imienia Mickiewicza, skupiające liczne rzesze w sali poznańskiego Bazaru. One kwitną, jak wszystko, co u nas dla ludu. I obawa o nie mniejsza. Nie będąc instytucją stałą, z gmachem i zbiorami, są

przez to samo mniej uchwytnie. W danym razie łatwo im się odrodzić pod zmienioną postacią. Chwalono je niedawno w obecności ś. p. profesora Jordana, nie wiele miesięcy przed jego zgonem. Zaczyn filantrop krakowski, odczuwający tak gorąco potrzeby bratniej dzielnicy, zapytał wtedy, czy nie możnaby warstw wyższych krzepić w ten sam sposób duchową strawą. W pytaniu tem tkwił zarzut słuszny, ale i on maleje przy bliższem rozpatrzeniu się w ustroju zachodnich kresów.

Poznań skupia największą ilość inteligencji polskiej w jednym miejscu, a ta największa jakże jest małą! Cóż dopiero inne miasta kresowe, jak Opole, Katowice, Bydgoszcz, Grudziądz, Gdańsk i Toruń? Jest co prawda postęp w tym względzie, ale wzrost polskiego żywiołu w miastach obejmuje dotąd najprzeważniej sfery ludowe, lub mało i średnio mieszczańskie. Stąd też w małych miasteczkach jest on daleko bardziej uderzającym, niż w miastach większych. Posiada zresztą Toruń własne Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Prusy królewskie. I ono jednak, na równi z poznańskiem i dla tych samych przyczyn skazane jest na żywot cichy i ostrożny.

Sprawa wyższej oświaty polskiej na kresach, to istnie błędne koło. Gdyby krzewić się mogły swobodnie polskie zakłady i towarzystwa naukowe, rósłby poczet ich zwolenników i przyjaciół. Gdy zaś przytłumione są, lub wcale ich niema, niknie także zajęcie się celem i przedmiotem ich istnienia.

Wszystko na kresach sprzysięga się przeciw

rozwojowi wyższej oświaty polskiej. Sama jej istota sprawia, że trudniej ją rozpowszechnić od owej niższej, przystępnej dla ludu. Stosunkowo nieliczna inteligencja wiejska i miejska, mimo swą gorącą i coraz gorętszą miłość ojczyzny, czerpie całe swe wykształcenie w źródłach niemieckich. Zdobywa w nich swe poważne wiadomości zawodowe, kulturę jednostronną, bardzo polską w swej treści, gdy tak znakomicie polskiej służy sprawie. Ale nie zdobywa kultury ogólnej, wyższej, nawet niemieckiej, bo ta właśnie, choć najłatwiej przystępna, staje się Polakowi kresowemu coraz bardziej obcą i wrogą. Więc szuka on u wroga tylko tych rzeczy, które w domu bezpośrednio przekuć może na broń ochronną, na pancierz dzielności zawodowej. I tak dzieje się, że ta broń, polska swym celem i wynikiem, przybiera niemieckie formy. A potem już brak miejsca i czasu i sposobności do zrównoważenia tych, bądź co bądź koniecznych, nabytków obcych swojskimi, nie mówiąc już o zachodnio-europejskich.

Lecz oto jeszcze jeden zarzut, skierowany z za Wisły, przeciw Wielkopolsce. Powiedziano jej — jesteś parafią. Zarzut ten podkreślono najmocniej, najjaskrawiej. Słowa były rozmaite, lecz treść wymówek zawsze ta sama. — Mimo ucisku, na dziejowem tle walki dwóch ras kwitną na ziemi wielkopolskiej najbujniejsze okazy parafiańszczyzny, najbarwniejsze kwiaty szczerego, prawdziwego prowincjonalizmu.

Rzeczywiście! Lecz niech wybaczą mi szanowni krytycy spraw wielkopolskich — ten właśnie

zarzut jest najlepszym uniewinnieniem, najprostszym wytłómaczeniem poznańskich stosunków.

Parafia, prowincja! Te słowa są kluczem do zrozumienia tego wszystkiego, czego nie tłómaczy ucisk obcych. Trzeba dobrze znać Poznańskie, by zrozumieć, do jakiego stopnia Wielkopolska stała się typem prowincyi. Niemal wszystkie jej cnoty, niemal wszystkie jej wady, można pomieścić w tym typie. W nim trzeźwy realizm i w nim brak polotu, w nim wytrwałość wobec wroga i uporczywe swary domowe, w nim także znakomita odporność przeciw nowinkom przewrotowym i duszna ciasność poglądów.

Pamiętam, lat temu kilka, tydzień spędzony w głębokiej Normandyi, w zameczkach szlachty i farmach bogatych rolników, w których cztery koterye uosabiały cztery sąsiedzkie zazdrości, a gdzie i pracy wiele i rozumu dużo i dzielności zasób spory. Tam cały widnokrąg umysłu ściśle ograniczony sprawami dnia. Tam wszystko dostrojone do miary przeciętnej, ludzie twardzi, kwadratowi, widzący niesłychanie bystro rzeczy bliskie i dotykające. Tam dziedziczną pracowitość i dziedzicznymi plotkami i zawiściami sąsiedzkiemi, tam wszystko twarde i ustalone, mocne i poziome, jak płaska i urodzajna gleba tego kraju.

Prowincja wielkopolska wieloma rysami przypomina ową normandzką. Ale tło jakże inne i o ileż większem jej odosobnieniu. W odciętej kordonem granicznym od żywych źródeł narodowego życia, żyje duch własny, także polski, ale wychowany w odrębnych warunkach istnienia kres-

sowego. On mało wytworny, lecz zapominać nie wolno, że jemu najbardziej z całej Polski danem było urzeczywistnić społeczny program trzeciego maja! A że w Poznańskim dla atenczyków duszno, że z nad Warty daleko nietylko do Aten, lecz także do Krakowa i Warszawy, tego przyczyny zapisane w księdze, nikomu z nas nie obcej, w porzecznej historii polskiej!

Więc wszystko w porządku, więc na kresach, prócz ludowej i zawodowej, wszelka inna kultura polska skazana jest na zagładę. Więc niema lekarstwa, niema rady?

W każdym razie rada nie łatwa. Dowodem choćby znamienity objaw, że nie znalazła jej dotąd liczna i znakomita emigracja wielkopolska, stanowiąca chlubę polskich wszechnic, działająca tak dzielnie, a rozmaicie, w Krakowie, Warszawie i Lwowie. Ona kocha przecież smutną krainę, z której wyszła na lepszą dolę!

A na koniec jedno. Wyższa kultura, myśl wyzwolona, to wielka pani, wybredna, nie skora do zamieszkania w miejscach dusznych i ciasnych i trudnych. Ale zdarzało się już na świecie, że ją, misterną i wykwinutą, córę światła i swobody, prowadziła nawet do więzień, owa siła wielka, która czyni cuda, miłość ojczyzny!

MANKIETNICY W POZNANIU

Późnym wieczorem zgłosili się dziwni goście. Było ich dwóch, porządnie ubranych i dość układnych panów. Jeden wyglądał na lat 30, drugi był znacznie młodszym. Oświadczyli, że przybywają z Warszawy »w pilnym interesie religijnym«. A gdy zauważyłem, że ten pilny interes nie wymaga zapewne, abym nieznajomych przyjmował o tak późnej godzinie, młodszy zamilkł, zaś starszy, schyliwszy głowę, odrzekł pokornie:

— *Qui accipit, si quem misero, me accipit, qui autem me accipit, accipit eum, qui me misit.*

Zaciekawili mnie. Goście, wpraszający się cytatem z ewangelii św. Jana, to, bądź co bądź, rzecz niezwykła.

Pytałem więc o nazwiska i cel owego interesu. Przedstawili się jako Władysław Kosiński i Stefan Wysocki, słudzy Maryi Bożej, udający się w Jej sprawach za granicę. Dokąd, nie powiedzieli; ale z dalszej rozmowy wynikało, że do Włoch lub Szwajcaryi. Nie określili też bliżej, co tam zamierzają czynić. Za to zaczęli biadać nad zatwardziałością serc w Poznaniu.

— Pukaliśmy do wielu mieszkań. Wszędzie odprawiono nas z niczem. Nawet nie zapytano,

czego chcemy. Służba nie dopuszczała nas do państwa. Najczęściej brano nas za żebraków lub nartętów, wynoszono nam parę groszy, a gdy odmawialiśmy, zamykano drzwi przed nami. A przecież ten dzień jeden, spędzony na ziemi wielkopolskiej, chcemy użyć ku chwale Bożej i zasiał kilka ziarn Prawdy. Tylko w dwóch domach mogliśmy wygłosić słowo Boże. Tu zaś zrządził przypadek, a raczej Opatrzność, że pan sam zoczyłeś nas u wejścia.

To powiedziawszy, starszy, ten, który się nazywał Wysockim, rzucił okiem po pokoju, a ujrzawszy na półce wydanie biblij Wujka, chwycił bez ceremonii jeden z tomów i otworzywszy go, zaczął wertować listy św. Pawła, odczytując głośno niektóre ustępy i krytykując tekst polski oraz równolegle załączony łaciński tekst Vulgaty, a cytując z pamięci tekst grecki, przyczem twierdził, że dopiero z greckiego czytania ksiąg świętych, poznał ich piękność i głębokość.

Następnie zabrał się do Apokalipsy i zawartych w niej proroctw o Antychryście.

— On jest już, żyje i narodził się w Polsce — zawołał uroczyście.

Odwiedziny wieczorne stawały się coraz dziwniejszymi.

Po św. Janie przyszła kolej na objawienia własne, a w każdym razie bardzo nowożytne.

Wydobył kartkę z zanadrza i spoglądając co chwila na skreślone drobnym pismem notatki, zaczął wygłaszać fantastyczną opowieść o narodzeniu polskiego Antychrysta.

— W słodką noc wiosenną, wśród woni kwia-

tów i śpiewu słowików, do chaty ubogiej polskiej dziewczycy, na srebrnym promieniu miesiąca spłynął z niebieskiej krainy zwiastun Archanioł. I gdy zaśniał przed nią w swej chwale nadziemskiej, zlekła się biedna dziewczeczka. A bojaźń jeszcze większa ogarnęła jej serce, gdy usłyszała z ust anielskich, że przeznaczonem jej jest zostać matką przeciwboga, matką Antychrysta. Prosiła ze łzami, by oddalono od niej ten kielich goryczy. Lecz Archanioł oznajmił jej, że nieodmienną jest wola Opatrzności. Więc ukorzyła się przed nią i spełniły się proroctwa, albowiem Antychryst jest poczęty. A na nasz kraj i świat cały przyjdą czasy jego rządów, panowanie księżęcia ciemności i cuda i dziwy bez końca.

Przemawiał tonem coraz uroczystszy, rękę wznosił ku niebu, a młodszy towarzysz spoglądał nań w niemym zachwycie.

Lecz ja, chcąc położyć kres natchnionym wywodom wędrownego apostoła, oświadczyłem gościom, że mimo tak smutną sprawę Antychrysta, uczyniliby dobrze, opuszczając moje mieszkanie i udając się na spoczynek.

Ale goście byli innego zdania.

— Jeszcze chwilę — prosili — słuchaj pan naszych wywodów, gdyż żadną miarą nie możemy ich nie dokończyć.

Rad nie rad słuchałem więc dalej. Na stole leżała plika gazet warszawskich. Przyszło mi na myśl, że zapewne mam przed sobą zwolenników dziwacznej sekty, która obecnie wywołuje tyle wrzawy w Królestwie. Jakoż słowa tajemniczych

panów utwierdzały mnie w tem przypuszczeniu coraz bardziej.

Zrazu, co prawda, gdy ich o to wprost zapytałem, dali odpowiedź wymijającą. Ale niebawem okazali wielką sympatyę dla potępionego przez władzę duchowną ruchu maryawitów, *alias* mankietników. Nie przyznając, że sami do nich należą, zaczęli się rozwodzić nad przyszłością tego ruchu, twierdzili, że ma on wielką ilość cichych zwolenników wśród świeckich.

— Księży pójdzie za nim niewielu, to rzecz pewna, chłopci zaś obecnie tylko tu i owdzie. Ale wśród świeckiej młodzieży warstw średnich, inteligencji, znajdzie się zwolenników znaczna ilość. Szczególniej liczyć można na kobiety od prostej mieszczki do studentki. Tym pali się w głowach i w sercu. Szukają i pożądamy, same nie wiedzą, czego, a tym nieokreślonym dążeniem dadzą określoną postać »przykazania« Felicyi Kozłowskiej.

Gdy im na to odpowiedziałem, że przecież rozsądny człowiek, choćby nawet nie katolik, musi ową damę uważać za waryatkę, a jej dziwaczne praktyki wraz z wizytami archaniola Gabryela jako widoczne oznaki umysłowego obłądzenia, zaczęli ironicznie dowodzić, że mogą zaręczyć, iż w takim razie obłąkanych znajdzie się wielu w Królestwie, którzy owe »wizyty« archanielskie nie będą tak lekko cenić, jak ja to czynię.

— Niech biskupi dobrze pilnują swoich wiernych trzodek — dodali — bo, sporo owieczek już im z nich ucieka.

Dotąd przemawiał głównie starszy z przyby-

szów. Teraz zaczął się częściej odzywać młodszy. I on na równi ze swym towarzyszem okazywał dość wielką znajomość Pisma św., połączoną z najfantastyczniejszymi dedukcjami przytaczanych ustępów. Zapewniał, że wśród młodzieży gorącego serca w Królestwie odbywają się zebrania, na których badaniami są proroctwa i Ewangelie, a nadewszystko objawienie św. Jana.

— Zresztą — zaręczał — nowa religia posiada tę zaletę, że coraz to piękniejsze rodzi owoce. Można czcić »matkę« Kozłowską, a jednak mieć własne natchnienia. Mają też podniecie z nieba rozmaici świeccy i duchowni, a nawet wśród młodzieży gimnazyalnej nie brak cichych adeptów.

Potrącił także o przychylność, okazywaną dotąd ruchowi sekciarskiemu przez władze rosyjskie i stwierdził, że, jak niegdyś prawdziwą naukę Chrystusa przyjmowało więcej pogan niż żydów, tak i obecnie władze państwowe łaskawsze są wobec propagandy maryawickiej, niż powagi własnego polskiego społeczeństwa. Unikał wprawdzie także otwartego przyznania się do udziału w sekciarskiej robocie, ale co chwila zapędzał się w swym zapale tak daleko, że udział ten był zupełnie widocznym. Starszy towarzysz strofował go wtedy wzrokiem, nie uważając snąć za stosowne otwartego zrzucenia maski przed profanem.

Lecz zegar wydzwonił jedenastą, a cierpliwość profana miała się rzeczywiście ku końcowi. Oświadczyłem energicznie obu apostołom, że stanowczo pragnę, by mnie natychmiast uwolnili od swej obecności.

Na takie *dictum acerbum* wyprostował się dumnie starszy i rzekł uroczyście:

— A więc teraz na odchodnem, wyznajemy że należymy rzeczywiście do zwolenników błogosławionego ruchu odnowienia kościoła Bożego, którego przywódców zowią pogardliwym mianem mankietników. Ale ószczerstwa i przezwiska nie mu nie zaszkodzą. Nie boimy się także klątw, wydanych przez masonskie duchowieństwo. Bo słowa archanioła Gabryela pewniejsze są niż słowa ludzkie, a on matce Kozłowskiej przepowiedział pewne zwycięstwo. Wierni naszego nowego kościoła, posilając się kilka razy dziennie chlebem Bożym, zmazują swoje grzechy i przez to są silnymi na duchu i na ciele.

Z wiosną, gdy się lud wiejski poruszy, setki apostołów pójdą rzucać w rzesze ziarno prawdy. A wtedy zobaczymy, który kościół zwycięży, czy stary opuszczony przez Boga, czy też nowy, prowadzony przez świątobliwą mateczkę, odbierającą rozkazy wprost z nieba. Wreszcie patrz pan, nie zbywa nam nawet na podstawie doczesnej.

To mówiąc wyciągnął z kieszeni gruby pugilares, a z niego sporą paczkę banknotów.

Chowając ją znowu, zawołał:

— O swoich sługach Opatrzność pamięta!

Wyszli wreszcie. Mnie zaś przyszyły na myśl rzeczywiście prorocze słowa polskiego wieszczą, gdy lat temu sześćdziesiąt przeczuwając blizkie wówczas żniwo proroków fałszu w naszym kraju pisał:

Lecz narodu duch zatruty
To dopiero bólów ból.

A po tym, który jemu serce rozdzierał, wciąż nowych bólów dopuszczenie Boże splata nam wieńiec cierniowy.

I nietylko boleści, ale też wstydu. Bo prócz tego, że szkodliwemi, są także śmiesznymi i upokarzającymi szaleństwami, których opisy zapełniały przez całe miesiące łamy naszych gazet. Archanielska *tournee de visite*, nie zaczęła się u nas. Rozpoczęła się w Paryżu, lat temu kilka, gdy wróżbiarce półświatka i spirytyzmowi oddanych dam z arystokracji prorokował najróżnialsze przygody, również archanioł Gabryel. Zachwycały się jego słowami stare i młode histeryczki, do wróżbiarki zaglądali też podobno wolnomyślni mężowie stanu z grupy panamistów i parlamentarnych krzyżoburców, ale bulwarowy mistycyzm spotkał się niebawem z przeciwnikiem godnym siebie: z bulwarowym dowcipem. I skończyło się na kilku wesołych piosenkach i komedyjce, w której za pomocą telefonu, naśladowującego głos archanielski, zadłużony zięć strofuje bogatą teściową.

Nad Wisłą inaczej. Hallucynacje płockiej histeryczki złączyły w apostołstwie nowej wiary kapłanów cały szereg i świeckich setki, a nawet tysiące, po wsiach. Biskup musiał objeżdżać zbuntowane parafie, a jak wiemy, nie wszędzie objechał ze skutkiem. Wodewil paryski przybrał u nas kształty przejściowej co prawda, ale jednak poważnej tragedii. I w tej powadze leży wstyd całej sprawy.

Bo cóż nie przyjmie się na gruncie, na którym takie, choć przelotnie, przyjmują się hasła!

Chorobliwe fantazyje na polu religijnem są nie-raz znamiennym objawem czasów trudnych, w których duch słabnie i chorzeje. Nie zabrakło ich i na zachodnich kresach. Ale tu przynajmniej dały one świadectwo dojrzałości naszego społeczeństwa.

Nie do herezyi, nie do śmiesznych dziwactw mankietniczych namawiano nasz lud, owszem ludzie nieopatrzni a zgorzkniali rzucili hasło pozor-nie wcale nie szkodliwe, choć w swej istocie i możliwych skutkach niebezpieczne — przejścia naszej emigracyi berlińskiej i westfalskiej na obrządek katolicko-ormiański. Miała to być zemsta i protest za rzeczywiście niedostateczne uwzględnianie polskich nabożeństw przez czynniki miejscowe.

I jakiż był skutek? Kilka artykułów, nadesłanych gazetom. Nic więcej! Realny zmysł naszego ludu okazał się tu w całej pełni.

O PODZIAŁ W ZYSKACH

W sprawie powiatowej przyjechał do nas Niemiec, sąsiad dość daleki. Wkrótce potem ten sam interes nas zaprowadził do niego.

Po interesie rozmowa o różnych rzeczach, także o polityce, dość łatwa, bo Niemiec należy do najzawziętszych wrogów hakaty. Podpisał odezwę przeciw wywłaszczeniu, a teraz na prawo i na lewo ofiaruje swój majątek Polakom za mocno słoną cenę.

Nie tai swych przekonań. Przyznaje, że pragnął zawsze owładnięcia Polski przez Germanów, ale w tem zrozumieniu, że to będzie dobrym interesem dla bardzo wielkiej ilości jednostek. Obecnie zaś, jak twierdzi, interes popsuł się fatalnie. Korzyść ma niewielu, a szkody grożą prawie wszystkim. Szowinizm, uprawiany przez hakatę, nazywa wprost barbarzyństwem i zapewnia, że Niemcy, za swoje dzisiejsze krzykactwo patryotyczne, zapłacą kiedyś drogi rachunek.

Rozprawia o tem, ilekroć zdarzy mi się spotkać go w kolei lub w miasteczku powiatowem. Tembardziej rozprawiał w owe popołudnie, gdy sierpniowe słońce przedłużało nasze odwiedziny, wstrzymując nas w chłodnym pokoju.

Było to w jesieni roku 1908. Gazety donosiły o walnych naradach, odbytych w kolonizacji poznańskiej. Szczegółów oczywiście nie podawały, ale trudno wątpić, że w naradach tych zajmowano się sprawą wywłaszczenia. Nasz gospodarz często bywa w stolicy i ma w niej dużo stosunków i znajomości. To też nie zabrakło z naszej strony pytań, czy i co mówią poznańscy Niemcy o sprawie dziś najbardziej piekącej. Mój towarzysz, chcąc go pociągnąć za język, zauważył jakby od niechcienia:

— Kolonizacya ma z pewnością cały plan działania gotowy i rozpraw o nim jest chyba niewiele.

Niemiec skoczył jak oparzony:

— Gotowe, gotowe — zawołał z oburzeniem — jest tylko zamieszanie, niemądra awantura, bezgłowie, stek plotek, intryg, zawiści i wszelkiego głupstwa. To jest gotowe. Nic więcej.

I sięgnąwszy do szuflady, wydobył z niej spis kilkuset właścicieli dóbr rycerskich, którzy podpisali protest przeciw wywłaszczeniu.

— Patrz pan — ciągnął dalej — czego nie dokazało dwadzieścia lat niemądrej polityki na kresach, to w jednej chwili sprawiło nam wywłaszczenie, rozdziwiło fatalnie i bezpowrotnie kresową niemczyznę. Tu podpisali najśmielsi. Pełno innych podpisało duchem, choć nie piórem. Kupcy niemal wszyscy stoją po naszej stronie. Po tamtej zaś stoi hakata i większość urzędników.

— Nie bardzo ten rozłam widoczny na ze-

wnątrz — przerwałem. Lecz on nie dał się zbić z tropu.

— Rozłam jest — zapewniał — tylko wy Polacy go nie dostrzegacie, bo żyjemy rozgraniczeni chińskim murem walki rasowej. Właściwie rozłam ideowy wśród Niemców kresowych istniał już daniel. Polegał on głównie na tem, że roztropniejsi przewidywali złe skutki takiej polityki wobec Polaków, jaką rząd rozpoczął przed 20 laty. Ale to były tylko dość liczne jednostki. Nie było hasła, nie było wzajemnego łącznika pomiędzy nimi. Więc jednostki najczęściej milczały. Nie może być inaczej w społeczeństwie zorganizowanem normalnie, hierarchicznie, z władzami i rządem mocnym i pewnym siebie. Landrat pruski to nie podprefekt francuski, albo starosta austriacki, wiecznie wystraszonej i niepewnej poparcia. Nasz landrat to prawdziwy komendant powiatu, tak jak naczelny prezes jest komendantem prowincji. W Prusiech władze administracyjne są tylko odmianą władzy wojskowej. Bo duch społeczeństwa jest wojskowy. Nie u socjalistów, ale ci nie rządzą i zresztą tu ich prawie niema. Reszta Niemców na wschodzie, jakichkolwiek odcieni politycznych, stanowi karną falangę w rękach władzy.

— Wiemy o tem aż nadto dobrze — wtrącił mój towarzysz.

A Niemiec na to:

— Otóż właśnie wobec tej przyrodzonej karłości naszej, opozycya, jaka się ujawniła przeciw wywłaszczeniu, nabiera osobnego znaczenia. Ci panowie — tu wskazał ręką na spis — cofnąć swych

nazwisk nie mogą. Jeden z nich to uczynił i wysmiano go. Tamtych podpisy zostały. A wszyscy oni mają synów, braci, krewnych w urzędach, sami piastują najrozmaitsze mniej lub więcej korzystne godności, są tysiącem więzów związani z rządowym systemem. Wy Polacy, choć mieszkacie przy nas i z nami, wcale tego nie możecie zrozumieć, do jakiego stopnia może Niemiec być zależnym. I przecież ci ludzie tradycyjnie skrupowani i odzwyczajeni od własnej woli, teraz ją odnaleźli, narazili się na złe zapiski u góry. Bo hakatyści nie zapomną. Oni dobrze sobie zapisali, kto im przeszkadzał w ich wiekopomnem głupstwie, które z takim wysiłkiem przeprowadzili w izbach. Hakatyści zaś rządzą dziś rządem.

Niemiec upajał się własnymi słowami i zaczął tak gwałtownie odgrażać się hakatystom, jak gdyby chciał wzniecić przeciwko nim świętą wojnę. Wyrażał się nawet ostrzej, niż to czynią Polacy i sądził surowiej. Czuć było osobistą nienawiść w jego wywodach. Miałem wrażenie, że gdyby ta filipika była wygłoszoną wobec publiczności warszawskiej lub krakowskiej, nazwanoby ją znakomitą objawem niezależności duchowej i materialnej. Lecz mieszkaniec Poznańskiego przywykł osobną miarą mierzyć opozycyjne uczucia u Niemców. Zapytałem więc w dalszym ciągu naszego gospodarza, jak sobie wyobraża najbliższą przyszłość kolonizacji w Księstwie. Odpowiedź była pełną gorczy:

— Wywłaszczać będą, to rzecz więcej niż pewna. Że to barbarzyństwo niemieczyźnie żadnego

nie przyniesie pożytku, to także pewne. Ale co najpewniejsze, to, że teraz zacznie się wielki obrachunek między hakatystami, a tymi wszystkimi, co sprzeciwiali się wywłaszczeniu.

Mój towarzysz wtrącił tonem dobrodusznym:

— Masz pan na myśli obrachunek przy podziale zysków?

— A jakże, a jakże — odpowiedział skwapliwie Niemiec. — Wywłaszczenie, ogólnie wzięwszy, jest interesem fatalnym dla państwa i nieuczynny, ale jednostkom może przynieść pewne korzyści. Utworzy się dużo posad rozmaitych, dzierżaw, zarządów domen i t. d. To wszystko wzbogaci i tak już rozległą dziedzinę zysków osobistych, płynących dla jednostek z niewyczerpanego źródła walki antypolskiej. A z całej tej dziedziny mają być teraz wykluczeni ci wszyscy, co należeli do opozycji. To będzie zemsta hakaty. I z tego powodu już teraz rozwinięta jest cała sieć intryg i wpływów pokątnych.

Mówiąc to, zdawał się być rzeczywiście zmartwionym, dla nas zaś były jego naiwnie niemoralne żale potwierdzeniem krążących oddawna pogłosek o wielkich niesnaskach w pośród Niemców poznańskich. Dopóki polityka antypolska przynosiła czyste zyski ogromnej ilości Niemców zamieszkałych w naszym kraju, opozycja niemiecka, choć dobrze wiedziała, jak niemądrym jest panujący system, milczała skrzętnie. Lecz hakatyzm przeciągnął strunę, jest nienasycony i bezwzględny i przesładuje wcale nie tylko Polaków, ale także Niemców nie oddanych mu duszą i ciałem. Ten stan

rzeczy istnieje nie od dziś i wytworzył już od dawna dość silne rozgoryczenie. Szalony pomysł wywłaszczenia powiększył je tylko.

Na pożegnanie oświadczył nam nasz gospodarz co następuje:

— Wywłaszczenie jest dziś już niepopularnem w naszym konserwatywnym społeczeństwie. Będzie niem jeszcze więcej, jeżeli Polacy potrafią się mądrze zachować. Uchwalone kredyty wyczerpią się w krótkim czasie. Niebawem okaże się potrzeba wymagania nowych od Izb pruskich, a wtedy wszystko będzie zależeć od tego, w jakim świetle przedstawi się już dokonane dzieło ekspropriacyjne. Nie wątpię zresztą, że jedną stroną obrony t. j. prawną wyzyskacie należycie. Oprócz waszych sił prawniczych warto też porozumieć się z najpierwszemi siłami prawniczymi w Niemczech. To byłaby bardzo droga sprawa, ale doprawdy warto.

Wsiadaliśmy już do powozu, lecz mój towarzysz zapytał jeszcze:

— Mówiłeś pan o jednej stronie obrony. Z tego wynika, że prócz niej myślisz o innych.

— Tak jest — brzmiała odpowiedź. — Mam na myśli bliższą styczność z tymi żywiołami niemieckimi, którym wywłaszczenie niemal równie jest nie milem jak wam, a więc z niemieckimi właścicielami ziemskimi. Te żywioły, jak wiecie, mają dziś wielkie wpływy w Berlinie. Czyż źle mówię?

— Doskonale — zawołał mój towarzysz — ale mnie strzela do głowy myśl jeszcze inna. Gdyby tak zamiast krytykować wywłaszczenie, przeciwnie

wziąć dyabła za rogi i rozwinąć sztandar wywłaszczenia w całej monarchii pruskiej. Rozpętać całą prasę waszej lewicy, subwencyonować ją nawet w tym kierunku, rozesłać setki agitatorów, by rozdawali broszury, zwoływali zebrania, rzucali wszędzie hasło wywłaszczenia. Pomyśl pan! Z tej strony Elby dwanaście tysięcy wielkich właścicieli. W Prusiech dwa tysiące majoratów, na Śląsku siódma część ziemi w ręku prawie dwustu ordynatów. — Tylko rzucić mocno i głośno to hasło, a echa odezwą się wszędzie. Rząd wobec takiej agitacji byłby zupełnie bezbronnym. Wszakże sam zasadę wywłaszczenia uznał i praktykuje. Owszem można landratów zapraszać na zgromadzenia agitacyjne i w ogóle przesunąć całą sprawę z ciasnej dziedziny polskiej na szeroką niemiecką. — Czy sądzisz pan, że to byłoby trudnem?

Śluchający junkier aż zzieleniał.

— Dlaczego pan mówisz takie rzeczy? — zapytał dość kwaśno.

A Polak mu na to:

— Bo tak będzie w rzeczywistości. Ani ja, ani moi przyjaciele polityczni nie będziemy pracowali w tym kierunku, ale ziarno komunizmu rzucone przez księcia Bülowa nie może nie wydać owocu. I wtedy dopiero, ale kto wie, czy nie za późno, junkrowie pruscy poznają, jak źle zrobili, służalczo ulegając rządowi wbrew własnemu przekonaniu.

Powóz ruszył zwolna na piaszczystym dziedzińcu, a Niemiec, wymachując rękami, wołał za nami:

— *Der Bülow muss weg.* Bülowa trzeba usunąć.

Tak wołał, nas zaś ogarnęła wesołość na myśl o niskości ukłonu, jaki złożyłby przed kanclerzem dzielny oponent, gdyby się z nim spotkał.

JAK POLACY KRYTYKUJĄ

Jednym z objawów znamiennych walki antypolskiej w Prusiech jest ogromny rozwój jej literatury. Ma Iliada hakatystyczna swoich Homerów już krocie. Wyszły całe tomy poezyj wojowniczych, drukują się codziennie dziesiątki artykułów, odezów, napomnień i wierszy, w niezliczonych dużych i małych gazetach, tygodnikach i »rodzinnych« dodatkach do czasopism. Od czasu do czasu ukazuje się na półkach księgarskich powieść na tle *Ostmarku*, a całą tę beletrystyczną lekką jazdę wzmacniają cięższe szeregi broszur politycznych w okładkach różnobarwnych, jakich zawsze pełno w księgarniach poznańskich i berlińskich.

Ta literatura obliczona jest na bałamucenie opinii publicznej w Niemczech i na podniecanie niezdrowego szowinizmu. Ale szkodliwość tego rodzaju publikacji ma swoje ściśle określone granice. Oszukują one tylko takich, co chcą być oszukani. Sam ton ich i sposób pisania wystarcza, by przestrzedz myślącego człowieka.

Stokroć niebezpieczniejszym jest szczupły zastęp publikacji »poważnych«, traktujących o sprawie polskiej w sposób naukowy, pozornie *sine ira et studio*. Te »poważne« wydawnictwa stanowią podstawę dla owych niepoważnych. Na nie powo-

lują się najzjadlejsi krzykacze hakatystyczni, rozumiejąc dobrze, że ich krzyki nie miałyby znaczenia bez tła rzeczowej argumentacji.

Tak samo postępuje rząd pruski. I on, gdy wnosi prawa antypolskie w sejmie, opiera się na sprawozdaniach rzekomo bezstronnych. Autorowie ich są prawie zawsze osobistościami w służbie rządowej, a niektórzy z nich tym właśnie pracom swoim zawdzięczają wysokie posady w służbie państwowej.

Pomijamy tu sprawozdania tajne. Tych jest oczywiście dużo, ale o nich trudno wydawać sąd, ile że nie wychodzą poza obręb wewnętrzno-administracyjny, Nawiasem jednak warto zaznaczyć, że przed niewielu laty jeden z landratów poznańskich tak się wyraził wobec Polaka o tajnych sprawozdaniach:

— Są one stosunkowo swobodniejsze od dokumentów przeznaczonych do publikacji. W tych ostatnich musi panować ton i tendencja, miła władzom. W pierwszych zaś władze same, w pewnym stopniu, dbają o dokładność danych, dla własnej informacji. Co potem z temi danymi robią, to inna sprawa.

Tak mówił ów landrat. Lecz jakimkolwiek są tajne sprawozdania, w każdym razie, przystępu do nich nie mamy. Wolno nam zatem sądzić je według ich owoców i przyłączyć się do zdania, które się wyrwało z ust Francuza, zwiedzającego w roku zeszłym księstwo. Zawołał on: — Tu chyba delatorowie starego Rzymu czuli się w swoim żywiole.

Dokładniej osądzić możemy za to te publikacje urzędowe lub półurzędowe, które przeznaczone są dla użytku ogólnego. Tu znów trzeba rozróżnić urzędowe od półurzędowych. Pierwsze grzeszą najczęściej błędami, bardzo subtelnymi i wcale nie łatwymi do udowodnienia. Tak np. sławne sprawozdania komisji kolonizacyjnej. Na pozór w nich wszystko w porządku, a jednak każdy, znający stosunki, wie, że kolonizacja jest, pod względem finansowym, jaknajgorszym interesem, że całe przedsięwzięcie oparte jest na podstawach niezdrowych i niemądrych i stanowi wielkie marnowanie grosza publicznego.

Żyjemy wśród kolonizacji, spotykamy jej działalność co chwila, stwierdzamy bezustannie ekonomiczne nonsensa z jej strony, a potem, gdy otwieramy sprawozdanie, widzimy, że wszystko w porządku. Bilanse znakomicie ułożone, tylko że z takimi bilansami prywatne gospodarstwo byłoby dawno zbankrutowało.

Lecz, mimo zgrabność swego układu, wzbudzają takie publikacje urzędowe wiarę, szczególnie w tych, co chcą wierzyć. Większości parlamentarnej lub sejmowej, nie wiele różni się pod tym względem od czytelników beletrystyki antypolskiej. Co prawda, kłamstwo w ciałach ustawodawczych ukrywa starannieją swą istotę, ale tylko dla oka i ucha, nie dla rozumu. Liczne grzechy przeciw etyce i przeciw porządkowi społecznemu, popełniane systematycznie w sprawie polskiej przez Izby pruskie i niemieckie, nie są w żadnym razie grzechami niewiedomości.

A przecież jest dziedzina literatury antypolskiej, która zgoła odmienne wzbudza w nas uwagi. Istnieje publicystyka niemiecka, która bałamuci umysły jasne, mąci sąd ludziom dobrej woli, wywołuje fałszywe pojęcia u szukających prawdy. Jest to ten dział publikacji »poważnych«, który nie nosi na sobie znamienia wyraźnie urzędowego, a jednak jest półurzędowym, jakkolwiek tę swoją właściwość starannie ukrywa. Nazywają Niemcy dzieła tego rodzaju naukowem badaniem zagadnienia kresów wschodnich. Jest to broń najcięższego kalibru, jaką rozporządzają przeciw nam w dziedzinie myśli, nie dziw zatem, że szanują ją wielce i sławią, gdzie mogą.

I przyznać trzeba, że broń ta jest dobra, a w swych skutkach doniosła. Tacy autorowie, jak np. Dewitz lub Wegener niewątpliwie stworzyli dzieła poważne, oparte na badaniach ścisłych. Fałsz u nich polega nie często na tem, co mówią, daleko częściej na tem, co przemilczają. Fałszywym jest kierunek i tło i obraz ogólny, prawdziwemi natomiast liczne szczegóły i zestawienia z dziedziny ekonomicznej. Jeżeli i w sprawach ekonomicznych nie są ich książki wolnemi od błędów, to trzeba rzeczywistego znawcy stosunków, by usterki te ocenić. Na ogół wzięwszy, wrażenie, jakie ta poważna a na pozór niezależna i bezstronna publicystyka wywiera, jest zgodnem z zamiarami autorów i rządu pruskiego. Wytwarza pożądane obrazy w umysłowości ludzi poważnych i wpływa na opinię w sposób, nie dający się zaprzeczyć.

Największe w tej mierze tryumfy osiągnął

były profesor akademii poznańskiej, p. Ludwik Bernhard, swą książką: *Die Polenfrage*. Obszerne to dzieło, wydrukowane w roku ubiegłym, obejmuje całokształt spraw polskich pod panowaniem pruskiem. Najbardziej w niem jednak uwydatnioną jest strona ekonomiczna kwestyi polskiej, służy zaś cała książka do utwierdzenia zasady, że Polacy tworzą w obrębie Niemiec odrębny a wielce potężny i wciąż rosnący organizm. Niektóre gałęzie działalności polskiej uplastycznia p. Bernhard wybitniej, inne mniej. Rzecz jest tak ułożona, że na pewne czynniki polskie pada światło jaskrawe, jakby dla oka przyszłych ustawodawców.

Nowy pomnik piśmiennictwa germańskiego o nas powitali Niemcy z zapalem. Polacy z uszanowaniem. Bernhardowi ziomkowie jego zgotowali owacyę. W prasie niemieckiej brzmiały hymny bez końca. Gazety polskie przemówiły poważnie, uczciwie, bezstronnie. Wiosną bieżącego roku cesarz Wilhelm zapragnął ozdobić wszechnicę berlińską nowem światłem wiedzy. Z Kilonii, gdzie w ostatnim roku wykladał Bernhard, sprowadzono go nad Sprewę. Uczyniono to nawet tak obcesowo, że kolegium profesorskie obraziło się. Powstał spór, długo niezalutwiony. I bardzo tylko połowicznie zwycięstwo odniósł senat akademicki. Tak rząd pruski umie nagradzać i bronić literatów, piszących o Polsce w sposób odpowiedni.

Tymczasem w zaciszu wsi wielkopolskiej stała się rzecz dziwna. Rolnik i ekonomista polski, p. Zygmunt Chłapowski, wertując książkę Bernharda, wpadł na myśl sprawdzenia rzetelności podanych

cyfr i twierdzeń. Zaczął rachować, porównywać, badać. Zagłębił się w tomy statystyki urzędowej, sięgnął do własnych zapisków i doświadczeń. I oto dzieło sławnego profesora zaczęło mu się okazywać w nowym świetle. Znalazł w nim cały szereg błędów cyfrowych, a więc takich, których istnienie obala całą powagę pracy uczonego statystyka.

Wynik swych badań wprost miażdżący ogłosił polski krytyk w niemieckiej broszurce przed kilku miesiącami. Ujął swą rzecz w formę właśnie taką, jaka w tym razie jest odpowiednią. Narodowa struna nie dzwięczy w niej wcale. Krytyka jest tylko naukowa i przez to dotkliwa. W obronie swej nie może się p. Bernhard powołać na stronniczość polską. Ale obrony dotąd nie było. Czy będzie? Znaną jest taktyka hakatyzmu pokrywania milczeniem niemiłych sobie spraw. Zdaje się, że i w tym wypadku ona nie zawiedzie.

Nie będzie to jednak bez winy polskiej. Jak w bitwie nie wystarczy zwyciężyć, lecz trzeba umieć ze zwycięstwa korzystać i rozbitego przeciwnika ścigać, tak i w walce o uczciwość naukową. Błędy i fałsze udowodnione jak na dłoni. Podkopana powaga hakatystycznej literatury »poważnej« w jej najświetniejszym przedstawicielu. Cóż z tego, jeżeli nie dowie się o tem ta publiczność, dla której rzecz cała w pierwszym rzędzie jest przeznaczona, a więc publiczność niemiecka. Dziś nawet rzecz sympatyczna ogółowi potrzebuje reklamy. Cóż dopiero publikacya, krytykująca dzieło ulubieńca a opinii

Cała prasa szowinistyczna milczy. To naturalne. Ale jest przecież prasa opozycyjna niemie-

cka. Z niej tylko kilka organów, z *Frankfurter Ztg.* na czele, gorąco podniosło krytykę p. Chłapowskiego. Jesteśmy przekonani, że gdyby istniało u nas trochę więcej znajomości stosunków wewnętrzno-niemieckich, byłoby można zwycięstwo odniesione uczynić prawdziwym i doniosłem. Zwycięstwo prawdy i uczciwości naukowej, bezwzględnej i nie zabarwionej żadną stronniczością. Zapominamy o tem zbyt często, że i w Niemczech są prądy sprzeczne i przeciwieństwa jaskrawe. Nie raz w tej lub owej sprawie można z nich korzystać. Ale trzeba na to znać ludzi, mieć prywatne stosunki, słowem umieć się orientować w społeczeństwie, pod którego panowanie poddał nas los. Grzeszono u nas w tej mierze z dawien dawna, a niemniej i obecnie. Sprawa Bernharda jest w tej mierze typową. Jeżeli uczony fałszerz cyfr, zaczepiany przez opozycję niemiecką dla innych powodów, zdoła ubić milczeniem niespodziewany a najniebezpieczniejszy cios wymierzony przeciw niemu przez naszego krytyka, to rzeczywiście zawdzięczy to naszej apatii.

Francuz p. Huret wydał w lecie książkę o Niemczech, której znaczna część poświęconą jest sprawom polskim. Książka jest napisana w sposób płytki i nie przynosi autorowi zaszczytu. Mniejsza o to. Jeżeli o niej wspominamy, to dlatego, że p. Huret w prawdziwie nowożytny sposób postarał się o rozpowszechnienie swego lichego dzieła. W Berlinie urządził sobie istne biuro. Ktokolwiek jest znaną literacką lub polityczną figurą w Niemczech otrzymał w darze produkt zapobiegliwego

Francuza. Ważniejszym osobistościom, gazetom i agencjom wręczono książkę osobiście. Pisma otrzymały gotowe, a w letniej porze bardzo pożądane recenzje. I było rzeczywiście dużo hałasu o nic.

A znakomita praca polskiego krytyka, nie świecąca, co prawda, literacką formą, ale wprost nieoceniona swą treścią, po raz pierwszy od dawna dająca nam zrozumiały dla Niemców odwet za ich wieczne przedrzeźnianie polskiej blagi, ta prawdziwa praca, — utonęła już cicho w morzu zapomnienia.

ROMAN SZYMAŃSKI

Zniknęła jedna z typowych postaci poznańskich. Umarł Roman Szymański, patriarcha stronnictwa ludowego. Ciekawy zaiste człowiek! Z natury, upodobań i przekonań na wskrós realista, byłby niewątpliwie w każdej innej dzielnicy polskiej działaczem prawicy. Byłby nim został może i u nas, gdyby nie przeczulona drażliwość charakteru sprawiająca, że nie znosił stanowiska drugorzędnego. Ten zasadniczy przyjaciel rządu i porządku, ten legalista *par excellence*, urodził się synem mało-miasteczkowego mieszczanina. Inni podobnie zaczęli. Pokrewni mu przekonaniami i pochodzeniem, lecz cierpliwszej natury, wybili się na liderów prawicy w życiu politycznym i ekonomicznym. Znów inni, wyszedłszy z ludu, poszli na lewo i tam zostali z upodobania i wiary w katechizm lewicy. On różnił się i od tych i od tamtych.

Poszedł na powstanie w r. 1863, bo szli kole-dzy, ale wrócił z goryczą w sercu i wielkim niesmakiem dla polityki radykalnej, dla spisków, powstań i deklamacyj patryotycznych. Wrócił z ideałem pracy organicznej, na tle podstaw materyalnych. Realizm jego pod tym względem był nawet zabarwiony tak wybitną troską o dobrobyt ekono-

miczny społeczeństwa, że nie znający go bliżej posądzali go o brak ideałów. Odpowiedział raz jednemu z posądzających:

— Czyż pozytywizm ekonomiczny, to nie idea, a czyż nie z idei rodzi się ideał?

Ale jego ideał nie był tylko filisterskiem dbaniem o dobrobyt. Materyalne powodzenie było w jego oczach jedynie częścią i podwaliną wielkiego czynnika życiowego, w który wierzył, siły. Obliczał siły swoich i obcych, porównywał i ważył, a wynikiem tych rozpatrywań był u niego wielki, może przesadny pesymizm co do polskiego *status quo*, i równocześnie namiętna żądza stworzenia sił jak najwięcej, sił nowych, dorobku prawdziwego i świeżego.

Lecz na to, by nie tylko goić rany, ale dorabiać, budować i tworzyć, trzeba spokoju, ładu i porządku, choćby obcego, choćby wrogiego. Więc był legalistą, zwolennikiem działania na terenie prawa i ustawy. Był nim w owych czasach, gdy jeszcze drgały w powietrzu echa pieśni: »Z dymem pożarów«, gdy wśród skarg, żalów i rozpacz, dopiero z cicha brzmiała pieśń nowa, pieśń pracy i życia.

Z takimi przekonaniem zaczął swą działalność publicystyczną. Z natury rzeczy powinna ona była młodego działacza doprowadzić do stanowiska chorążego prawicy. Lecz on w sobie czuł instynkt nie chorążego, ale wodza, niezależnego wodza i twórcy. A miał przytem naturę hardą i rogatą, bez fantazyi szlacheckiej, lecz z zacięciem mazurskim, a równocześnie bardzo zachodnią przymieszką dość subtelnej, chłodnej, nieubłaganej ironii.

Jeden z współczesnych mawiał o nim:

— On w rozmowie prawi rzeczy grzeczne, ale oczami tak patrzy, że człowiek maleje.

Szymański poszedł w lewicę. Tam było przestronniej, swobodniej. Nie było powag, którym trzeba się kłaniać, nie było różnych starszych rodem, majątkiem, godnością, z którymi na każdym kroku należy się liczyć. Otwierała się droga do przywództwa, do twórczości na własną rękę. Ludzie nie stali w drodze.

Ale przeszkadzało coś innego, większego od jednostek. Ideowe środowisko ówczesnej lewicy nie mogło mu dogadzać. Postępowość dawnego autoramentu, wyrosła ze spisków, powstań i emigracji, była dla takiego umysłu, jak Szymański, właściwie czemś wstrętnem, a w każdym razie rdzennie obcem. Odnajdywał w niej tylko jedno z tego, w co wierzył, słowo — lud. Ale co tamtym było słowem i hasłem, to jemu było programem, co tamci stawiali jako antytezę, on stawiał jako tezę. Co tamci brali negatywnie, on brał pozytywnie.

Z dawnym radykalizmem wielkopolskim z »mocnemi głowami«, co rezonowały na bruku poznańskim o szkodliwości władzy świeckiej papieża, a wierzyły święcie w zbawienne dla nas wpływy niemieckiego liberalizmu, nie łączyło go nic. Najbliższymi pojęciami był mężom, z którymi nieraz skrzyżował szpadę, patronowi Jackowskiemu i X. Wawrzeniowski.

Jak oni, widział w ludzie ogromną siłę przyszłości, jak oni, w ekonomicznym rozwoju zadatek istnienia i przetrwania. I choć nie szedł z nimi,

lecz obok nich, niekiedy przeciw nim, to jednak przedstawiał wspólny im, zachowawcom, pierwiastek w obrębie przetwarzającej się lewicy.

Znamienną jest rola, jaką Szymański odegrał w rozwoju i ukształtowaniu się polityki demokratycznej pod zaborem pruskim. Rozwój ten postępował równoległe z rozkwitem ekonomicznym warstw szerszych. Nie był tego rozkwitu koniecznym skutkiem, ale bez niego nie byłby możliwym. Nowa podstawa ekonomiczna wywołała formy idei demokratycznej zupełnie inne od tych, jakie ujawniał liberalizm starego autoramentu. Szymański wżył się w te nowe formy, ale także do ich ukształtowania się walcnie pomagał. I powiedzieć można, że poszedłszy na lewo, urobił sobie sam nową lewicę na własną modłę.

Różniami były dzieje jego długoletnich w niej rządów. Nieraz pozornie sprzecznymi poszczególne tych rządów objawy. Zawsze jednak odnaleźć można we wszystkim, co zdziałał, nić przewodnią legalizmu, pracy jawnej i opartej na ustawach państwowych. Sobą został zawsze, realistą, nie wierzącym ani w polityczne, ani w ekonomiczne cuda.

A wpływ jego indywidualności był ogromny. Pamiętać należy, czem były dla ludności polskiej pod zaborem pruskim ostatnie trzy dziesięciolecia, jak ta ludność była systematycznie drażnioną i podburzaną ze strony niemieckiej. Jednak umiała zachować spokój i zimną krew, umiała odrzucić głos pokusy, szepczący, że nie ma już nic do stracenia. Nie dała wrogom do ręki wygodnej broni żywiołowego rozruchu.

Że czynniki prawicy w tym kierunku opinie publiczną uświadamiały, było rzeczą naturalną, lecz ile w obrębie lewicy zdziałał w tej mierze Szymański, to wie każdy, kto śledził przebieg naszych spraw publicznych. A stanowiska właśnie wśród swoich stronników nie miał łatwego. Wobec strasznych krzywd i niezdolnego stanu rzeczy, nieraz kończyła się cierpliwość. Że się nie skończyła i da Bóg, nie skończy, w tem niewątpliwie wielką współzastługę ma świeżo zmarły działacz.

Zaznaczono na wstępie, że w innych dzielnicach Polski miejsce Szymańskiego byłoby w szeregach prawicy. Zdanie to wygłosił o nim jeden z wybitnych realistów warszawskich. Odwiedzał go kilkakrotnie, rozmawiał z nim obszernie i mówił potem, że w Warszawie lub Krakowie zachowawcy nie byłiby wypuścili go ze swych szeregów. Wśród zachowawców wielkopolskich szczególnie starszej daty także można spotkać się z tem zdaniem. Opiera się ono na fakcie, że w innych dzielnicach Polski różnice pojęć społeczno-politycznych pomiędzy stronnictwami są daleko większe, niż pod zaborem pruskim.

Za kordonem człowiek tego pokroju, co Szymański, nie mógłby po prostu należeć do stanowej lewicy. Mógł Szymański należeć do niej nad Wartą, bo nie znajdował w niej takiego rozdzwieku z własnymi przekonaniem, jaki byłby znalazł nad Wisłą.

Z prawicą, z którą go tyle łączyło wspólnych poglądów, wojował nieraz. Były różne spory, różne niesnaski i utarczki. Roman Szymański nie miał charakteru łatwego. Nie mieli go także nieraz jego

przeciwnicy. Często nie tyle rozbieżność zdań, ile ostrość charakterów wywoływała gorące starcia na nieszerokiej, prowincjonalnej arenie poznańskiej.

Szymański był zasadniczym przedstawicielem samodzielności ideowej zaboru pruskiego w stosunku do innych zaborów. I pod tym względem był ten przeciwnik prawicy jej duchowym sprzymierzeńcem.

Ubytek doświadczonego pracownika i przewodnika jest ciężką stratą dla wielkopolskiej lewicy. Czasy są coraz trudniejsze. Walki i spory wewnętrzne zmieniają swój podkład, a napór zewnętrzny coraz sroższy. Obowiązek zachowania zimnej krwi wobec rosnącego wciąż ucisku staje się coraz ważniejszym. Każde wykolejenie się, każde choćby najnaturalniejsze ulegnięcie nerwom, grozi pogorszeniem już istniejącego złego.

REALIZM ZACHODNIOPOLSKI

Księstwo jest teraz krajem bardzo odwiedzanym. Dawniej rzadko tylko zabłąkał się zagraniczny człowiek w ciche równiny nad Wartą. Dziś co chwila gość z Francyi, Rosyi, Włoch, nawet z Ameryki. Mówię o gościach, co patrzą i piszą. U nich wszystkich jedno znamię wspólne. Ciekawi są psychologii tego kraju.

— Fakta mniej więcej znamy — powiada mi przybysz z nad Sekwany — ale właśnie ich znajomość utrudnia nam ocenę położenia. Wydalania, kolonizacya, chłosty szkolne i wywłaszczenie, to wasze cztery plagi egipskie, nikomu z nas nie obce. Owszem ten i ów wyliczy ich całą dziesiątkę. I potem jedzie na pole walki, by ją ujrzeć i opisać. Z góry, zanim jeszcze zobaczył pierwszego Polaka, dziwi się, że dotąd słyszał tylko o prześladowaniu, a nigdy o czynnym oporze ludności. Nie ma żadnych zamieszek, żadnych rewolucyj, bomb, nożów, sztyletów, jak w Macedonii, Rosyi, Armenii i wogóle wszędzie, gdzie są jaskrawe walki narodowościowe lub społeczne.

Tak mówił dziś Francuz a inni wczoraj i przed miesiącem i temu rok. Zbadawszy zaś nieco nasz kraj, dziwią się jeszcze bardziej, niż na wstę-

pie. Słyszałem następujące zdanie, wygłoszone przez publicystę paryskiego, współpracownika jednej z wielkich gazet rządowych. Zapewniał on:

— Rząd nasz byłby szczęśliwym, gdyby choć w jednym departamencie rozporządzał ludnością równie potulną, jak wasza poznańska.

A temu zdziwieniu towarzyszy stale podziwianie. Ten sam rządowiec francuski, pisał potem o Polakach pod zaborem pruskim: »W ich uległości jest system. Jak natura daje każdemu stworzeniu barwę i właściwości, zastosowane do jego warunków życia, tak i w rasie zachodnio-polskiej wytworzyły się te zalety, które właśnie jedynie mogą ją ochronić od zaguby. W wielkich koszarach policyjnych, do których można przyrównać Prusy, wszelki opór czynny, fizyczny, byłby nie tylko bezskuteczny, ale owszem ułatwiłby znacznie ciemnościom ich zadanie. Przeciwnie wobec obrony biernej, w której ciągle trwa bierność, a równie ciągle trwa opór, żandarmski system Prusaków jest mniej więcej bezradnym. Owa taktyka bierności obejmuje jednak tylko dziedzinę oporu. Po za nią jest zachodniopolska rasa jedną z najczynniejszych i najruchliwszych w świecie. Rozwija się ekonomicznie w sposób zdumiewający, daleko żywotniej i istotniej od współmieszkającej z nią na kresach rasy niemieckiej. Polak poznański wszędzie tam bierny, gdzie można oberwać guza, a wszędzie tam czynny, gdzie można coś zyskać. Takiego przeciwnika Prusy nigdy nie pokonała«.

Najbardziej zachwycił się taktyką obronną Polaków pod rządem pruskim, przyjazny Anglik:

»Prąd historii wraca do swego źródła — pisze mi z zapałem. — Energia plemienna Polaków, zniknąwszy przez wieki ze swej zachodniej kolebki, dziś znowu w niej objawia się najsilniej. Nigdzie polskość tak nie jest narażoną jak u was, a nigdzie nie jest tak dzielną. Widzę zaś u was charakterystyczne znamię siły, a mianowicie brak nerwów. Gdy porównuję Poznań z Warszawą, wyznaję, że bardziej żał mi Warszawy, biednej Warszawy, nie tylko uciśnionej, ale zdenerwowanej do szpiku kości, do głębi duszy. Zabór pruski zaś, choć uciśniony jeszcze daleko bardziej, jest zdrowy jak dąb, i temu zdrowiu swemu zawdzięcza, że umie się bronić w sposób trzeźwy, praktyczny, obliczony jedynie na powodzenie. Polak zachodni, to istny Proteusz. Chodzi pilnie do szkół niemieckich i wychodzi z nich dzielnym Polakiem. Gdy mu w szkołach ludowych zabrano pacierz w języku ojczystym, strajkował przez chwilę. Nawet poznański spokój ma swoje granice. Ale jakże prędko zapanowano nad temi uczuciami równie szlachetnymi jak niebezpiecznymi. Stwierdzono, że zaczyna się strata narodowa i natychmiast zapał do strajku ustał. Bez wielkich nawoływań! Wszystkie stronnictwa idą w takich sprawach ręka w rękę, w tem społeczeństwie dziwnie jednolitem w swych pojęciach od góry do dołu. Teraz grozi wywłaszczenie. I znów taktyka znakomita. Niemcy liczyli na panikę, a paniki niema ani śladu. Liczyli na wybuchy nerwów, rozpacz, wściekłość, a ja u was stwierdziłem bardzo chłodne i pilne upatrywanie słabych stron w nowym

ataku teutońskim. Tylko tak dalej, a krzykliwa Germania mimo swą przewagę, żadną miarą nie polknie realizmu zachodniopolskiego.

Te obrazy Wielkopolski, odzwierciedlone w lustrach zagranicznych, dają oczywiście tylko ogólną syntezę narodowej obrony na kresach naszych. Istota tej obrony, choć tak jednolicie przedstawia się na zewnątrz, jest na wewnątrz dość skomplikowana. Są u nas różne prądy, a nie brak i nerwów, tylko że te nerwy u nas istotnie mniejszą niż gdzieindziej odgrywają rolę, i to we wszystkich stronnictwach. Wiedzą o tem Niemcy i rzeczywiście wobec ciągłych objawów zimnej krwi ze strony polskiej zachodzą w głowę, jakby nas z równowagi wytrącić. Jest pewnikiem niezaprzeczonym, że w arsenale hakatystycznym jedną z głównych kolubryn stanowi rewolucja polska. Nie mogąc jej w rzeczywistości znaleźć ani śladu, fabrykują z rozpaczliwymi wysiłkami fantastyczne podobizny. Któż nie pamięta z ostatnich czasów nauczycieli, topionych w Gople przez rozwyrzonych chłopów lub tajemniczej przysięgi na pagórku w Gnieźnieńskim. Przecież ten i ów uwierzył!

Ale taka broń zużywa się łatwo. Ogół niemiecki słyszy wprawdzie ciągle o polskich spiskach i gwałtach, lecz ponieważ te opowiadania nie są nigdy poparte faktami, przeto w umysłowości germańskiej rewolucyjność polska stała się czemś mglistym i teoretycznym. Nawet rząd pruski mniej się nią posługiwał w ostatnich czasach, czując, że ta hipokryzja już słabo popłaca. — Skrzypce niemieckie nastrojone są teraz na nutę

cyniczną. Koryfeusz hakaty, radca sprawiedliwości Wagner z Berlina, wiedział, co mówił, i zastosował się do konieczności chwili, gdy wygłosił swe znane hasło, że Polaków wolno krzywdzić. Po prostu zabrakło już nawet pozorów buntu polskiego, których dotąd faryzeizm germański używał tak obficie, jako usprawiedliwienia ucisku. Coraz mniej mówi się o obronie niemczyzny, coraz więcej o potrzebie strawienia obcego ciała, polkniętego przed stu laty.

* * *

Czytelnik z innych zaborów mógłby sądzić, że ta zmiana w terminologii prześladowczej jest dla prześladowanych ostatecznie obojętną. Otóż na to odpowiedzieć należy, że w teorii tak, a w praktyce nie. Cynizm w polityce antypolskiej objawia hakata z konieczności. Ale jak jej z tem wygodnie, o tem niech świadczy rozmowa, jaką miał niedawno obywatel polski z obwodu leszczyńskiego z przemysłowcem niemieckim, byłym posłem do parlamentu.

Mówiono o bojkocie towarów niemieckich przez Galicyę i Królestwo. Fabrykant zapewniał, że chwilowo bojkot ten istnieje więcej w zamiarze niż w czynie, lecz że mógłby się w znacznym stopniu urzeczywistnić, gdyby konkurencya między-narodowa położenie wyzyskała.

Potem rozmowa przeszła na temat stanowiska hakatyzmu wobec opinii. Obecni Polacy zaznaczyli, że świat przemysłowy niemiecki nieraz pry-

watnie skarży się na awanturniczą politykę hakaty, ale nigdy nie ośmieli się jawnie przeciw niej wystąpić.

— Bo wcale nie pragnę drugiego bojkotu hakatystycznego — odparł fabrykant. Po chwili zaś dodał:

— Jednostka jest tu między młotem a kowadłem. Z jednej strony rozniewany Polak, z drugiej podejrzliwa hakata. Z pierwszym sprawa już zepsuta, a w każdym razie pod berłem pruskim. Druga zaś ma, jak panowie dobrze wiecie, swoje czarne spisy, w których firmy podzielone są na patriotyczne i niepatriotyczne, na godne lub niegodne poparcia. Prawdziwie niezdane to stosunki.

— Czy w pańskich kołach wierzą w ich niezmienność? — zapytuje ziemianin polski, u którego się ta rozmowa odbywała.

Niemiec wzruszył ramionami i odrzekł:

— Gdyby można przypuszczać, że Polacy wytrwają w dotychczasowym sposobie obrony, nie wątpiłbym ani chwili, że hakatyzm zabije się własnymi szaleństwami prędzej, czy później. Nonsensu ekonomiczne, gdy przekraczają pewną miarę, są skazane na upadek. Cała polityka hakatyzmu jest jedną wielką niedorzecznością, która pozostawiona sama sobie, nie istniałaby już bardzo długo.

Jeden z obecnych wtrącił:

— Czemu pan mówisz tylko warunkowo, i dlaczego zdajesz się nie wierzyć w trwałość dotychczasowej taktyki polskiej?

Niemiec zastanowił się chwilę, powiódł oczami po zebranych, a potem wybuchnął:

— Bo jestem protestantem i nie wierzę w cuda. Cudem zaś, powtarzam, niemożliwym cudem, byłaby stała, niezmienna równowaga umysłu w kilkumilionowym społeczeństwie, drażnionem bezustannie w sposób najdotkliwszy. Że dotąd potrafiliście taką równowagę zachować, jest z pewnością godnem podziwiania, ale nie dowodzi niczego na przyszłość. Wiem, że się chęlpicie waszym realizmem, waszem doświadczeniem i wytrawnością. Wasi posłowie wciąż wytykają rządowi, że uciska ludność spokojną, ale zobaczymy, jak długo ten spokój potrwa! Ja twierdzę, że nie potrwa, w każdym razie nie tak ogólny i zupełny, jak obecnie.

— Za niedowarzone jednostki nie odpowiada przecież ogół — przerwał mu jeden z Polaków.

— Właśnie, że odpowie — zawołał Niemiec — i odpowie w najstraszniejszy sposób. Przecież tylko na to czekają wasi wrogowie, by się energicznie zabrać do rozwiązania kwestyi polskiej. Tego nikt otwarcie i urzędowo nie przyzna, ale każdy myślący człowiek wśród waszych nieprzyjaciół rozumie dobrze, iż dotychczasowym systemem nigdy nie zostaniecie zgnębieni, i że w końcu te wszystkie nieudane próby znużą opinię publiczną niemiecką. By was naprawdę zgnębić, trzeba was wyjąć z pod prawa jawnie, otwarcie i zupełnie. Trzeba zniesienia, w stosunku do was, konstytucyi pruskiej i ustaw zasadniczych Rzeszy niemieckiej, zdania was na łaskę i niełaskę

już nie sejmu i parlamentu, jak dotąd, ale wprost biurokracyi pruskiej i hakatystów. Wtedy, ale wtedy dopiero, hakata mogłaby pohulać sobie na waszych grzbietach i mówić o zwycięstwie. Dziś mimo wszystko, ona więcej się kłopotuje o swoją przyszłość, niż wy o waszą. I kto wie, czy niejednemu z waszych wrogów już nie byłyby opadły ręce, gdyby nie przewidywanie, że skończy się wasza cierpliwość, że ulegiecie nerwom, choćby tylko tu i owdzie, i że wtedy przy odpowiedniej reklamie uzyska się zaprowadzenie dyktatury na kresach.

Niemiec mówił z takim zapalem, z taką pewnością siebie, że słowa jego nie minęły bez wrażenia. Mimowoli jedna myśl udzieliła się wszystkim słuchającym. Pan domu dał jej wyraz, przypominając sławną sprawę Baerensprunga, zdemaskowanego przez posła Niegolewskiego, gdy w poznańskiej drukarni tłoczono z ramienia policji odezwę rewolucyjną polską. Niemca bardzo zajęło to wspomnienie, które mu było obcem.

— Hakatystyczne pisma — oświadczył — już teraz mniej więcej to samo robią, wymyślając od czasu do czasu różne spiski polskie. Lecz mniejsza o to. Wymyślone rzeczy nie są skuteczną bronią w ręku wymyślającego. Prawdziwych się obawiacie, prawdziwych!

— Ależ niema prawdziwych — zaprzeczono mu chórem.

— Wiem o tem — zapewnił — ale będą, nie mogą nie być. Przecież ludzie są ludźmi. Przeciwnicy drażnią was już teraz bez miary, drażnić

będą nadal wszędzie, ciągle, na każdym kroku. I wy ufacie sobie, że przy takim napięciu, jakie panuje na kresach, potrafcie zapobiedz wyładowaniu się elektryczności! Mojem zdaniem nie potrafcie i dlatego wierzę w zwycięstwo hakaty!

Znów posypały się zaprzeczenia. Zarzucono Niemcowi nieznamość naszego kraju i społeczeństwa i wytknięto mu nawet, że widocznie, mimo swą niechęć do hakaty, sam ulega jej sugestji, wierząc w możliwość powstania polskiego pod zaborem pruskim.

Lecz on bronił się uporczywie:

— Wcale nie mówię o powstaniu, ale o poszczególnych demonstracjach, awanturach, spiskach i wogóle o odruchach, naturalnych u uciśnionych, byle ich się namnożyła dostateczna ilość i byle trochę były jaskrawe. Łudziecie się panowie myśląc, że takie rzeczy są u was niemożliwe. Twierdzą przeciwnie, że są bardzo możliwe, i że one dopiero rozwiążą węzeł gordyjski kwestji polskiej w Prusiech. One są jedynym wyjściem z obecnego zabagnionego położenia. Pomyślcie, ile kłopotu sprawiło hakacie przeprowadzenie wywłaszczenia w Izbach, ile wpływów poruszono, jaki nacisk wywarło. Takich wysiłków hakata sobie zbyt wiele nie może pozwalać, jeżeli nie chce narazić swej sławy, jako czynnika rządzącego w Prusiech. Jej potrzebnym koniecznym taki stan rzeczy, w którym ustałyby wszystkie ceregiele i żmudna procedura parlamentarna.

— A wtedy co? — zapytał pan domu.

— Wtedy pękną ostatnie zapory i runie na

was, już bez osłon żadnych i stopniowań, cała wiekowa wściekłość waszych dręczycieli. Wtedy zapłacicie za wszystko, za waszą polskość i za waszą dzielność i za dotychczasowe niepowodzenia hakaty, i nawet za wstyd, którym się okryła rasa niemiecka, w tak barbarzyński sposób was do siebie nawracając. Wtedy za ten wstyd będzie przynajmniej satysfakcja osiągniętego wyniku t. j. zmarnowania waszych szeregów tak, by został z nich tylko lud bez wodzów, instytucyj, gazet, bez szlachcica, księdza i kupca polskiego, bez związków i stowarzyszeń, bez niczego, co by przypominało własną kulturę. Wtedy, po dokonaniu tego dzieła Prusy będą miały sprawę z jakąś partią proletaryatu obcego, a nie, jak dziś, z narodem zwartym i świetnie zorganizowanym. Tego potrzebuje hakata, a środki ku temu może uzyskać tylko przez was samych.

* * *

Rozmowa toczyła się jeszcze długo. Trudno było przekonać Niemca, że nerwy społeczności zachodnio-polskiej już chyba przeszły przez ogniową próbę i że Polacy w Prusiech wcale nie czują powołania do męczeństwa *ad maiorem gloriam* hakaty.

A jak ten przedstawiciel rasy germańskiej, tak o nas rozumują inni. W obecnej chwili pruska psyche znajduje się rzeczywiście w ciekawym nastroju. Z gazet, mów, broszur, z tysiąca różnych

występów widać, że stropiona jest niepowodzeniem dotychczasowej polityki antypolskiej. Ale naród myślicieli i filozofów upatruje rozwiązanie zagadki tylko jedno: nowe szaleństwa, tym razem już po obu stronach.

Z ROLI POZNAŃSKIEJ

Złotą jesienią, po żniwie, obchodzi lud wielkopolski radosne święto »wieńca«.

Zachował je po ojcach i niesie, jak dawniej, do pana piastową koronę, uwił z kłosów i owocu pola. Są wtedy życzenia chłopów i mowa dziedzica, potem tańce wesole. Kto na nie spogląda, zapomina o smutkach złej godziny i wierzy w dzień przyszedłszy.

Lecz i dziedzice mają nad Wartą swoje dożynki, swój »wieniec« doroczny. W Poznaniu, przed wiosną, zjeżdżają się panowie na walne zebranie Towarzystwa gospodarczego. Dobrze wtedy być z nimi, nie szkoda przyjechać z nad Wisły i Niemna, by słyszeć, jak sobie nawzajem składają plon rocznej pracy, doświadczeń i nauk. Ten zjazd, to święto ducha nowożytnego, święto postępu.

Za nim tragedia przeszłości, tysiące fortun, straconych w wirze ekonomicznych przeobrażeń kraju, za nim widma upadków zbiorowych, całych rodzin znikłych z widowni, za nim winy i większe od win nieszczęścia. A z nim i przed nim dzielność czynu, siła woli i życia.

Z ogromu klęski i nadmiaru boleści powstało to, co mamy przed sobą: mądra, sprawna w postępie spójnia gospodarnej szlachty wielkopolskiej.

Minęła dawna fantazja, swoboda pojęć, zbyt długo dziedziczna po wolnych synach wolnej Rzeczypospolitej. Zamarła, pod ciosami strasznych odwetów dawna sielanka i liryzm życiowy. Ale skupiła się myśl, surowa, twarda i trzeźwa. Dostroiła się do czasów.

Zawodem, nie stanem, jest dziś wielka własność polska na zachodnich kresach. Nowożytne prawidło specjalizacji zapanowało w niej zupełnie. Kto dzierży rolę, jest tylko rolnikiem, ale też całym rolnikiem, sługą swej ziemi, lecz również jej panem. Odkrywa jej siły tajemne, włada jej mocą złotodajną, zespala się z nią na pociechę swoim, na podziw i gniewy obcym. I z tej prozy rozumnej, z tej ścisłości pojęć, z tego realizmu współczesnego, wykwiła nam piękność nowa, poezja czynu i prawdy.

Są jeszcze *morituri*. Są jednostki po za duchowym zespołem ogólnego postępu. Chodzą wśród nas, mając znak śmierci na czole. Ale rachunkowość społeczna dzisiejszej doby nie liczy ich już w swoim bilansie. Oni już z góry zapisani, lecz nie u swoich.

Takich jest mało. Ci dawniej przeliczni są dziś smutną pamiątką skończonych czasów, wyjątkiem, przestrogą.

Nie oni tu przemawiają! Przez trzy dni słuchamy treściwych sprawozdań i wykładów zawodowej rzeszy najlepszych. Towarzyszom i znaw-

com z innych dzielnic ojczyzny dużo tu sposobności do oceny i porównań.

Lecz oto wśród zawodowych rozpraw wyróżnił się głos jeden, sięgający daleko w dziedzinę ogólnospołeczną, będący niezmiernie ciekawym objawem nowożytnych pojęć obywatelstwa ziemskiego w Poznańskim, miarą jego poziomu, syntezą jego kulturalnych zdobyczy i celów.

Temat nie nowy, omawiany często, przedmiot zapалу lub swady licznych apostołów różnorodnej myśli — sprawa robotnika wiejskiego. Uczynił go jednak nowym, uwolnił z rozbieżnej powszedniości p. Stanisław Turno.

Przywykliśmy w rozprawach z tej dziedziny odczuwać zbyt często misternie ukrytą obronę tej lub tamtej strony, robotnika lub pracodawcy. Tu zaś odezwał się przedstawiciel ziemi, łączącej i żywiącej ich obu, rzecznik korzyści wspólnej, nie apostoł, lecz statystyk, zamiast o wzajemnych poświęceniach, uczący o zobopólnym zysku na realnem tle życia!

Uczył dobrze i zyskał uznanie słuchaczy wybrednych, bo przywykłych do cenięcia rzeczy według ich widzialnego i uchwytnego pożytku. To wykładu jego pochwała wielkopolska. Ciekawością zaś dla dalszych świadectwo, jakie mowca wydał nie tylko sobie, lecz słuchaczom dziedzicom, i znów nie tylko im, lecz naszemu ludowi.

Stwierdzą najpierw ci dalsi, że punkt wyjścia, obrany przez mowcę, leży bardzo wysoko, tak nawet, że w niejednych stronach rozległej ojczyzny polskiej osiągnięcie go należy do pragnień

przyszłości. Zagadnienia bowiem, jakie omawia, opierają się na podkładzie już zbudowanym zbiorowej długoletniej pracy społeczno-ekonomicznej i na uzyskanym ogólnym dobrobycie.

Tym podkładem, to owa *polnische Wirtschaft*, niegdyś osławiona wśród Niemców, dziś wstawiona ich obawą, ich ekonomicznymi zamachami, ich głośnem twierdzeniem, że polski pracodawca i polski robotnik stanowią niewygodne współzawodnictwo dla germańskich przybyszów.

Rzućmy więc okiem na sprawę wewnętrzną tego polskiego gospodarstwa. Dobrze ono i zasobne. Lud dzielny, pracowity, wyszkolony w robocie. Panowie żądają dużo i płacą dużo. Nigdzie w Polsce robota rolna nie zaczyna się tak wcześnie, nigdzie praca tak twarda, nigdzie też tyle zarobku i tyle oszczędności. Bo gdzie sprężystość w zarabianiu stała się drugą naturą, tam wprawdzie wymagania życiowe wzrosły bardzo, a jednak zrozumienie wartości nie chroma, tam ciężko zapracowany, ładny i obfity grosz cenionym jest wysoko i szanowanym starannie.

W tę dziedzinę dobrej pracy i dobrego zysku wprowadza nas odczyt. Mówimy z gośćmi z za słupów granicznych. Podziwiają, niemal zazdroszczą tej zdrowej atmosfery dobrobytu, opartej na energii ludzkiej, tych stosunków społecznych niezamąconych jadowitym fermentem nędzy. Zazdrościliby szczerze i zupełnie, gdyby nie fło ogólne, na którem się rozwija całe życie na zachodnich kresach, gdyby nie czarna nawałnica

rasowej nienawiści, piętrząca się coraz groźniej od zachodu.

Lecz o niej w tej chwili nie ma mowy.

Podmuchy burzy nie osiągnęły tego pola kulturalnych zdobyczy. Zapominamy o grzmotach huczących wokoło, widzimy oazę postępu i społecznej harmonii, tem większej, im bardziej niebezpieczeństwo zewnętrzne uwypatnia jej wartość i potrzebę.

— Wasz stosunek z ludem, to raj prawdziwy — szepcze mi przyjaciel z nad Wisły, od dwóch tygodni przypatrujący się sprawom, przy słuchający się ludziom.

Mile brzmi uznanie dla Wielkopolski, wyrażone przez ziomka z innej dzielnicy i radby człowiek dalej słuchać życzliwych jego spostrzeżeń. Ale oto na słonecznem tle tego raju ukazuje się cień ponury. Z mownicy odzywa się głos przestrogi i obawy, stawionem jest zagadnienie, jak zaradzić poważnemu niebezpieczeństwu, rosnącemu nam w oczach.

Słuchamy.

Dziedzic pięknego klucza objezierskiego, rolnik zawołany i zamożny, rozpoczyna od tego, o czem wiedzą całe kresy, że nasz dobry i dobrze płatny robotnik znika ze wsi, uchodzi na obczyznę, nieraz wraca, a nieraz i nie wraca. Coraz on potrzebniejszy, a coraz go mniej. Zastępują go rzesze robocze, sprowadzane z daleka, zależne od przepisów granicznych, a także od zmiennej politycznej aury. W każdym razie, choć ich nie brak, to im brak dziedzicznego już wyszkolenia wielko-

polskich braci. Żywiół sprowadzony nie równy temu, który ubywa. Wreszcie przyrodzonym porządkiem rzeczy najlepiej, gdy swój swojską uprawia ziemię, znając jej potrzeby, zżyty z nią od dawna.

Prelegent mówi wszystkim z serca, dotyka bolączki wspólnej zgromadzonym słuchaczom. Ale potem uderza w strunę nową. Niedosć bolączkę stwierdzić, trzeba jej zaradzić. Pyta, »jak zatrzymać robotnika na wsi« i dodaje odrazu, stawiając sprawę w słusznym oświeceniu, że zagadnienie poruszone stanowi przyczynek do kwestyi socyalnej.

Jeszcze nie słyszeliśmy dalszych wywodów, a już czujemy, że rozprawa na właściwe weszła tory. Rozumiemy z góry, że bilans przyszłości w rolnictwie naszym zawierać będzie wciąż nowe rubryki, rozszerzające jego zakres, nie pozwalające stanąć na miejscu w myśl prawidła, że kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Po Koźmianowem *Ziemiaństwie* przyszły dla rolnika czasy doświadczeń chemicznych i podwójnej rachunkowości, stają dziś przed nim zawile dylematy socjologii, obowiązek badania natury, nie tylko ziemi, lecz i ludzkiej, z całą głębią jej pragnień i twórczą potęgą. Trzeźwy realizm, właśnie dlatego, że trzeźwym, jest zarazem jasno widzącym i wkracza śmiało w świat idei, by z nią i w niej zwyciężyć, a nie stać się jej ofiarą.

Więc robotnik ucieka od ziemi, dziesiątkami, ba, setkami tysięcy, bo zbyt często z żoną i dziećmi. Zaludnia całe wsie i miasta westfalskie, tworzy dzielnicę polską w Berlinie, stanowi już na

obczyźnie ważny niekiedy czynnik wyborczy, rozstrzyga o mandatach współzawodniczących Niemców, ma tam w oddali własne stowarzyszenia i gazety, przedstawia odpływ sił ogromny z rodzinnego kraju. Jest, co prawda, także fala powrotna, ludzi i pieniędzy, ale ta fala jest mniejszą od tamtej, co pcha nasz lud ku zachodowi. Odpływ z roli jest zjawiskiem od dawna stałym, wcale nie tylko właściwym Polakom, lecz ogólnem, jest cechą znamionną drugiej połowy XIX wieku i początku stulecia nowego, w całej zachodniej Europie, z Niemiec zaś najwybitniej w sześciu wschodnich prowincjach Prus, do których od stu lat należą też polskie.

Ale maszyny, ale bezustanne wyzwalanie się warsztatu rolniczego od bezpośredniego działania ręki ludzkiej?

Niewątpliwie. Tryumfy mechaniki nowożytnej są wielkie także w dziedzinie rolniczej. Wydatność jednostki pracującej wzmagą się ciągle skutecznością przyrządów coraz doskonalszych, i gdyby warsztat ziemski miał przynosić tylko tyle, co przed laty 50, nie istniałby dylemat zatrwajający nas obecnie.

Wiadomo jednak, że rolnik wielkopolski wy maga dzisiaj od swej ziemi wydatności potrójnej lub poczwórnej w porównaniu z tem, co wystarczało ojcu lub dziadowi. I wiadomo niemniej, że ten rozmach produkcyjny nie ustaje, lecz zwiększa się, bo ziemia poniżej pewnej, coraz wyższej granicy wydatności, zamiast przynosić kosztuje, staje się ciężarem. Jak Saturn, pożerający własne dzieci,

niszczy i marnuje postępowe rolnictwo słabych lub zacofanych.

Więc gospodarz poznański warsztatu swego zaniedbywać ani chce, ani może. Zwiększona wartość ziemi nie pozostała bez wpływu na obdłużenie. Są w Księstwie przedsiębiorstwa rolnicze, dające właścicielom czysty dochód wielki, czyniące z nich ludzi bogatych, a jednak obciążone długami hipotecznymi takiej miary, że w Galicyi lub w Królestwie nie zniósłby ich majątek nawet dobry. Dość powiedzieć, że 150 marek długu na mordze pruskiej, czyli około 150 rubli na dwa razy większej polskiej lub przeszło 300 koron na austriackiej, stanowi dla roli wielkopolskiej w dobrych ziemiach pożyczkę Towarzystwa kredytowego. Znamy dobra obdłużone ciężarem 600, a nawet 800 marek na hektarze, zatem około 500 koron na na mordze austriackiej, których właściciele nie tylko nie uchodzą za bankrutów, lecz owszem z wygospodarowanych zysków złożyli poważne kapitały, lub dokupili nowe obszary ziemi.

W handlu ziemią na zachodnich kresach Polski panuje, jak na giełdzie, ciągła gra na wyższość ceny. Nie zyskują na niej Polacy, zapisawszy w swoim katechizmie narodowym naczelne prawidło: Nie sprzedawaj obcemu. Ale za to tem namiętniej i dzielniej oddają się grze innej, także na wyższość, lecz produkcji. Coraz więcej żądają od swej roli, coraz ją wszechstronniej ogarniają siecią różnorodnej wytwórczości. I dochody rosną szybciej od ceny, która w stosunku do nich jeszcze jest za mała.

Więc mimo udoskonalenie mechaniki, mimo zdwojoną dzielność robotnika, potrzeba go coraz więcej, a jest go coraz mniej. *Periculum in mora*. Warsztatowi w pełnym i rosnącym biegu grozi zastój, a zastój w takim rozpędzie, to przewrót, to śmierć. Prelegent przewiduje chwilę, w której przedsiębiorca rolny zacznie się cofać, nie mając w odwodzie pewnej i wygodnej przystani gospodarzy Niemców, pod postacią opiekuńczych skrzydeł kolonizacyi, zawsze gotowej, usługowej i chętniej.

Narzuca się szereg pytań, z których pierwsze: dlaczego ucieka robotnik z roli żywicieli i dokąd ucieka? Ziemianin zapuszcza sondę badawczą i rozróżnia.

Najpierw wskazuje na wielką falę odpływu roboczego, płynącą ku zachodowi pod hasłem wyłączeniem większego zysku. Ten prąd ma swoją rację bytu. Gdzie więcej płacą, tam robotnik ciągnie. Inaczej być nie może. Ale kto tylko dla zysku poszedł w dal, osiągnąwszy go, wraca zazwyczaj. Idzie młodzież wielkopolska na robotę, po części tylko przez lato, i uciuławszy sporo grosza, wywozi go skrzętnie do domu. Ten prąd emigracyjny oczywiście nie jest wygodnym dla rolnictwa rodzimego, ale rady nań niema. Referent przechodzi nad nim do porządku dziennego.

Jakże odmiennym jest za to prąd drugi, wiodący nasz lud w tę samą stronę, co poprzedni, ale na innych podstawach i dla przyczyn może wprost przeciwnych. Mowca ukazuje nam rzeszę ogro-

mna polskiego chłopą, posuwającą się zwolna, lecz stale, ku miastom zachodu na mieszkanie, na życie. Ta fala nie wraca. Osiada dokąd dotarła. Syn idzie pierwszy. Za nim ojciec w sile wieku, potem matki, żony, dzieci, całe rodziny. Zostaje dziadus stary i babka klepiąca pacierze na opiece i utrzymaniu dworu. A tamci co poszli, są tak liczni, że myślą, iż zostali w Polsce. Znajdują już gromady swoich, widzą nieustannie nadciągających nowych przybyszów z dawnego powiatu i parafii, braci, krewnych, kumów. Do sąsiada, jak dawniej, sąsiad przemawia po polsku, w sklepiu i karczmie także wszystko swojskie, zazwyczaj jest i gazetka, niebawem też stowarzyszenie. Żłuda życia narodowego objawia się w pełni.

Ale w około mnożą się Niemcy o polskich nazwiskach. To ci, co przywędrowali tu dziećmi przed laty trzydziestu lub dwudziestu, a ich losem los dziatwy późniejszej, pokolenia, co rodzi się na obczyźnie. Tym wszystkim lepiej żyć w Niemczech po niemiecku. Nie darmo ojcom lepiej się zdało być Polakami w Niemczech, niż w Polsce.

Czy doprawdy lepiej? Rolnik bierze ołówek do ręki i zaczyna rachować.

Zarabia robotnik w mieście jeszcze więcej, niż na wsi. To rzecz niewątpliwa. Lecz z wyższego zarobku nie wynika jeszcze pewnik wyższego zysku czystego. Miasto jest drogie. Mieszkanie i opał kosztują dużo, tem więcej, im rodzina liczniejsza. Na wsi tych wydatków niema, ponosi je dwór. I żywność droga na bruku miejskim, tania na ojczystej niwie, po części nawet sprawiona

również sumptem pracodawcy, pod postacią różnych stałych datków w naturze, ziemiopłodów, utrzymania bydła, bezpłatnie użyczonego ogrodu. Za darmo dalej lekarz dominialny i apteka i t. p.

Lecz na tem nie koniec. W tem mieście, w którym trzeba płacić za wszystko, nawet za wodę, w którym droższy nietylko chleb materyalny, ale i duchowy, bo kosztowniejszą szkoła, walczy robotnik z ciągłą pokusa, ciągłą ponętą do zbytku. Ubranie całej rodziny pochłania coraz większe kwoty, stroi się sąsiadka ponad sąsiadkę, rośnie potrzeba restauracyi, teatru, koncertu, stu rzeczy co kosztują, stu pokus, ciągle obecnych, z których każda, gdy zwycięzka, zmniejsza prawdopodobieństwo uskładanego kapitału. To wszystko na tle częstych strajków i współzawodnictwa własnych towarzyszy.

Ale powiększa się płaca, rośnie wciąż zarobek! To prawda. Lecz czyż nie rośnie też na roli i czyż na niej stalszym on nie jest i pewniejszym?

Prelegent rachuje i oblicza, zestawia i porównuje, a wynik ostateczny jego trzeźwych i jasnych wywodów jest ten, że dla rodziny robotniczej, choć w mieście dochód jest *brutto* w pieniądzech większy, to jednak zysk czysty i sposobność do pomnożenia majątku osobistego jest na wsi znaczniejszą, lub co najmniej równą, oczywiście w przedsiębiorstwach rolnych, prowadzonych racjonalnie.

A po za tem wszystkiem otwiera się dla pracownika wiejskiego osobne pole przedsiębiorczości na własny rachunek. Dochówek w inwentarzu przy-

nosi ładny zarobek, a gospodarna żona przysparza go mężowi w różny sposób. Prelegent podaje statystykę z jednej ze swoich wsi, w której na 52 rodzin robotniczych, istnieje 25 maszyn do szycia, wartości półczwarta tysiąca marek. W takich warunkach czyż dziwne, że wiejski robotnik oszczędza więcej od miejskiego, że składa sobie po kilkaset marek rocznie.

Porównanie wypada coraz bardziej na korzyść wsi i rozumiemy coraz mniej pewnik niezaprzeczony rosnącego pochłaniania naszego ludu przez molocha wielkomiejskiego. Pojmujemy już jednak, że sam zysk materyalny nie rozstrzyga w tym zawiłym dylemmacie. Widocznie działają tu inne siły, głębiej sięgające przyczyny i pobudki.

I oto zaklęte przez mowę występują one na widownię, stają przed nami, jasne, wyraźne, potężne.

Istniało w średnich wiekach w Niemczech przysłowie na tle społecznym: *Stadlluft macht frei*. Kto się dostał do miasta, pod jego opiekę, w jego mury warowne, ten był wolnym. Jak w Niemczech, tak wszędzie czleka niskiego stanu dzieliła w miastach mniejsza, niż na wsi, odległość społeczna od innych warstw.

To przeszłość niepowrotna, zatarta w ustawodawstwie i w praktyce życiowej. Lecz czy zatarta w swej istocie? P. Turno nie mówi nam o stanie włościańskim w ogóle, nie maluje nam typu chłopca z Kólek rolniczych, kulturalnie i społecznie wyraźniejszego ponad poziom szlacheckiego zaścianka dzielnic wschodniej Polski. Mówi o rzeczywistym

stanie czwartym, o robotniku rolnym. Ten stan czwarty jest w Poznańskim prawdziwie najniższym w społecznej hierarchii, wobec braku, na szczęście, proletariatu wiejskiego. Jest najniższym, choć dzielnym, zasobnym, szczęśliwym swą ocenioną wartością. I dlatego, choć mu dobrze i coraz lepiej, nurtuje w nim owa *longa spes*, przed którą broni Horacy, dlatego nowych rzeczy pragnie, nawet bez korzyści, nawet z uszczerbkiem w dobrobycie. A pragnie tembardziej, że o nich wie, że o nich słyszy, że mu te nowe rzeczy daje obficie miasto. Nie za darmo, owszem drogo i bardzo drogo, ale zawsze i na pewno daje.

Towarzyszymy mu w jego emigracji, przypatrzmy się z nim razem dziwom nowożytnego ustroju, jaki ogarnia go z chwilą, gdy wstąpił na bruk miejski. Odrazu, od pierwszej godziny, ogarnia go inna atmosfera. Przybył nie na próżno, nie na chybił trafił. Ma stałą robotę w zakładzie przemysłowym i przez to samo staje się członkiem organizacji robotniczej. Jako taki znajduje się na wyższym szczeblu społecznym, od zawsze liczego, nawet w kraju bogatym, miejskiego proletariatu, jest owszem uczestnikiem warstwy społecznej, będącej obecnie w pełnym rozkwicie, a skupiającej w najwyższym stopniu uwagę socjologów i prawodawców. Stan robotnika przemysłowego jest dziś niemal stanem wybranym, jest gagatkiem wielkiego prądu reformy socjalnej w Niemczech. Z jednej strony socjaliści z całą swoją organizacją towarzysów, kas i związków, z drugiej pracodawcy, rządy, magistraty i parlamenty z coraz bogatszym

rogiem obfitości instytucyj zawodowych, współzawodniczą w ubieganiu się o jego dobro i jego względy. Doszło już do tego, że inne stany, inne warstwy i zawody, zazdroszczą mu, że najniższe szeregi urzędników państwowych pozostały za nim w rozwoju swych korzyści życiowych, że tembardziej dyetaryusz, nieurzędnik, lub pracownik umysłowy, człowiek pióra, pendzla lub dłuta, jeżeli się nie wybił talentem i szczęściem, ma życie trudniejsze i biedniejsze od szeregowca w regularnej armii robotników przemysłowych. W mieście robotnik jest niemal arystokratą, czuje się być przedmiotem ogólnej uwagi, w swych związkach znajduje obywatelstwo polityczne, zbiorowy wpływ i potęgę, znajduje też życie towarzyskie, wymianę myśli, podniesienie poziomu duchowego. Wydaje więcej niż na wsi, oszczędza mniej, ale przecież może oszczędzać, a za to żyje intensywniej. Ciekawszym, pełniejszym jest jego dzień i rok, niż w monotonnej, spokojnej, patryarchalnej wsi.

Spojrzymy na rozwój nowożytnej socjologii, na stan obecny literatury i nauki społecznej. W ogromnie przeważnej swej części traktuje piśmiennictwo socjalne o sprawach robotnika miejskiego. Dopiero w ostatnich latach widzimy w tej mierze zmianę. Książka francuskiego ex-ministra Méline'a p. t. *Le retour à la terre* znamionuje niewątpliwie zwrot pożądany w badaniach agrarno-społecznych. Ale pomimo to, nawet we Francji i w Niemczech dotąd porównać wolno socjologię miejską do kwitnącego ogrodu w przeciwieństwie

do socjologii ziemiańskiej, której dać można słusze miano pola, leżącego odłogiem.

Dla Wielkopolski sprawa przedstawia się jeszcze niekorzystniej. Szczupły zasób publikacyj i towarzystw społeczno-agrarnych niemieckich, małe do szczętu w swem znaczeniu wobec odmiennego swą naturą społeczeństwa polskiego, tembardziej, że ogranicza się przeważnie do stosunków w najbardziej zachodnich dzielnicach Niemiec. Nasze zaś własne wysiłki na tem polu, choć istnieją, są jednak tylko początkiem tego, co być powinno.

W miastach każdy postęp nowy w nauce i w czynie społecznym opiera się na dawniejszych, wypływa z nich i stanowi ich udoskonalenie. Inniemi słowy, w miastach jest dużo, bardzo dużo, doświadczenia socjologicznego. Zrodziła je wcześniejsza niż na wsi potrzeba, większe niebezpieczeństwo i rychlejsze sprzeczności interesów. Spokojniejsza wieś nie dotrzymała miastu kroku, pozostała w tyle i dziś zagrożona w swych podstawach, nie posiada bogatego zasobu prób i doświadczeń przeszłości, na jakich wciąż dalej buduje reformę socjalną miasto.

Powie ten lub ów, że kwestya socjalna w mieście, tak samo jak na wsi, będzie zawsze tylko rozwiązywaną, ale nigdy rozwiązaną, dopóki ludzkości stanie. Zgoda na to i także na twierdzenie, że od zupełnego ideału stosunków społecznych miasto jest bardzo dalekie. Ale zapominać nam nie wolno, że obok bezwzględego postępu, odgrywa tu rolę względny w wzajemnym stosunku wsi z miastem i że ten względny postęp obecnie

przeważa szalę na korzyść miasta. Nietylko współnikami, ale i konkurentami są wieś i miasto w wielkim interesie życiowym. W tym zaś wypadku, jak nieraz w innych, klientela idzie nie zawsze tam, gdzie towar tańszy, lecz tam, gdzie wystawa bardziej świecąca, reklama głośniejsza, usługa usłowniejsza.

Cóż wtedy pozostaje opuszczonemu współzawodnikowi? Żadną miarą założenie rąk i powoływanie się na rzetelność swego towaru, a nierozum klienteli. Przeciwnie, dla własnego dobra trzeba na równi z konkurentem, choć na własny sposób, zagłębiać się w psychologię gościa, odgadywać jego gusta i podać mu towar tak, by mu był przyjemnym. Praktyk ostrzega, radzi zachęca. Ale nie na ślepo. Wskazuje cel, lecz zarazem przeszkody tamujące doń drogę.

Pierwszą z nich i zasadniczą, to wielki brak czynników, powołanych do inicjatywy. W mieście jest ich bez liku. Na wsi dziś tylko ksiądz i dziedzic w swej prywatno-osobistej działalności. Związków zawodowych bardzo nie wiele. Robotnicy rolni całej dzielnicy posiadają ich obecnie około 50. Że zaś towarzystwo rolnicze wiejskie z natury rzeczy nie może sięgać po za obręb wsi lub kłucza, jeżeli ma choć w części przedstawiać codzienne i bliskie stosunki towarzystw miejskich, przeto owa liczba pół setki jest rzeczywiście mało znaczącą. Prócz tego sama forma tych związków nie jest jeszcze dostatecznie ustaloną. Próby to raczej, niż wyniki organizacyi socyalnej na tem polu. Proste naśladownictwo wzorów miejskich nie może

tu prowadzić do celu, a znalezienie właściwego typu dla assocyacji wiejskich, dla niegospodarujących na własnym gruncie, jest rzeczą nie bliższą może przyszłości. Ostatecznie znów rzeczą troski dziedzica i księdza.

Ksiądz ma zadanie wielkie na polu socyalnem, obowiązki nie mniejsze na wsi, niż w mieście, księża też wielkopolscy pierwsi w czasopiśmie, wydawanem w Poznaniu p. t. *Ruch chrześcijańsko-społeczny* otworzyli stałą dyskusję na temat socjologii wiejskiej. Jak oni w swoim piśmie, tak teraz dziedzic na zebraniu dziedziców otwiera rozprawę i wzywa do prowadzenia jej dalszego, coraz obfitszego i pełniejszego w przyszłości.

Omówiwszy niebezpieczeństwo i wskazawszy na jego przyczyny i skutki, opowiada co sam zrobił i doświadczył w braku przykładów ogólnych i zbiorowych. Opowiada skromnie i sucho, nietylko dlatego, że *laus propria sordet*, lecz także, bo jest na wskrós realistą i przemawia do podobnych sobie, ludzi patrzących na rzecz, a nie lubiących frazesu, do zebrania, w którym sąsiedzi wiedzą, jak kto siedzi i znają dostatecznie objeziarskiego pana, by to, co mówi, ocenić, jak należy.

I oto mamy przed sobą już wiązaną doświadczeń. Uwydatnia się z nich odrazu różnica istotna między socjologią miejską, a wiejską. W pierwszej lwia część myśli i czynu przypada inicjatywie zbiorowej. Na wsi przeciwnie. Zagadnienie assocyacyi, dotąd mgliste i mętne, nie

wydało rzetelnych owoców i niewiadomo wcale czy jest zdolnem je wydać, czy nawet może nie prowadzi na zwodną drogę bez wyjścia. Za to jego antyteza, własnomocnie przez pana podjęty, ujęty i prowadzony czyn postępu objawia się niezwłocznie w owocach obfitych.

Nie jest tu naszym zadaniem skreślić w sposób wyczerpujący całokształtu programu i doświadczeń badacza. Pragnących dokładniejszej informacji odsyłamy do jego broszury p. t. *Jak zatrzymać robotnika na wsi*, rozpowszechnionej w handlu księgarskim. Zdradzimy im także, iż przeczytawszy, najlepiej ocenić *de visu* socyologię objeziorską, przystępną dla gości z bliska i z daleka dzięki uprzejmości gospodarza, który w swej starej, a pięknej renesansowej rezydencji tak dzielnie czci ducha nowożytnego postępu.

Ale do poznania tych rzeczy dobrych i mądrych chcemy zachęcić i choć pobieżnie ukazać piękny objaw rodzimej kultury, dać szkic z życia zachodnich kresów, jeden z licznych, jakie się składać powinny na obraz ogólny tego życia, tak pełnego w swej doli i niedoli, tak różnorodnego w oddziaływaniu wzajemnem prądów ogólnoludzkich i swojskich i wrogich, obcych.

W objeziorskim kluczu robotnikowi jest dobrze. To rzecz zwyczajna, bo gdzież dziś w Księstwie jest mu niedobrze!

Następnie stwierdzamy, że tu i dziedzicowi jest dobrze, nawet bardzo dobrze, a to już rzecz mniej zwyczajna, choć dzięki Bogu nie rzadka, wśród pozostałego wyboru kresowych polskich

dziedziców. To zaś drugie stwierdzenie ważną odgrywa rolę w rozpatrywaniach naszych nad pewnikiem trzecim, jaki stwierdzamy w Objezierzu, mianowicie, że tu robotnikowi jest nie tylko dobrze, ale i przyjemnie. Ten trzeci pewnik jest właśnie nowością, jest celem zabiegów przezornego pracodawcy, myślącego nad tem, jak zatrzymać robotnika na wsi.

Pracującemu jest przyjemnie. W tem cały sekret powodzenia, w tem też cała trudność wykonania. Bo, choć ostateczny obrachunek wykazuje, że owa przyjemność życia wiejskiego daje w końcu zysk materyalny zobopólny, więc także dziedzicowi, to jednak właśnie z poważnych doświadczeń wynika, że ona zrazu kosztuje dużo, że tu trzeba wkładu znacznego. Stanie się ten wkład, ba już stał się, koniecznym dla wszystkich, ale bądź co bądź najłatwiej przystępnym jest on dla zasobnych. Stara to zasada w każdym przedsiębiorstwie, że im większy w niem kapitał obrotowy, tem potem wyższe i łatwiejsze korzyści. Znamieniem też jest, że pierwsze doświadczenia i próby na tem polu objawiają się właśnie tam, gdzie siła finansowa właściciela mogłaby go raczej usposabiać do mniejszej troski o dzień przyszły.

W nowożytnej ekonomii panuje niepodzielnie prawidło, iż tworzy i zarabia najwięcej nie ten, co musi, ale ten, co może, pierwszy zaś dbać najpierw powinien o osiągnięcie tej możliwości, czyniącej go panem swego losu, a nie jego niewolnikiem lub ofiarą.

Żywą ilustrację w praktyce do tego prawi-

dła stanowi pierwszy i kardynalny punkt w tych doświadczeniach, sprawa mieszkań robotniczych. Rolnik z innych zaborów, znający gospodarstwa wielkopolskie, zadziwi się zrazu, słysząc, że ta właśnie sprawa stała się piekącą na kresach zachodnich. Porówna on ogromne wkłady, uczy-nione już dotąd przez dziedziców wielkopolskich na mieszkania dla pracowników wiejskich, ze stosunkami w innych częściach Polski. Uprzytomni sobie piękne murowane budynki dla służby folwarcznej, schludne i dobrze zaopatrzone izby i wspomni na własne rozpatrywania w tej mierze, objawiające się zazwyczaj w stereotypowym i zresztą słusznym stwierdzeniu, że bez porównania od wschodniego pracowitszy zachodni robotnik wymaga też odpowiednio lepszego traktamentu.

Aż tu dowiaduje się, że to wszystko nie wystarcza, że niejeden właściciel, włożywszy kilkadziesiąt tysięcy marek w mieszkania robotnicze, nie osiągnął jeszcze tego *minimum*, jakiego wymagają dzisiejsze stosunki.

I mimo swe zdziwienie musi uznać badający pobratymca, że od tego wyroku niema apelu. Bo nie odzywa się tu imperatyw gwałtowny z dołu. Robotnik rolny nie żąda niczego, on tylko zbiera swoje manatki i wynosi się spokojnie tam, gdzie mu przyjemniej. Żądanie odzywa się z góry od pracodawcy i jako takie współtowarzyszom zawodu, innym dziedzicom nie może być podejrzanem. Posłuchajmy zatem, czego żąda ten postępowy konserwatysta, ten śmiały realista od siebie i drugich. Mieszkanie — mówi on na wstępie — jest niejako

ramą otaczającą życie całe, wpływającą ciasnymi lub szerokimi swymi rozmiarami bardzo silnie na jego rozwój.

I potem opowiada nam o fałszywej oszczędności, o braku psychologicznej obserwacji, o budowniczych, rozumujących nad potrzebami robotnika przy zielonym stoliku, mierzących je skalą potrzeb miejskich. A właśnie, że wiejski pracownik, choć twierdzenie to dziwnem się zdaje, ma prawo do lepszego, obszerniejszego mieszkania, niż miejski. Na wsi rodzi się stosunkowo więcej dzieci, niż w mieście, familie są liczniejsze, wreszcie oszczędność przestrzeni mniej ważna, niż w kamienicy, w której każdy metr kwadratowy opłaca się złotem. Więc dużo miejsca, powietrza i światła! Dla rodziny dwa pokoje, osobna kuchnia, osobna sieni. Wszędzie porządne sufity, porządne podłogi. A słońca życiodajnego jak najwięcej, słońca niszczącego mikroby, ogrzewającego i rozweselającego mieszkanie. By mu drogę ułatwić, niech pokoje mieszkalne mają okna na wschód lub południe. Lecz nie wystarcza mieć okna. Trzeba je otwierać. Zdobią je zaś zwykle kwiaty, czerwieni się pelargonia, jaśniej amaryllis. Usuwać je trudno, kasować szkoda. Jest jednak sposób i na to. Dolna część okna niech pozostaje zamkniętą, górna, odrębna, o specjalnym mechanizmie, niech otwiera się horyzontalnie bez trudu, wpuszczając ożywcze powietrze. Osobny sposób wentylacji posiadać ma kuchnia. Poddasze zaś, ów kopciuszek urządzeń domowych, dostępne ma być dobrymi schodami, nie staroświecką a karkołomną drabiną,

ma dalej być odgraniczone porządną ścianą od poddasza sąsiedniego. Całość mieszkania obejmować ma co najmniej 60 metrów kwadratowych.

Lecz na tem nie koniec. Wilgoć jest przyczyną chorób, powodem brudu i niechłujstwa. Budynek przeto powinien stać na miejscu suchem, otoczony ściekami, odprowadzającymi wodę deszczową, lub zlewy z domu, do rowu pobliskiego. Hygiena i wzgląd na pożary wymaga również, by dom nie był zbyt obszerny. Wystarcza, gdy obejmuje dwa, najwyżej cztery mieszkania rodzinne. Że ma być murowany, rozumie się samo przez się. Innych w Wielkopolsce nie budują od dawna.

To wszystko daje nam już obraz mieszkania ludzi kulturalnych, żyjących, jak przystoi stanowi roboczemu kraju cywilizowanego. Ale niebawem widzimy, że obraz nie jest wykończony, owszem tylko podmalowany. Bo oto twórca pokazuje brzydko wyzierającą czarną plamę. Ją trzeba usunąć.

Tą plamą jest płot, staropolski, tradycyjny płot okólniczy. Precz z nim, to szkodnik wielki, mający grzechy ciężkie na sumieniu. Precz, choć on wrosły w tło naszych krajobrazów, choć barwi się wesoło rozwieszoną odzieżą, co kraśnieje w słońcu i powiewa z wiatrem. Usuwaźmy płotek choć nań wlaźił kotek i śpiewała o tem niedługa piosenka. Poważny ekonomista zagląda i widzi, że za zasłoną pozornie dobroczynną kryją się i gromadzą brudy i śmiecie. W nich bakcyle bez liku, z nich wonie okropne.

Miedzy domem a płotem, nieraz przylepione do ludzkiego mieszkania, zbyt często widnieją je-

szcze stajnie i chlewy. W tak bezpośrednim sąsiedztwie o prawdziwej czystości w domu i wkoło niego mowy być nie może. W Objezierzu pokazują nam, jak być powinno. Chlewy oddalone o kilkanaście metrów od domu mieszkalnego, z wentylacją, odpływami, porządne, czyste, jak całe otoczenie siedziby robotniczej. Zdrowie dla ludzi, zdrowie dla zwierząt.

Drzew kilka u wyjścia, pod niemi ławka do siesty niedzielnej, to chuda poezja tej bogatej prozy.

Jakżeś daleką wschodnią zagrodę, tonącą w zieleni, kwitnącą wiosną, złota mchami twego dachu puszystego, przy drodze krętej i zapadłej, wśród siostrzyc bez liku także zielonych, kwitnących, z ziemi wyrastających i na wpół w ziemię wrosłych, rozległej wsi mazurskiej lub ruskiej!

Jakżeś daleko z twym śpiewem i dumką i z twem błotem po kolana i zaduchem w brudnej izbie i dziećmi na wpół nagiemi, co mnożą się jak muchy i mrą jak muchy od chorób zakaźnych stumian i rodzajów!

Całym wiekiem kultury odległą jesteś, gdy dzwonią twe sierpy, które znał Odys przebiegły i snuje się przedziwo miłe Penelopie, a żydek karczemny, za pożyczone lub przepite parę groszy, bierze procent królewski miesięcznej kury lub tygodniowej daniny jaj i nabiału.

Tu w Wielkopolsce inny kraj, inny, zdawna inny lud i obyczaj. Tu kraj filistrów, jak powiedział przybyły Warszawiak, ale filistrów oświeconych słońkiem wschodzącym, świecących pierwszy

odpoczynek w robocie, gdy brat z kresów przeciwnych zaledwie wyrusza do pracy. Więc i radość życia tutaj odmienna, przyjemność, jeżeli ma nęcić, wygląda bardzo realnie i zażywnie. To też wygodą mieszkania cenioną jest wysoko i wstrzymuje niejednego, co już na odlocie, chętny do wędrówki. Utwierdza go w stałości korzyść druga, dobry i tani towar dla potrzeb domowych na miejscu pod ręką. To znów sprawa nie tak prosta, jak się zdaje.

Wiadomo, że wiejski żydek nieznanym jest na zachodnich kresach Polski. Za to wszędzie kwitną sklepiki chrześcijańskie, będące w ręku włościan samych. Zdrowy to objaw niewątpliwie i świadczący o zmyśle przedsiębiorczym naszego ludu. Znamy wsie, w których jest sklepików kilka, znamy kupców wiejskich, umiejących wyrabiać sobie klientelę nawet wśród niemieckich kolonistów z pobliza. Było już o to dużo lamentów prasy germańskiej. Ale robotnik wiejski bezpośrednio, osobistej korzyści w tem nie ma. Sklepiki polskie zarabiają, pracownik polski płaci w nich dość drogo, drożej nawet, niż w miasteczku, bo tam odbiera towar z drugiej, a na wsi już z trzeciej ręki. Jest wygoda, bo blisko, jest korzyść dla całej wsi, bo sklepikarz, dorobiwszy się, wykupi nie raz Niemca gospodarza, ale interes jest interesem, na towarze zyskuje kupiec, ile może. Zysk czysty i przynęta zaczyna się dopiero tam, gdzie zjawi się kupiec, nie szukający zysku, dbający o klienta więcej, niż o siebie. Takim jest w Objezierzu,

jest w kilku innych postępowych gospodarstwach, dziedzic.

Państwo Turnowie — bo dziedziczka w tym razie nader ważną, podobno najważniejszą odgrywa rolę — rozpoczęli swe kupiectwo przed 10 laty sprowadzeniem dla robotników worka kawy. Dziś w dużym lokalu koło pałacu sprzedaje się towaru tyle, że obrót wynosi 40.000 marek. Jest tam wszystko, czego rodzina robotnicza potrzebuje w życiu codziennem, a taniej, niż w sklepie zwykłym, bliżej niż w miasteczku, gdzie zawsze grożą wydatki niepotrzebne. Sprzedaje się wszystko za gotówkę, nie zachęcając nigdy do zbytniego zakupu na zgubnym kredytem.

Tu zatem robotnik korzysta bezpośrednio i umie to ocenić. Dziedzic zaś, jak nas zapewniano, nie traci, bo mimo wielką taniość, zwracają się koszta. Ale na tem nie koniec. Prócz zysku w naturze ma pracownika cieszyć zysk w monecie. Za to, że tanio kupuje, ma jeszcze nabywca być wynagrodzonym pieniężnie. Ku temu posłuży związek spożywczy zakładany obecnie. Ryczałtowe sprowadzanie towaru z pierwszej ręki po cenach niskich pozwoli na dalszą tanią sprzedaż, a zarobek wynikający przypadnie w udziale nabywcom, którzy przy każdym zakupie otrzymywać będą znaczek, zapewniający im część zysku odpowiednią do łącznej kwoty wydanej w ciągu roku. Przedsiębiorstwo stanie się autonomicznem pod opieką dworu, a myśl dalej sięgająca widzi już związek spółek spożywczych, obejmujący stan roboczy wiejski całego Księstwa.

Taki bazar ludowy jest w dodatku towarzyskiem kasynem, miejscem zabawy i rozrywki. Dzie-dziec objezierski wie o tem, że na obczyźnie robotnik pije piwo w salach oświetlonych elektrycznie, za pół marki przypatruje się widowiskom różnorodnych teatryków, lub słucha koncertów kapeli cygańskiej. Tych rozkoszy wieś dać nie może. Ale da inne, lepsze i zdrowsze, moralnie i fizycznie. Oto przy składzie towarowym obszerna sala służy klubowi robotniczemu. Wieczorami przy piwie, lekkim winku i różnych napojach czytają ludzie gazety, przeglądają pisma ilustrowane, gwarzą o tem i owem. Wódka i likiery nie mają dostępu do tego miejsca spokojnej uciechy. Za to w niedziele i święta, gdy gości więcej, muzyka wiejska rżnie od ucha i młodzież staje do tańca. Uczestnicy wybrali sami sobie mistrza choreografii, który w woj-sku nabył doświadczenia w tym kierunku i prawdziwie po wojskowemu, stojąc w środku sali, pilnuje, by wszystko odbywało się pięknie i w porządku. Latem wczasy niedzielne przenoszą się do pobliskiego lasu i tam pod sklepieniem starych dębów bawią się ludzie wesoło, a zawsze porządnie. Na czas postu i adwentu, gdy gwarna uciecha nie przystoi, obmyślono rozrywkę cichszą za pomocą skioptikonu i towarzyszących obrazom świetlanym wykładów. Najpóźniej o 11-ej kończy się zabawa, w której biorą udział tylko robotnicy dominialni z rodzinami. Arystokracja chłopska, niezależni gospodarze nie wchodzą tu wcale w grę. Ta warstwa społeczna kupiąca się przy kółkach rolniczych ma potrzeby i dążenia, ma w ogóle poziom inny od

rzeszy żyjącej z pracy chlebowawcy. Wróćmy zatem do tych ptaków wędrownych, którym opatrzna przezorność stara się uprzyjemnić ojczyste gniazdo.

Zdrowie jest podstawą zawodu każdego, najbardziej roboczego. Chroni je dobre mieszkanie, wzmacnia tania żywność, broni go uczciwa i pełna miary zabawa. Ale choroba jest zdradliwą. Choć kultura dzielnic zachodnich walne jej stawia tamy, umie ona dotrzeć i tam, gdzie higiena społeczna kwitnie od dawna. Tu i ówdzie pojawi się epidemia, zdarzy się wypadek, występuje niezwalczona gruźlica, wreszcie wszędzie odbywają się pogości i wszędzie starość gnębicielka nadchodzi z latami. Istnieje co prawda urzędowa i dominialna opieka, są w miastach i miasteczkach szpitale, jest surowo przestrzegany obowiązek kontroli chorób zakaźnych, są lekarze i desifenkcy, i akuszerki patentowane, i zabezpieczenie od wypadków, i renta starości lub niezdolności do pracy, a jednak pozostaje wiele do zrobienia. Tak twierdzi socyolog, tego dowodzi niezbiecie.

W postępowem, cywilizowanym Księstwie grasują dotąd t. zw. mądre baby, w następstwie dawnych znachorek i czarownic. Nietylko w następstwie. Mówił nam kapłan z północnych powiatów, że w lasach głębokich pod Bydgoszczą prawdziwe czary odprawiały się nocą księżycową, za sprawą »mądrej baby« do niedawna szanowanej we wsi. Szły pod jej wodzą kobiety i liście paproci zbierały na leki, gromione potem przez mężów, gdy odkryli głupi zabobon. To rzecz co prawda niezwykła, ale tem częstszymi przykłady mniej dra-

stycznych występów wrózek lekarek. Zna »mądra baba« brata i swata i kuma we wsi i sąsiada, zna wszystkie sprawy i plotki i troski, umie gawędzić przylepiając plaster, opatrzyć dziatwę pilnując położnicy, jest swoją, zawsze bliską i nieraz bardziej słuchaną od lekarza, który przyjedzie, zapisze receptę i pojedzie dalej.

Kultura ludności nie stanowi dostatecznej zapory przeciw tym nadużyciom. Wiadomo przecież, że w Berlinie XX wieku, pod okiem policyi ścigającej je zajadle, stało się plagą prawdziwą znachorstwo pseudo-lekarskie. Cóż dziwnego, że grasuje na wsi. Badacz społeczny potępia je, lecz widzi w niem wyraz prawdziwej potrzeby, skrzywionej nieudolną praktyką.

Mądrą babę wypędzi ze wsi roztropna kobieta, t. zw. samarytanka, równie swoja i bliska jak tamta, lecz sumienna i wykształcona w swoim zawodzie. Jej zadaniem dopilnować wykonania przepisu lekarskiego, by drogie nieraz lekarstwa zamiast iść na marne, lub nawet szkodzić choremu, zostały odpowiednio użyte. Ona w razie nagłego zaśląbnięcia udzieli pierwszej pomocy, gdy słabość mniej groźna, sama ją wyleczy, ona rozstrzyga, czy chorego od razu odesłać do szpitala, lub czy lekarza do domu sprowadzić, lub wreszcie czy jego pomoc jest zbyt dużą. W razie chorób zakaźnych organizuje dezynfekcję ludzi i mieszkań. Prócz tego zaś uzupełnia, a w danym razie nawet może zastąpić tak pożyteczną, lecz przez władze pruskie niechętnie widzianą, instytucję wiejskich ochronek dla małych dzieci.

Amerykański milioner wydał hasło, że związek moralny robotnika z pracodawcą jest równie ważną podstawą rozwoju interesu, jak związek czysto materialny, a miłość bliźniego nie samą cnotą tylko, lecz i rozumem. To hasło rozbrzmiewa nie tylko w Ameryce, ale tam na wolnej ziemi przedsiębiorczych Yankesów znaleziono środek znakomity, ułatwiający wzajemne zrozumienie się, tak trudne zazwyczaj pomiędzy czynnikami należącymi do odrębnych warstw społecznych. Zakwitnęła instytucja agentek socjalnych, wybranych z łona ludu roboczego, wnikających w jego potrzeby i dążenia, posiadających jego zaufanie, pośredniczących pomiędzy nim a chlebodawcą.

Taką agentką ma być w polskiej wsi samarytanka. Tam, gdzie nie dotrze dziedzic i dziedziczka, ona wnuknie z łatwością. Co ukryte przed wyższym, nawet kochanym, jest dla niej księgą otwartą, a pole jej działalności tem szerszem, że znając najlepiej potrzeby pracujących, ma z góry zapewnione poparcie moralne i materialne dworu. Jak daleko sięga to poparcie, tego dowodzi najwybitniej sprawa opieki nad starcami. Na pozór jest ta opieka doskonale zabezpieczona obowiązkiem moralnym dorosłych dzieci dbania o zniedołężniałych rodziców i ustawą państwową o rentach starości. Wiemy jednak, a potwierdza nam to praktyka, że ta podwójna opieka nieraz jest niedostateczną. Samarytanka bada, gdzie i w jakim stopniu. I dla tych, którym na starość źle na świecie, otwiera się na jej świadectwo, a na koszt dziedzica, schronisko skromne, lecz uczciwe i chę-

dogie. Kto pracuje dla dworu, niech wie, że praca jego, choć do niej kiedyś stanie się niezdolnym, będzie mu wdzięcznie pamiętana.

Opuszczamy niejedno — ograniczamy się na podaniu tylko najważniejszych zarysów agrarno-społecznej reformy, jakiej potrzebę głosi, jakiej podwaliny zakłada dziedzic objezierski. Zaznaczamy przy tej sposobności, że w swych usiłowaniach nie jest on osamotniony i że wszędzie w Księstwie znaleźć można dwory, wcielające częściowo w czyn to, co on jako pierwszy ujął w systematyczną całość.

Lecz pomijając to wszystko, czego dokładniejsze zbadanie wymaga studyów szczegółowych, uwydatnimy jeszcze jeden znamienity pogląd rolnika socjologa. Streszcza się on w zasadzie dobrego wychowania wyższych wobec niższych. Wymaga to hasła kilku słów objaśnienia.

Pewna wytworność w obchodzeniu się z podwładnymi nie zawsze i nie wszędzie jest przez tych ostatnich ceniona. W krajach mało lub średnio kulturalnych bywa nawet szkodliwą. Podwładny jej nie rozumie, upatruje w niej chytrą albo słabość. Woli ojcowską rubaszość, byle była opartą na sprawiedliwości. Kultura odmienia te poglądy. Robotnik polski pod zaborem pruskim, samodzielnym, myślący, wykształcony na równi z niemieckim, a podobno nieraz i więcej, nie zadawał się samą sprawiedliwością. Tej z góry jest pewnym, bo nie on pracodawcy, lecz pracodawca jego poszukuje. On dba o to, co znów jest nadatką, nie spisany w żadnym kontrakcie, nie

gwarantowanym żadną ustawą, a co przyczynia się do uprzyjemnienia pracy — o poszanowanie swej godności osobistej. Sam trzeźwy, spokojny, grzeczny dla siebie równych, a uprzejmy dla wyższych, żąda i dla siebie uprzejmości. Twardy do roboty i potężny w swej pracowitości, ceni siebie i chce, by go ceniono nie tylko pieniędzmi. Najchętniej też pracuje zupełnie bez dozoru na akord. Ale ten rodzaj pracy, choć również najmilszy dziedzicom, nie zawsze jest możliwym np. w całej służbie folwarcznej, lub w przemyśle rolnym.

Małą monarchią jest dziś duże dominium wielkopolskie, bez parlamentu i konstytucji, a jednak wcale nie absolutną, choć hierarchia władz różnych zachowaną jest dokładnie. U szczytu dziedzic i główny zarządca, otoczeni sztabem kancelaryi rachunkowej. Ci dwaj najwyżsi stykają się z robotnikiem tylko pośrednio.

Stosunki z nim osobiste owych dowódców naczelnych są najczęściej objawem zainteresowania się losem pracujących i aktem dobrej woli, bywają także kontrolą działalności urzędników niższych. To też władze naczelne cieszą się zwykle wśród robotników wielką popularnością, nieraz nawet tak znaczną, że niższa komenda widzi w niej uszczerbek swego wpływu. Bo zupełnie innym jest stosunek do robotnika tej niższej hierarchii, ekonomów folwarcznych, pisarzy i płatnych elewów, a szczególnie włodarzy. Ci stykają się z pracującym bezpośrednio, oko w oko. Wśród nich przechowały się po części tradycje dawnego tonu kaprańskiego, w imię którego Marysia lub Kasia bywa »kusą małpą«.

a Wojtek albo Kuba »chamem zatraconym«. Otóż takich porównań kwiecistych zachodni robotnik nie lubi. Na wrzask i hałas odpowiada milczeniem, lecz myśli sobie, że tu »nijak«, a takie myślenie jest bardzo niedobrem u ludzi, których brat i swat nęca w dal listami z Berlina i Westfalii.

Więc roztropny socyolog przestrzega przed czułościowością niepotrzebną i zresztą również nie cenioną przez robotnika, ale nawołuje do komendy spokojnej, do przyzwoitego traktowania poddanych przez bezpośrednich przełożonych, słowem do dobrego wychowania gospodarskiego.

Na koniec cośkolwiek o stanowisku kobiety w stanie robotniczym. Jest ono przedmiotem bacznej uwagi p. Turny. W wielkich fabrykach zachodnich zbyt często prócz męża pomnaża żona zarobek rodzinny z uszczerbkiem dla zdrowia i wychowania dzieci. Niech i na tem polu robotnik rolny okaże się szczęśliwszym. Kobiety zameżne niech, ile możliwości, zostają w domu, przynajmniej wszędzie tam, gdzie pracę ich zastąpić może praca męża, odpowiednio lepiej opłacanego. Sposoby na to są, doświadczeń i w tej mierze już nie brak. Bo wszystko, co nam mówi, sprawa każda, jaką nam pokazuje pan objezierski, oparta jest na praktyce życiowej. Oderwanej abstrakcyi, teoretycznej filantropii nigdzie w jego dziełach ani śladu.

W chwili, gdy rozkiełznana nienawiść narodowców germańskich rozpuszcza wodze najdzikszej pożądliwości, gdy bezbrzeżne snuje marzenia zdobyczy i tryumfów, pokrzepia nam serce i pod-

nosi ducha obraz prawdziwej kultury, pracy trzeźwej i mądrej po naszej stronie.

Pas de rêveries — oto hasło na polu gospodarskim równie mądre, jak na politycznym. W przykładzie troski o teraźniejszość i przyszłość, któremu poświęciliśmy te uwagi, dla marzeń miejsca nie ma. Tem śmieiej, dalej i głębiej sięga myśl, tem rozumniej wciela się w czyn. I czyn ten, że jest dobrym dla wszystkich, objawia swą istotę w każdym oświeceniu. Zachowawca pochwali go, że zachowawczym, postępowiec, że postępowym, a zawsze Polak, że polskim.

PROPOS ALLEMANDS

Par une belle matinée d'octobre j'errais à travers les ruines du Palatin. J'étais seul ou presque seul. Un groupe d'Allemands avait passé, puis disparu dans le dédale de la ville morte.

Mais bientôt je les revis. Ils contemplaient le vénérable pan de mur, qui nous rappelle, ce que fut Rome avant d'être la reine du monde, la Roma quadrata des belliqueux pasteurs latins.

Et ils causaient :

— Tout revient dans l'histoire, il n'y a que les noms qui changent, disait le plus âgé de la compagnie, traité par les autres de Herr Professor. Puis, comme on le pressait de questions, il se mit à comparer les origines de la puissance romaine avec celles de la Prusse.

— Elles sont toutes pareilles, affirmait-il. Ici et là une minorité résolue veut dominer et elle y parvient. Voyez cette colline de si peu d'étendue. Ce ne fut d'abord qu'un repaire de bandits, une sorte de château-fort où se réfugiaient les mécontents de la plaine. Tout autour, des états puissants, des villes opulentes jouissaient d'une grandeur séculaire. On souriait à Clusium, ou sur la grande

place d'Albelongue, des airs impertinents que prenaient ces citoyens d'hier, ces importuns, qui n'étaient pas encore des parvenus. Nous savons le reste.

Le professeur se tut un instant, puis reprit : N'est-ce pas notre histoire à nous autres Prussiens ?

On l'acclama :

— Vive le génie de la Prusse conquérant et dominateur ! Vive la Rome nouvelle, l'impératrice de l'Europe, aussi forte, aussi vitale que son prototype latin. Vive l'avenir prussien !

Cependant un homme de haute taille et au masque sévère qui se tenait au milieu du groupe, ne semblait point partager l'enthousiasme de ses amis. Avec une nuance de respect, le professeur l'interpella :

— Vous ne dites rien, Herr Geheimrat. Ma comparaison ne plairait-elle pas à Votre Excellence ?

Le conseiller intime ne répondit pas tout de suite. Il réfléchissait.

L'auditoire forma un demi-cercle et fut tout oreille, attendant l'oracle. Pour des Allemands du Nord un haut fonctionnaire a toujours quelque chose de sacré et de solennel.

Enfin, lentement, mesurant ses termes, l'Excellence parla. Ce furent d'abord des politesses pour le savant, dont les travaux sur l'antiquité romaine ne pouvaient que remplir d'une juste fierté ses compatriotes. Mais ensuite vinrent les restrictions :

— Soyons précis, avant tout précis, dans les comparaisons historiques comme ailleurs : c'est par la précision que gagnait ses batailles monsieur de

Moltke. Il a eu la bonté de me le dire lui-même. Rien ne manquait dans ses calculs. Eh bien, je me permets d'affirmer que l'analogie entre Rome et la Prusse, établie par notre cher professeur, manque de précision, autrement dit, qu'elle n'est pas tout à fait exacte.

Le professeur s'inclina légèrement et aussitôt son mouvement, à peine esquissé, mais pourtant perceptible, se communiqua à la demi-lune des auditeurs respectueux. Il y eut comme un balancement général. Ainsi des roseaux, sous la brise qui passe, s'inclinent et se redressent.

L'Excellence continua :

— Retenez bien ceci, messieurs. Rome c'était toujours la patrie, le germe qui fécondait le sol ancestral. La Prusse, au contraire, est un enfant de bohème, né à l'étranger, en plein pays slave, loin de la patrie allemande. Rome subjuguait le monde, fondait des colonies. La Prusse, colonie elle-même, a subjugué l'Allemagne, sa mère-patrie. Voilà en quoi ses origines diffèrent essentiellement de celles de Rome, j'ajouterais, voilà en quoi elles les surpassent.

Un murmure d'approbation accueillit ces paroles. Le professeur répéta deux fois :

— *Grossartig, grossartig.*

L'orateur s'échauffa :

— Voulez-vous que je vous dise ce qu'est en réalité la Prusse ? Eh bien, ce n'est pas une conception nationale, puisque sa population n'est nullement homogène. Ce n'est pas, non plus, une conception politique, comme le fut Rome, comme l'est

de nos jours l'Autriche, qui dure encore parce qu'elle est nécessaire en Europe. Non, messieurs! La Prusse c'est tout bonnement de l'énergie condensée. Sa croissance n'a jamais été naturelle, mais bien toujours factice. Toutes les provinces au delà de l'Elbe, c'est à dire les trois quarts du royaume de Prusse, ne sont qu'une vaste colonie, une Algérie germanisée dont le chef-lieu serait devenu le Paris allemand. Oui, c'est bien ça, car ce Berlin énorme et brillant dont nous admirons les splendeurs, n'était-ce pas autrefois un hameau slave, situé en plein pays polonais. Le roi de Pologne, Boleslas le Grand, n'avait-il pas marqué par des colonnes de fer dans le lit de l'Elbe, près de Magdebourg, les limites de son empire? Vous me direz peut-être que c'est le onzième siècle et qu'alors la Prusse, comme état, n'existait pas encore. Je veux bien, mais je vous rappellerai un autre souvenir, encore plus important, celui-là. Songez à la date mémorable du 10 avril 1525. Tout bon Prussien l'a gravée à jamais dans son cœur: Cracovie, l'antique capitale de la Pologne, a vu alors le spectacle étrange d'un aïeul de Guillaume II, Albert de Hohenzollern, à genoux devant Sigismond I-er. Sur l'évangile et son salut éternel le vassal jurait à son roi et maître pour lui et pour ses descendants obéissance et fidélité à la couronne polonaise. Eh bien, chers amis, où est-elle maintenant cette couronne et que voyons nous depuis cent ans! Des millions de fils de cette fière Pologne courbés sous notre joug, hypnotisés par la juste crainte de nos bonnes baïonnettes prussiennes.

Satisfait de son éloquence, le conseiller savoura quelques moments l'effet produit sur ses auditeurs. Grande et hautaine, sa silhouette se dessinait en noir sur le fond bleu du ciel d'Italie. En bas, dans la via Fenili des campagnoles passaient avec leurs mules portant en ville des fruits et des légumes. Et des chansons montaient, accompagnées du clair tintement des grelots. Pour mieux voir, le Prussien se pencha au dehors, en s'appuyant de la main sur le mur en ruine. Mais aussitôt il se rejeta en arrière. Sur sa main perlait une goutte de sang. Il avait écrasé les pétales d'un rosier sauvage qui grimpait au mur et la fleur mourante l'avait piqué douloureusement.

Consternés, les assistants donnaient des conseils. Mais l'Excellence s'enveloppa la main d'un mouchoir et dit — Au diable les fleurs italiennes. Chez nous elles ne poussent que là, où le jardinier les plante. Il n'y a pas d'ordre dans ce pays-ci. Mais revenons à notre sujet.

Et il reprit. — La fondation de notre puissance sur un sol étranger, slave, voilà notre plus grande gloire. Mais ce n'est pas la seule! A peine adultes, nous commençâmes à faire sentir notre force aux voisins. D'abord à la mère-patrie, l'Allemagne. Vassaux des Habsbourgs aussi bien que de la Pologne, nous écrasâmes nos maîtres allemands avec une énergie magnifique. La lutte contre l'Allemagne dura un siècle. Sous Frédéric nous enlevâmes à l'Autriche la Silésie, il y a cent ans à la Saxe la moitié de son territoire. Puis de nos jours, en 1866, vint la grande curée, les

Habsbourgs terrassés définitivement, les successeurs de Charles Quint humiliés, exclus de la confédération germanique et les autres princes allemands attachés au char du Hohenzollern triomphateur. Ce ne fut pas facile, la bonne Allemagne ne voulait pas de nous, mais on lui fit entendre raison. A Langensalza la fleur de la jeunesse hanovrienne se vit écrasée sous la mitraille prussienne, son roi chassé et banni. La Hesse électorale, le duché de Nassau, les fiefs du landgrave de Hombourg, la ville libre de Francfort sur le Mein, furent annexés comme le Hanovre, la Bavière battue à Kissingen. Et toutes les monarchies allemandes, auxquelles nous laissâmes un semblant de vie, respirent à peine, terrorisées, tremblantes de peur! Voilà à quoi nous l'avons réduite cette Allemagne, qui, elle aussi, nous traitait de parvenus et de métis.

Les assistants enthousiasmés battirent des mains. Quelqu'un s'écria:

— *Seine Excellenz lebe hoch.*

Je voyais approcher le moment où les touristes berlinois allaient faire une ovation à leur conférencier éloquent. Mais l'orateur n'avait pas fini. D'un geste impérieux il imposa silence à son auditoire et continua:

— Ne Vous méprenez pas sur le sens de mes paroles. Nous avons dompté l'Allemagne et elle nous craint, mais ainsi qu'un cheval rétif, dompté par son cavalier, ne l'en sert que plus volontiers, de même la nation de Goethe et de Schiller se trouve bien sous la rude fêrule du cuirassier prussien. Là où nous passons, les têtes s'inclinent et ces mêmes

Bavarois qui semblaient les plus indépendants de tout l'empire, quatre ans après leur défaite se sont fait tuer pour nous à Bazeilles.

A ces mots un flâneur qui venait de s'arrêter non loin du groupe, s'approcha vivement de l'orateur et le salua avec familiarité ainsi que le professeur. Ce dernier le présenta au reste de la compagnie. J'appris que c'était un des peintres les plus distingués de la colonie allemande à Rome.

Sans préambules, l'artiste releva la dernière phrase du conseiller:

— Bazeilles, Excellence, c'est bien le sanglant trait d'union qui relie à jamais l'Allemagne du Sud à la Prusse. C'est en France sur les ruines fumantes des villages, à la lueur des incendies dans les villes bombardées, que fut vraiment cimentée l'alliance insoluble du Nord allemand avec le Midi. Et depuis, nous voyons s'accroître d'année en année la force de cette union. Le règne du militarisme à outrance inauguré par nous, nous enserme de plus en plus dans le cercle de fer de la défiance générale. L'étranger qui, autrefois, ne haïssait que la Prusse, craint maintenant et déteste notre Empire tout entier. On compte avec nous partout, mais on ne nous aime nulle part. Nos alliés ne le sont qu'en raison de la force de nos baïonnettes. Ici même, sur ce sol italien, et aussi en Autriche, combien trouverez vous de vrais amis, de coeurs qui nous soient réellement attachés. Nous avons fondé notre présent et notre avenir sur la loi du plus fort. Malheur à nous, s'il nous arrive jamais d'être les plus faibles.

Le peintre parlait d'un ton libre et dégagé, sans la nuance de respect qui caractérisait l'attitude du groupe entier vis-à-vis du conseiller intime. Aussi, quand il eut fini, malgré le mécontentement, visible sur tous les visages, personne n'osa lui donner la réplique. On attendait celle de son Excellence.

Mais le haut personnage, dérouté par les arguments de l'interrupteur, ne paraissait pas trouver de réponse. Il regardait au loin comme pour chercher une inspiration. Elle lui vint enfin sous la forme d'une remarque aigre-douce sur le pessimisme, défaut national, subsistant encore dans certaines âmes allemandes, malgré l'essor magnifique de la puissance impériale.

La glace était rompue et aussitôt des clameurs s'élevèrent, protestant contre les assertions du peintre.

Le professeur, pointu, s'écria :

— On voit bien que vous êtes de Munich !

Et ensuite d'un ton solennel il se mit à expliquer au peintre la théorie de la force.

— Elle est bienfaisante par son essence, elle détruit les non-valeurs et fait valoir ce qui mérite de vivre. Mais surtout elle est la grande éducatrice des hommes autant que des nations. On nous craint et on nous déteste, dites-vous, mais c'est justement ce qui ne nous permet pas de nous engourdir, de dormir sur nos lauriers. Je m'écrie à mon tour : malheur à nous, si jamais nous sommes les plus faibles. Oui, malheur et honte, car, si la France a pu supporter notre invasion, si la Rus-

sie existe, malgré une guerre malheureuse et une révolution intérieure, la Prusse sait bien que pour elle une défaite sérieuse serait tout de suite une catastrophe irréparable, une déchéance absolue, voire même un partage comme celui que nous avons inauguré il y a un siècle en Pologne. Nous n'avons pas de frontières naturelles et nous avons des ennemis partout. A l'étranger une hostilité visible de l'opinion publique se fait jour à travers les fleurs de la courtoisie diplomatique. A l'intérieur tout ceux qu'hypnotise notre puissance se tourneraient contre nous, si jamais cessait le charme qui suggestionne l'Allemagne du Hanovre jusqu'à Munich. L'autonomie des principautés de l'empire se rappellerait que les Habsbourg ont, dans le temps, été ses protecteurs légitimes, la France se souviendrait de l'Alsace et Lorraine, le Danemark de ses provinces perdues, l'Angleterre des pertes que cause à son commerce la concurrence germanique et la Russie, le grand ennemi de l'avenir, profiterait, elle aussi, de l'occasion pour s'occuper de la question slave en Prusse.

Et, brandissant en l'air son parapluie, il clama :

— Je le répète : malheur et honte, si réellement il nous arrive un jour d'être les plus faibles. Cette menace terrible, suspendue sur nos têtes, la Prusse entière la comprend et c'est précisément ce sentiment là qui nous fait croître, nous armer jusqu'aux dents et montrer un poing de fer à l'Europe respectueuse. Allez mon cher maître, votre idéalisme artistique n'est pas de ce monde. Dans la vie mo-

derne il faut dévorer ou être dévoré. Tertium non datur.

Le professeur se tut sur cet effet rhétorique et attendit la réponse du peintre, mais celui-ci se contenta de sourire doucement, comme pour marquer l'inutilité d'une discussion avec des convictions aussi arrêtées. Les autres assistants au contraire se répandirent en félicitations.

Un jeune homme encore imberbe, à la tournure d'un étudiant berlinois, s'écria :

— Béni soit le règne de la force régénératrice qui nous a menés à la domination de l'Allemagne, qui un jour nous conduira à l'empire du monde.

— Et à la paix universelle, ajouta gravement le conseiller.

Le professeur reprit :

— Quand Rome eût conquis le monde, elle lui donna la paix, pax romana. Quand l'Allemagne aura imposé ses lois à l'Europe, elle lui donnera une pax germanica, solide et durable.

— Pourquoi seulement à l'Europe, interrompit le peintre avec ironie.

— Parce que de nos jours le monde est devenu trop vaste pour former un seul empire, déclara le savant.

Et rajustant ses lunettes il soupira :

— Nous nous bornerons à gouverner le continent que nous habitons et encore faudra-t-il en laisser une partie à l'Islam, notre allié naturel. C'est pourquoi notre politique actuelle, prévoyante de l'avenir, prépare activement la résurrection du

monde mahométan. Nous sommes déjà les protecteurs attirés de la renaissance musulmane en Egypte et au Maroc, demain nous le serons en Algérie et en Tunisie.

Les algarades du savant chauviniste plaisaient manifestement au conseiller, car, se départissant de sa gravité officielle, il se frottait les mains et approuvait de la tête. Puis comme la peintre, nullement convaincu, continuait ses objections et démontrait avec logique à quel point le chauvinisme allemand est néfaste à l'empire, l'homme d'état s'interposa avec autorité.

— Laissons, dit-il, ces questions difficiles et ardues. Elles ne conviennent guère à cette jeunesse qui nous écoute. Sempre avanti a été le mot d'ordre qui a donné l'Italie à la Savoie. Qu'il soit aussi le nôtre, mais dans un sens plus vaste, digne de notre nation, la première du monde.

Et il donna le signal du départ, en s'avancant du côté de la maison de Livie. Le groupe entier le suivit non sans observer la gradation hiérarchique, innée aux Allemands. Cela se fit tout naturellement. Dans cette marche régulière et cadencée, comme celle d'un régiment en parade, le peintre se trouva à la droite du fonctionnaire. J'appris depuis qu'il était chevalier d'une décoration de haute classe. Le professeur s'avança à gauche du conseiller, j'allais dire du commandant, tandis que derrière eux, empressés et respectueux, leurs compagnons de moindre importance, marchaient en rangs serrés.

Bientôt la colonne entière disparut derrière un pan de mur, mais longtemps encore j'entendis les accents gutturaux des voix germaniques résonner sous les voûtes romaines.

PRUSSIENS ET POLONAIS

Gesta Dei per Germanos, voilà la devise que de nos jours on entend souvent en Allemagne. Quarante ans après Sadowa et Sedan, les fils de ceux qui avaient fondé l'empire se croient la nation élue destinée à imposer ses lois à l'Europe respectueuse.

Cet éloge enthousiaste de l'impérialisme prussien, on peut l'entendre de nos jours souvent en Prusse lorsqu'on y parle des affaires publiques. La forme varie selon la nature du thème, mais l'idée mère est toujours la même: *Gesta Dei per Germanos*. Il y a, certes, en Allemagne et en Prusse des esprits éclairés qu'effraie l'exubérance du chauvinisme national, mais leur sort n'est pas à envier. Accusé de lâcheté, traité ignominieusement de sans-patrie, le Prussien antichauvin se tait bientôt et préfère suivre le courant de l'opinion.

Or l'opinion se gêne de moins en moins. Des phrases qu'il y a dix ans on aurait traitées de folles, passent aujourd'hui pour de nobles appels au patriotisme national.

— Que l'Europe entière nous attaque, s'écriait l'été dernier un orateur éloquent, nous saurons lui tenir tête.

Et quelques semaines avant Algésiras, quand la guerre avec la France semblait imminente, dans les milieux chauvins, des déclarations furibondes s'épanchaient contre l'ennemi héréditaire.

— Il n'osera pas tirer l'épée, disaient les uns. Et d'autres ajoutaient: — L'Allemagne, conduite par la Prusse, ressemble à un orage qui n'a pas encore éclaté. Sombre, menaçant et terrible, il est prêt à se déchaîner et à foudroyer tous ceux qui oseraient lui résister.

On cherchait des métaphores jusque dans l'Écriture.

»Arrière, peuples de l'Europe, arrière, France malheureuse! Le jour de Dieu est venu. Déjà se lève, épouvantable et vengeresse, la bête de l'Apocalypse. Elle vomit la mitraille et la mort la précède. Arrière, arrière, fils de la race latine, faites place aux maîtres, aux Germains vainqueurs!«

Des prières s'élevaient vers le ciel, pressantes et pleines d'ardeur:

»Trois millions de guerriers se ruent sur la France, ô Christ, mettez-vous à leur tête. Déjà la Gaule est envahie, ses fils meurent sous nos coups, ses villages et ses villes brûlent ainsi que des bûchers sinistres. Le sang coule à flots et la terre elle-même gémit. Anges du ciel, soyez nos alliés, que vos épées flamboyantes exterminent l'ennemi!«

Les avertissements des sages, des gens qui savent se rappeler, n'ont point d'effet. Pourtant, ils sont quelquefois éloquents:

»Où est-tu, vieille Allemagne, patrie des poètes et des philosophes? se plaint un journal du

Sud. Ton âme est malade et ta beauté s'en va. Un souffle empoisonné a vicié l'air natal. Tes fleurs se fanent et tes chansons se taisent, car nous vivons dans une forteresse, dangereuse pour les voisins, triste à mourir pour ceux qui l'habitent«.

Mais les chauvins du Nord se moquent bien des tristesses méridionales. Et dans le Midi même, l'éclat de leur énergie brutale s'impose aux esprits serviles en une suggestion incessante. Le prestige de la force triomphe dans tout l'Empire.

I.

Il y a toutefois une exception et elle se produit là où l'on s'y attend le moins.

Un coup d'œil sur la carte ethnographique de l'Allemagne suffit pour voir qu'à l'est de Berlin, entre la capitale et la frontière russe, s'étendent de vastes espaces, habités en grande partie par une population que les Allemands qualifient d'entièrement étrangère au grand corps d'État germanique. C'est la Pologne prussienne, ce fameux Grenzland, terre de frontière, comme l'appellent si souvent les journaux berlinois.

Terre de frontière, il l'est bien, ce pays slave gouverné par des Allemands, et point ne se trompent ceux qui l'appellent ainsi. Seulement, de par sa situation géographique, il est en même temps un pays du centre, une des pierres fondamentales de l'œuvre de Frédéric le Grand et de Bismark. Car si d'un côté il regarde l'immensité de la Polo-

gne russe et de l'empire des tsars, de l'autre il s'avance jusqu'aux portes de Berlin. Les premiers villages polonais sont plus près de la résidence de Guillaume II que ne l'est Poitiers de Paris. Ce n'est pas sans malice qu'un journal tchèque disait, il y a deux ans: »Pour atteindre les premières maisons slaves, un Berlinois n'a qu'à faire quelques pas, mais pour voir les dernières, il lui faudrait pousser jusqu'à l'Océan Pacifique...« et il ajoutait: »On saisit facilement l'importance internationale de la question polonaise en Prusse«.

On la saisit encore mieux si on se représente que la Pologne prussienne surpasse en étendue la Belgique et la Hollande réunies. Au point de vue administratif, elle comprend la province de Posen, la Haute Silésie, les districts de Danzig, de Marienwerder et plusieurs cantons du district de Königsberg. Ce pays, baigné au nord par la mer Baltique et touchant au sud à l'Autriche, vaste par lui-même, sépare en outre de l'Allemagne proprement dite la partie entièrement germanisée de la Prusse orientale. Et si les publicistes allemands affirment avec autorité que de l'issue du conflit polono-prussien dépend le sort d'un quart de la monarchie prussienne, on ne peut que leur donner raison. Car conflit il y a et l'issue en est tout au moins incertaine.

Les quatre millions de Polonais qui, à côté des immigrés allemands, habitent ces contrées, sont considérés aujourd'hui par leurs maîtres prussiens comme ennemis de l'empire, étrangers à ses intérêts, hostiles à sa prospérité, et ils sont traités

en conséquence. De l'aveu même du gouvernement, leur existence ne saurait être tolérée que s'ils s'assimilent complètement à l'idée nationale allemande, et comme précisément on leur reproche de s'en éloigner de plus en plus, une germanisation radicale semble le seul moyen de les y attacher définitivement. Voyons maintenant les résultats que l'application de ce moyen a donnés jusqu'à présent et quels sont ceux qu'elle promet de donner à l'avenir.

Il y a plus d'un siècle, lors des partages de la Pologne, les Prussiens qui, de ces partages, avaient été les premiers et principaux auteurs, ne rencontrèrent que peu de résistance dans les contrées nouvellement acquises. L'antagonisme contre l'élément germanique était en principe étranger aux Polonais. Pendant des siècles d'indépendance, ils avaient même favorisé l'immigration des colons allemands, de sorte qu'au moment du premier partage, les vainqueurs trouvèrent bon nombre de leurs compatriotes établis dans les provinces qui leur étaient échues et qui, d'ailleurs, comprenaient encore une partie de la Pologne russe actuelle. L'épopée napoléonienne raviva les sentiments d'indépendance dans les pays annexés. La jeunesse polonaise combattit la Prusse côte à côte avec les soldats français, et libérée de l'invasion allemande par la création du grand-duché de Varsovie comme état indépendant, elle fut, jusqu'à la fin, fidèle à son libérateur. Mais lorsque, l'épopée finie, le Congrès de Vienne attribua définitivement à la Prusse la Pologne occidentale, les habitants de

cette dernière se soumirent docilement au joug durable qui leur était imposé.

Ce joug, du reste, promettait d'être léger. L'acte final du Congrès de Vienne assurait aux annexés «une représentation et des institutions nationales», et le traité spécial conclu, le 3 mars 1815, entre la Prusse et la Russie s'exprimait tout aussi clairement en promettant aux Polonais en Prusse «des institutions qui assurent la conservation de leur nationalité». Les hautes parties contractantes protestaient de leurs vues «bienveillantes et paternelles» à l'égard des Polonais et disaient «permettre à l'avenir et pour toujours» entre toutes les parties de l'Etat démembré «la circulation la plus illimitée de toutes les productions et produits du sol et de l'industrie». On le voit, ce n'était pas l'indépendance nationale, mais à coup sûr une existence qui devait paraître supportable à une génération fatiguée des calamités de la guerre et désireuse avant tout de la paix.

D'autres circonstances contribuaient d'ailleurs à calmer les esprits dans la Pologne prussienne. Varsovie, le centre intellectuel de la patrie polonaise, se trouvait en dehors des nouvelles acquisitions de la Prusse et celles-ci ne percevaient que de loin les échos de la vie nationale, intense et vivace dans les vastes régions soumises à la Russie. Le cabinet de Berlin pouvait se flatter d'avoir soudé à la monarchie des Hohenzollern des régions tranquilles, vivant de la vie de province, n'aspirant qu'au repos après tant de sang versé et tant d'espérances déçues.

Les souvenirs mêmes du passé n'y faisaient rien. On pensait bien dans les milieux polonais à la patrie perdue, mais on avait déjà oublié les mesures germanisatrices adoptées après les premiers partages et avant la libération passagère par Napoléon. Et comment ne les aurait-on pas oubliées? Le vainqueur, cette fois-ci, s'étudiait à faire disparaître toute défiance chez les vaincus. Sa bouche était pleine de miel et son langage gros de promesses. Justice, égalité devant la loi, respect des traditions nationales, on n'entendait que cela dans les proclamations prussiennes adressées aux Polonais. Du haut du trône, Frédéric-Guillaume déclarait à ses nouveaux sujets qu'ils avaient conservé une patrie. Et le texte du serment que devaient prêter les habitants des pays annexés confirmait les paroles royales. Les nouveaux sujets du roi juraient de considérer comme patrie les provinces de l'ancienne Pologne attribuées à la Prusse par le Congrès de Vienne.

Mais le roi ne s'en tint pas là. Il cumulait promesses sur promesses, engageait le 3 mai 1815 sa parole de souverain pour lui et pour ses successeurs, comme trois siècles avant lui, son ancêtre l'avait fait devant le roi de Pologne. Il octroyait aux Polonais l'usage de leur langue à l'égal de l'allemand dans toutes les fonctions de la vie publique, il leur accordait un gouverneur de leur race.

Et tel maître, tels serviteurs. Les commissaires royaux, chargés de la prise de possession des pays annexés, déclaraient, le 8 juin de la même année, qu'ils les considéraient comme des frères. La feuille

officielle se répandait peu de temps après en tendres protestations d'amitié envers ceux que le sort avait séparés de leurs compatriotes. »Sa Majesté, disait le journal officiel de Bromberg, considère les Polonais comme une grande famille et tient à ce que liens n'en soient pas relâchés». Mais ce qui, surtout, rendait les Polonais confiants dans le modeste avenir qui leur semblait réservé en Prusse, c'était le sentiment que l'Europe entière se portait garante des stipulations du Congrès de Vienne.

Des feuilles volantes répandaient partout la teneur des notes échangées en janvier 1815 entre lord Castlereagh et le prince de Hardenberg. Le représentant de la puissante Angleterre le prenait de haut en s'adressant au chancelier prussien. Il lui rappelait que les tentatives de germanisation mises en oeuvre par la Prusse après la première annexion n'avaient pas réussi; il l'avertissait des conséquences funestes qu'aurait la reprise du même système administratif et prédisait qu'un jour, il pourrait en résulter des dangers pour l'équilibre européen. C'est pourquoi il déclarait nécessaires des institutions libérales et polonaises appuyées sur des bases solides. Mais surtout il soulignait le caractère international de la question polonaise en parlant de l'intérêt général qui lui dictait ses remarques.

Et le ministre prussien de répondre humblement au puissant voisin, d'assurer que son roi et maître envisageait la cause polonaise dans ses Etats exactement de la même façon que le faisait le noble lord, de promettre les institutions libéra-

les exigées et d'affirmer pathétiquement que la Prusse allait prouver aux peuples conquis la possibilité du maintien de leur existence nationale, en dépit des systèmes politiques auxquels ils seraient soumis.

II.

Tel fut l'avènement de la seconde domination prussienne en Pologne. Il a paru nécessaire d'en entretenir plus longuement le lecteur, car c'est précisément l'abandon de la politique prudente et avisée d'alors qui, dans la suite, est devenue la cause des complications actuelles de jour en jour plus intéressantes pour le public européen.

En effet, nous assistons aujourd'hui à un spectacle étrange. La Prusse, à l'apogée de sa puissance, armée jusqu'aux dents, maîtresse incontestée de l'Allemagne et redoutée de ses voisins, avoue publiquement et officiellement qu'elle souffre d'un mal aigu et dangereux. Le vainqueur, bardé de fer, qui orgueilleusement prétend ne craindre que Dieu seul, le triomphateur de Sadowa et de Sedan se plaint et gémit. Une grosse épine s'est fixée dans sa poitrine; l'épine polonaise. violemment, de toutes ses forces, il cherche à la retirer, mais plus il y touche, plus elle le déchire. Et la plaie s'envenime et les remèdes coûtent de plus en plus et le triomphateur oublie ses triomphes, avouant pitoyablement son mal.

Il est vrai qu'aussitôt il se reprend, et tourné

vers l'Europe, il fait résonner son sabre, le sabre de Gravelotte. Il est vrai que le prestige de sa force est bien grand, mais l'observateur attentif, et il y en a plus de par le monde qu'on ne le pense à Berlin, constate cependant que la plaie, causée par l'épine, doit beaucoup incommoder le porteur du sabre, puisque sans craindre de causer un préjudice à son prestige, il en parle si haut et si souvent. La question polonaise est de toutes la plus importante pour la Prusse. De toutes! Le mot est risqué, mais celui qui l'a dit devrait s'y connaître: ce n'est ni plus ni moins que le prince de Bülow. Et ses collègues répètent la même chose sur tous les tons. Au dire des ministres prussiens, l'élément polonais fait des progrès inquiétants, l'avenir de la cause germanique est gravement compromis dans les provinces de l'est.

La presse gouvernementale démontre explicitement que c'est la Prusse qui se défend de l'invasion polonaise, qu'elle subit échec sur échec, la Prusse qui pourtant a vaincu la France et l'Autriche. Le chancelier s'écrie avec avertume que les enfants polonais se multiplient comme des lapins. Pas moyen de les empêcher de naître. Et tous ensemble, ministres, députés chauvinistes, journaux et sociétés patriotiques, clament à l'envi qu'il faut en finir une bonne fois avec l'insupportable question polonaise. Seulement, voulant tous la même fin, ils ne veulent pas toujours les mêmes moyens, en essayent sans cesse de nouveaux et constatent avec inquiétude qu'ils sont aujourd'hui plus éloignés du but qu'au moment du départ.

Mais outre celles qu'on avoue, il y a beaucoup de choses qu'on ne dit pas, mais qu'on sait fort bien à Berlin. Les bureaux des ministères sont loin d'ignorer l'histoire des pays annexés. Ils savent qu'à l'occupation des provinces polonaises, après le Congrès de Vienne, succéda une période des plus néfastes pour l'élément polonais. De 1815 à 1870, près de la moitié de la grande propriété polonaise passa dans des mains allemandes. Et cette noblesse qui, avec tant d'insouciance, perdait son point d'appui principal, la terre, était avec le clergé seule à représenter le sentiment national polonais. Le paysan n'en possédait que très peu et passait aux yeux des Allemands pour le plus fidèle appui de la monarchie des Hohenzollern. Une seule fois pendant cette longue période, des campagnards polonais, conduits par quelques nobles, causèrent de l'embarras au gouvernement. Ce fut en 1848 quand le vent de la révolution souffla par toute l'Allemagne et qu'on bâtissait des barricades à Berlin. Il y eut alors dans la Pologne prussienne quelques échauffourées de peu d'importance. Deux fois les paysans, armés de faux, mirent en fuite les hussards et les cuirassiers de Sa Majesté, mais les insurgés, peu nombreux et mal organisés, se dispersèrent bientôt et il y eut plus de sang versé en manière de punition de la révolte que sur les champs de bataille. La majorité du pays ne prit point part au mouvement et celui-ci ne fut, en somme, qu'un faible écho des grandes secousses, qui, alors, ébranlèrent la plupart des Etats européens. Après 1848, la Pologne prussienne resta ce

qu'elle avait été auparavant, un pays tranquille, voire même apathique au point de vue national. On raisonnait, il est vrai, et on parlait politique dans les châteaux, mais on s'endettait dans les banques allemandes. Depuis l'avènement de la Constitution, on envoyait des députés aux Corps législatifs, mais leurs discours, si éloquents qu'ils fussent, ne causaient point d'insomnies aux patriotes prussiens. Cependant, à Berlin, on en était revenu depuis longtemps des idées de fraternité et de clémence exprimées si pompeusement en 1815. Peu à peu un esprit d'intolérance s'était manifesté dans les actes du gouvernement. Une à une les libertés promises et en partie accordées, étaient abolies, la langue polonaise éliminée de la vie publique, l'achat des terres par des Allemands érigé en principe et favorisé de différentes manières.

Tout cela faisait naturellement naître du côté des Polonais une opposition prononcée, mais quand même l'idée d'une solution pacifique du conflit se manifestait de part et d'autre. Les Prussiens y mettaient encore des formes, les Polonais espéraient encore et malgré tout. Mais vint le moment où, à Berlin, on jeta ouvertement le masque. Cette date mémorable est présente aux yeux des Allemands aussi bien qu'à ceux des Polonais. L'historien distingué L. Chotkowski l'a récemment rappelée à la mémoire de ses compatriotes. Le 2 septembre 1870, la Prusse tout entière attendait fiévreusement des nouvelles de l'armée. On les attendait aussi à Posen, chef-lieu de la province polonoprusienne de ce nom.

Depuis le commencement de la guerre, les immigrés allemands, ainsi que les autorités, témoignaient envers les indigènes polonais une politesse que ceux-ci ne leur connaissaient guère auparavant. On ne savait pas!

Les premières victoires rendirent son assurance à la race des maîtres. Mais la guerre continuait et rien encore n'était sûr.

Les bureaux télégraphiques étaient assiégés, les nouvelles les plus contradictoires arrivaient de toute part. Un instant le bruit se répandit que les Français étaient vainqueurs. Et les Prussiens, avec un sourire amer, disaient aux Polonais: »Les Welches reviendront, ils connaissent le chemin de votre pays«.

Enfin la dépêche officielle dissipa les doutes. Elle fut affichée dans toute la ville. La France était écrasée, le triomphe de la Prusse énorme et définitif.

Et alors, la détente se fit. Des bandes d'Allemands se ruèrent contre les maisons polonaises en criant: »Maintenant, sus aux Polonais!« Les vitres volaient en éclats et seule la présence d'un général prussien, qui se trouvait par hasard dans une des maisons attaquées et qui fit intervenir la police, mit un terme aux désordres.

Ceci se passait en septembre. En août, sur les champs de bataille d'Alsace, les musiques militaires prussiennes avaient joué l'air national polonais aux recrues des pays annexés qu'on faisait mourir pour le roi de Prusse.

Dès lors, une ère nouvelle commença: l'ère

impériale. Dans la Pologne prussienne, elle changea complètement la face des choses. Le prince de Bismarck déclara ouvertement la guerre aux Polonais et ceux-ci, de leur côté, se réveillant de leur ancienne torpeur, se mirent enfin à se défendre plus sérieusement.

III.

Du point de vue historique, un coup d'oeil sur cette époque est bien curieux. Avec une précision mathématique, comme les poids d'une balance, d'un côté s'appesantissait la lourde main de l'administration prussienne, tandis que de l'autre montait le sentiment national des Polonais. Le principe des nationalités, cher à Napoléon III et grandissant avec l'idée démocratique en Europe, donnait là aussi ses preuves.

D'abord ce fut la persécution religieuse. Commencée bientôt après la guerre, elle sévit dans toute l'Allemagne jusqu'au jour où le chancelier, voyant renaître l'antagonisme entre le Nord protestant et le Sud catholique, se réconcilia avec Léon XIII. Mais en Pologne, les choses avaient pris une autre tournure. Là, *protestant* signifiait Prussien et *catholique*, Polonais, les fonctionnaires prussiens différaient des habitants polonais non seulement par la langue, mais aussi par la religion. La paix religieuse fut rétablie tant bien que mal mais les suites du conflit ne disparurent point comme dans le reste de l'Empire.

Le paysan s'était réveillé. Voyant ses églises fermées, ses prêtres mis en prison par les fonctionnaires allemands, il perdit les sentiments de respect vis-à-vis du pouvoir qui, jusqu'alors, l'avaient caractérisé. N'ayant été naguère que Polonais de race, il le devint de coeur et de convictions.

Et les Allemands s'ingénierent à le réveiller de plus en plus. De nombreux habitants des provinces l'Est ne possédaient point la naturalisation prussienne. De force on les expulsa au nombre de près de quarante mille. Ce furent des scènes déchirantes. De pauvres cultivateurs, des hommes qui avaient servi dans l'armée, des veuves et des enfants nés en Prusse et enregistrés dans les archives des paroisses, furent bannis du territoire de l'Empire, uniquement parce qu'ils étaient Polonais. Des ouvriers établis depuis vingt ans et mariés dans le pays durent prendre le chemin de l'exil. Ce fut une secousse terrible qui troubla profondément la tranquillité du peuple. Bientôt en vint une autre, décisive celle-là. En 1886, le gouvernement fit voter au Corps législatif, malgré les vives protestations des députés polonais et de quelques autres amis de la liberté, une première somme de cent millions de marks, destinée à l'achat des terres polonaises et à leur distribution à des colons allemands. Cette fois, l'indignation fut à son comble. On touchait à la propriété. Si jusqu'alors le gouvernement avait favorisé les colons allemands, maintenant il dépassait la mesure. Le contribuable polonais, par la plus inique de lois, était condamné à payer lui-même les impôts qui devaient servir

contre lui. L'âme paysanne était atteinte dans ses fibres les plus sensibles, dans son grand amour, son attachement pour la terre. En même temps, la noblesse, que le chancelier se flattait d'expédier à Monte-Carlo pour qu'elle y perdît les restes de sa fortune, s'organisa pour la lutte. Les pays entier restreignit ses dépenses, augmenta les sources de ses revenus. Un travail opiniâtre et acharné remplaça l'ancien laisser-aller slave et bientôt il fut visible que les brèches causées par l'or du gouvernement seraient comblées par l'énergie polonaise. Le désespoir centuplait les forces du peuple conquis.

Tel était l'état des choses dans la Pologne prussienne au moment de la mort du vieil empereur. Son fils, qui lui succéda sous le nom de Frédéric III, passait pour être imbu d'idées plus libérales, mais il ne régna que trois mois et sur le trône des Hohenzollern monta l'élève préféré du prince de Bismarck, Guillaume II. Et tout changea encore une fois pour les Polonais. Leur grand ennemi, le chancelier, congédié par celui qu'ils supposaient être son plus vif admirateur, ils virent avec étonnement le nouvel empereur revenir à la politique habile de 1815. Guillaume II n'allait pas, il est vrai, aussi loin que son bisaïeul, il ne promettait pas grand'chose et n'accordait presque rien, mais après la persécution précédente, les moindres signes de dispositions plus équitables de la part du souverain faisaient naître l'espérance dans la

malheureuse Pologne. Et quand on espère, on n'y regarde pas de si près.

La loi sur l'achat des terres n'était pas abolie, seuls des fonctionnaires allemands administraient le pays, la langue polonaise continuait à être supprimée dans la vie publique, mais le ton était changé, la pratique administrative moins chicanière, quelques leçons polonaises tolérées dans les lycées, un compatriote promu à la dignité d'archevêque de Posen. Et puis il y avait autre chose! De vagues rumeurs circulaient: une guerre avec la Russie était dans l'air. Des officiers prussiens s'informaient discrètement des chances qu'aurait, le cas donné, un appel à la vieille bravoure polonaise. Lointaine s'estompait la vision d'une couronne slave sur le front d'un prince prussien.

Ce mirage fascina-t-il un moment l'âme de Guillaume II? L'histoire nous le dira peut-être. Toujours est-il que le changement de ton vis-à-vis des Polonais correspondait à la tension de plus en plus visible entre les cabinets de Berlin et de Saint-Petersbourg. Le fruit partagé dans le temps par les voisins prenait les apparences d'une pomme de discorde. Mais en dehors de ces échos de derrière les coulisses, qui d'ailleurs n'émurent point les Polonais en Prusse, la sympathie impériale pour les opprimés d'hier semblait bien réelle. Et quoiqu'elle se manifestât plus en paroles et en relations personnelles qu'en actes décisifs, le crédit du souverain libéral auprès de ses sujets slaves augmentait à vue d'oeil. Dans les provinces annexées, on oubliait encore une fois le passé et, ne désirant que

la paix, on passait ouvertement de l'opposition au parti gouvernemental. Au Corps législatif, les députés polonais en donnèrent des preuves éclatantes. Le budget de la marine, chère à l'empereur, ne fut voté en 1891 que grâce à l'apport des voix polonaises. De même les crédits pour l'armée de terre en 1893.

Guillaume II s'était révélé un homme d'Etat très habile. D'un coup de maître, presque sans concessions de sa part, il avait reconquis les coeurs de plusieurs millions de ses sujets. La frontière de l'Est, naguère objet d'inquiétude pour les bureaucrates prussiens, se trouvait être un ferme appui de l'Empire.

Et comme nul n'ignorait que la nouvelle politique était l'oeuvre individuelle du souverain, tout le mérite et tous les succès lui en étaient attribués personnellement. Les moins perspicaces prévoyaient clairement que désormais chaque franchise accordée aux Polonais ne servirait qu'à les attacher plus fortement à celui dont la volonté allait rendre leur existence supportable.

Et pourtant dans le calcul politique du jeune souverain, il y avait une faute. Guillaume II oubliait la phalange de ceux qui étaient directement intéressés à ce que la persécution des Polonais continuât.

Ils étaient nombreux. Un demi-siècle de répression grandissante dans les provinces annexées y avait rendu nécessaire toute une caste d'employés de différents grades. Depuis l'humble poste de gendarme jusqu'aux salons des chefs de l'administra-

tion, tout était occupé par des fonctionnaires allemands.

Cette caste puissante frémit en voyant la politique impériale évoluer dans un sens nouveau. Mais elle n'était pas seule à s'en inquiéter: les immigrés allemands, les colons qui recevaient de riches subsides pécuniaires, les commerçants prussiens qui tiraient profit des fournitures officielles, tout un clan innombrable dont la raison d'être se basait uniquement sur l'antagonisme de la Prusse contre les Polonais, sentit le sol lui manquer sous les pieds.

Rien encore n'était perdu, il est vrai. L'empereur s'était attaché les Polonais sans leur concéder des avantages considérables. Mais le fait même du rétablissement de la paix entre la race dominante et la race dominée constituait un grave danger pour tous ceux que le *struggle for life* avait conduits dans les provinces de l'Est. Il faisait si bon d'y jouer au patriote prussien! Qu'adviendrait-il si l'empereur s'avisait d'accorder aux indigènes polonais des libertés plus sérieuses, s'il les appelait à participer à l'administration de leur pays, s'il trouvait en eux de quoi remplacer les services prétendus indispensables de la légion des patriotes germaniques importés de tous les coins de l'Empire? Il fallait parer au danger tant qu'il ne faisait que menacer.

Un travail sourd et opiniâtre commença. Des réunions intimes eurent lieu, des comités se formèrent, des intrigues furent mises en jeu et des journaux influents gagnés sous main. L'opinion publique en Allemagne fut sollicitée d'une manière sa-

vante et peu à peu elle se retourna contre la politique impériale.

Mais l'énergique personnalité de Guillaume II commandait des égards. Le monarque avait inauguré un changement de système pas seulement en Pologne. Dans tout l'Empire un souffle de libéralisme s'était fait ressentir, et si les amis de l'ancien régime faisaient grossir tous les jours le nombre des mécontents, par contre les mécontents d'hier se levaient partout pour acclamer le jeune souverain. La partie était difficile et pour la gagner il fallait un joueur émérite. L'opposition chauvine ne tarda pas à le trouver.

Retiré dans sa campagne de Varzin, le chancelier en disgrâce y couvrait sa rancune. En quittant Berlin, il avait murmuré : « Le roi me reverra ».

L'occasion qui se présentait était belle. Il manquait à la fronde réactionnaire un mot d'ordre sympathique aux masses. Le cri de « Sus au Polonais ! » devait agir merveilleusement sur les âmes prussiennes. Connaissant à fond le caractère de son peuple, le créateur de l'unité allemande n'hésita pas. Le 16 septembre 1894, il reçut dans son château une délégation des comités chauvins de l'Est et se mit ouvertement à la tête du mouvement.

L'effet de sa démarche se fit aussitôt sentir. De tous côtés des amis accoururent. Une série d'ovations se produisit sur différents points de l'Empire, la presse chauvine se mit à crier sur les toits que Bismarck allait sauver la patrie en danger, et partout, entre les lignes, quelquefois même

sans voiler les mots, on accusait l'empereur de compromettre la cause nationale. L'ex-chancelier avait tenu parole. Plus redoutable que jamais, il revenait à la charge en défenseur de l'idée germanique et traînait l'opinion publique à sa suite.

A Berlin, on voyait venir l'orage et on hésitait. D'un côté le dangereux prestige de Bismarck frondeur semblait isoler le souverain et affaiblir la position de la dynastie; de l'autre, les premiers succès de sa politique encourageaient le monarque à persévérer dans l'oeuvre commencée. Le vieux joueur de Varzin allait-il trouver dans son élève un partenaire de sa force?

Dans l'entourage impérial, la fronde avait des amis. De puissantes influences travaillaient contre le nouveau courant.

Et sollicité de différentes parts, adroitement influencé par ses intimes, Guillaume II se décida à battre en retraite. Il le fit à sa manière, en coup de théâtre. Sans préambules, en automne 1894, dans un discours prononcé à Thorn, il fit volte-face et la Prusse étonnée apprit un beau matin que son souverain était devenu le chef du mouvement nationaliste allemand. Bismarck triomphait. Son élève récalcitrant revenait bon gré mal gré sur le sentier battu du système d'autrefois. Dans tout l'Empire, la réaction levait la tête et les Polonais, que le chancelier détestait personnellement et qui déjà commençaient à respirer, allaient de nouveau ressentir toute la dureté du joug prussien.

Ainsi commença, il y a treize ans, la plus atroce persécution que la Pologne prussienne eût

jamais soufferte, persécution qui dure encore et ne paraît pas avoir atteint son point culminant.

IV.

Au centre de l'Europe, à mi-chemin entre Paris et Saint-Petersbourg, un drame se déroule, passionnant et terrible. Quatre millions de Slaves se défendent avec toute l'énergie du désespoir contre la formidable puissance prussienne. Des deux côtés l'enjeu est grand. Les Polonais luttent pour leur existence, la Prusse pour son prestige déjà gravement compromis dans l'Est par des fautes politiques sans nombre.

Ces fautes, on les connaît à Berlin, et ceux qui voient plus loin regrettent peut-être aujourd'hui la sage tactique abandonnée trop tôt par l'empereur. Mais *alea jacta est*. Les passions sont déchainées, les appétits excités, l'instinct de destruction et de conquête éveillé dans les masses.

Qui oserait arrêter l'avalanche? A coup sûr, pas les gouvernants d'aujourd'hui qui ont trop à faire pour étouffer les germes de mécontentement dans l'Allemagne même. Et les actes du drame se succèdent sans que l'on puisse entrevoir le dernier. Malgré la longueur du spectacle, les spectateurs ne manquent pas. Leur nombre grandit sans cesse. L'amphithéâtre s'élargit de jour en jour. Ce n'est déjà plus l'Allemagne seule, c'est l'Europe qui regarde.

Ce qu'elle voit, c'est d'abord la richesse de la

Prusse qui entre en scène. Une montagne d'or va étouffer la Pologne. La somme est grande, un milliard de francs, voté à plusieurs reprises par les Chambres. Mais voici que l'or prussien trahit ses maîtres. Les terres polonaises, admirablement cultivées, donnent des revenus grandissants et naturellement pour l'acheteur fiscal les prix montent rapidement. Les colonies fondées par le gouvernement engloutissent des sommes immenses et déjà des voix allemandes se sont fait entendre qui parlent d'un Panama prussien.

Mais le spectacle change. Puisque l'or ne suffit pas, Thémis va lui venir en aide. Voici les jurisconsultes qui apportent le code. Ils l'ouvrent à la dernière page sur laquelle en lettres sanglantes est marquée une loi inouïe. Elle met le paysan polonais qui achète un champ et veut y ériger une nouvelle habitation, à la merci des fonctionnaires prussiens. Les défenses de bâtir frappent des malheureux qui cherchent un refuge dans la terre. Comme les premiers chrétiens, il se creusent des cavernes dans les entrailles du sol. L'un d'eux a osé recouvrir son antre d'un toit et y construire une espèce de cheminée. La fumée attire les gendarmes. Le martyr va être expulsé. Mais c'est un vengeur qui surgit. Deux coups de feu retentissent et deux corps humains gisent sur le sol. Le Prussien et le Polonais sont unis par la mort.

Cependant le décor varie toujours. Voici maintenant au premier plan l'école prussienne, l'école de village, l'école des pauvres. Le pion force les enfants à parler l'allemand. Effrayés, ils obéissent...

L'école, c'est la maison du roi; dans ses murs, il faut se soumettre.

Mais la leçon allemande ne suffit pas au précepteur. Ordre est donné aux enfants de prier en allemand, des catéchismes prussiens remplacent ceux qui, hier encore, leur enseignaient la religion dans leur langue maternelle.

Et, tout à coup, les bambins se révoltent. Ce dernier outrage, ils ne le supportent pas. Une grève immense éclate. Elle est néfaste, dangereuse pour le principe d'éducation, elle effraye les Polonais avisés, mais comment l'arrêter quand les gouvernants eux-mêmes la provoquent. Cent mille enfants s'organisent, s'encouragent les uns les autres à la résistance. On les injurie, on les frappe. Des scènes horribles se passent. On voit des visages enflés, de petites mains meurtries, des dos striés de raies noires et bleues. Et des cris retentissent, déchirants, affreux, à fendre l'âme. On voudrait les faire taire. On appelle les gendarmes, la police et, sans vergogne, la presse officielle sert de tampon pour étouffer ces cris. Mais, non, ils jaillissent de toutes parts innombrables, aigus, impersonnels. C'est la terre polonaise qui crie par la voix de ses enfants. Et fatidique, cette voix immense appelle la vengeance divine, l'avènement du jour où le compte sera réglé et où justice sera faite.

A Berlin, on n'est pas content, oh! pas du tout! Car le spectacle se gâte tout à fait et la galerie qui regarde, l'opinion européenne commence à faire preuve de sentiments dont la nature ne laisse pas d'inquiéter les pédagogues prussiens. A Rome et

à Paris, à Londres et à Saint-Pétersbourg, les jeunes martyrs des écoles prussiennes deviennent vite populaires. Leurs portraits dans les magazines illustrés circulent de main en main. En Suède, on leur dédie des chansons et, chez l'ami et allié, en Autriche-Hongrie, une discussion bien nouvelle a lieu au Corps législatif. On compare la valeur de l'alliance avec le dégoût qu'inspire la persécution des Polonais. De débats comme ceux-là, il n'en faudrait pas beaucoup chez cet allié aux trois quarts slave et magyar.

Les ministres prussiens, s'ils le veulent, peuvent se faire venir des collections entières de journaux de toutes les langues et de tous les pays remplis d'articles traitant du drame sanglant en Pologne. Le nombre plus ou moins grand des feuilles étrangères que le cabinet de Berlin inspire ne suffit plus pour faire taire les sentiments d'humanité éveillés dans l'opinion publique en Europe. Et l'homme d'Etat soucieux de la bonne renommée de l'Empire, peut-il être sûr que tôt ou tard, à l'exemple de l'Autriche, des interpellations n'aient pas lieu dans d'autres parlements européens. Est-il bien sûr qu'au nom de la civilisation, au nom des droits de l'homme, nulle part des voix courageuses et indépendantes ne vont discourir de ce qui se passe au centre du continent le plus civilisé?

Il y a des mots malheureux. La Prusse officielle aime beaucoup à parler de sa culture. Ce n'est ni habile ni prudent. Car alors les autres en parlent aussi. Et pas seulement à l'étranger. Il faut entendre un Allemand du Sud, et souvent même

un Berlinois indépendant énumérer les délices qu'elle lui procure. Et tout dernièrement il y en avait un qui soupirait. »Bâissez des casernes, mangez de la choucroute et costumez-vous tous en gendarmes. Vous en avez déjà tout l'air. Mais, de grâce, ne nous parlez pas d'art, de culture, de ces choses élégantes et fines auxquelles vous ne comprenez rien«.

Ce qu'il y a de plus extraordinaire, c'est qu'en s'adressant aux Polonais, les sources officielles vantent aussi la culture prussienne. Si ce n'était tragique, ce serait vraiment réjouissant. Les chauvins berlinois se rendent compte du retentissement qu'acquiert dans le monde entier le conflit prussopolonais. Et non seulement ils ne peuvent y remédier, mais encore leur tactique les condamne-t-elle à rendre eux-mêmes leur mal intérieur plus connu et plus visible. Car ce qui, aux yeux de l'étranger devrait rester caché, doit nécessairement être rappelé à l'opinion allemande. Pour faire voter de nouvelles lois répressives contre les Polonais, les officieux berlinois ne peuvent cesser d'aviver la haine dans les coeurs allemands. Déjà, pour briser la résistance des enfants, les gendarmes prussiens en ont enlevé plusieurs à leurs parents, pour les placer dans des maisons de correction, à l'instar de petits criminels. Déjà les organes du gouvernement rappellent que, si elle ne parvient pas à faire abandonner leurs terres aux Polonais, l'autorité a le droit de recourir à l'expropriation forcée. Un journal prussien a même déclaré que vis-à-vis de l'ennemi polonais, tout est permis et qu'au lieu de forger

de nouvelles mesures contre eux, le plus simple serait de les mettre en dehors de la loi.

Tout cela est public et ne peut rester caché à l'opinion internationale. Mais de même se répandent partout les inquiétudes des oppresseurs qui se demandent avec angoisse si les nouveaux moyens suffiront là où cent ans de persécution n'ont pas suffi. Ces inquiétudes, qui ne sont pas encore des remords, se font jour à travers les exubérances de chauvinisme dont les orateurs officiels ornent leurs discours. Le Prussien le plus chauvin constate avec amertume que le principe nationaliste est une arme à deux tranchants dans un corps d'Etat à population mixte. Ils voient avec désespoir que si les mesures répressives ont rendu la vie bien dure aux Polonais, par contre elles n'ont pas empêché la question polonaise de renaître dans des contrées où elle semblait résolue définitivement. Dans plusieurs cantons du nord, mais surtout dans la partie la plus méridionale de la Pologne prussienne, en Silésie, plus d'un million d'habitants, Polonais de race, mais depuis longtemps Prussiens de coeur, affirment maintenant leurs convictions polonaises.

La Haute Silésie, séparée jadis de la Pologne et acquise à l'Allemagne par voie de succession dynastique, enlevée il y a un siècle et demi par la Prusse à l'Autriche comme pays allemand, vient aujourd'hui faire cause commune avec le reste de la patrie opprimée. Ses fils, au grand scandale des gouvernants, sa rappellent leurs origines slaves et le prouvent de plus en plus en élisant des dépu-

tès polonais au Parlement de Berlin. Cette renaissance de l'idée polonaise, là où elle paraissait ne plus exister, semble d'autant plus incommode aux Prussiens qu'elle correspond exactement au développement de la législation antipolonaise, dans les autres parties de la Pologne prussienne. Bien caractéristiques sont les mots échappés à un grand seigneur allemand qui possède des terres en Silésie :

— »Nous autres, s'écriait-il, il y a un an, dans un salon berlinois, nous sommes encore de bons Prussiens, mais nos fils, pour ne pas être en désaccord avec le peuple, seront bien forcés de chanter l'hymne national polonais«. Et il ajouta : »Les grandes familles allemandes en Bohême n'ont-elles pas abandonné la cause germanique, depuis que ce pays, si proche voisin de la Silésie, est redevenu slave?«

La loi d'expropriation forcée, mentionnée plus haut, se heurte, elle aussi, à des obstacles considérables. Premièrement elle constitue la négation la plus absolue du principe de la propriété privée, négation bien hasardeuse dans un pays miné par le collectivisme socialiste. Un gouvernement féodal frayant lui-même le chemin aux théories socialistes, voilà un spectacle digne d'attention. Mais il y a d'autres difficultés, plus immédiates, celles-là. Il serait facile de chasser de leurs terres quelques nobles, grands propriétaires, mais à quoi cela servirait-il depuis que le patriotisme polonais trouve ses plus ardents défenseurs dans le peuple? En outre, les nobles expropriés pourraient s'établir dans

d'autres terres qu'ils ne manqueraient pas d'acheter aussitôt. Pour leur rendre impossibles de nouveaux achats, il faudrait promulguer une nouvelle loi qui réserverait le droit d'acheter aux Allemands seuls, mais alors toute concurrence ayant cessé, le prix des terres baisserait considérablement au grand préjudice de la propriété foncière allemande. Bien vite l'Etat seul détiendrait la grande propriété et resterait aux prises avec une population plus hostile que jamais. Cette nouvelle mesure ne servirait donc qu'à exaspérer encore plus les masses, car la haine ne peut engendrer que de la haine.

Le noeud gordien de la question polonaise en Prusse est, on le voit, de plus en plus inextricable.

V.

Qui le tranchera? se demande-t-on de part et d'autre. Et on se rappelle l'étonnante tactique du prince de Bismarck vis-à-vis du centre allemand. Après avoir remué ciel et terre contre lui, le chancelier s'aperçut que la guerre de religion menaçait l'unité de l'Empire et, audacieusement, sans se soucier de personne, ce grand homme d'Etat protestant tourna bride et fit la paix avec Rome. Mais c'était Bismarck, le réaliste par excellence à qui jamais les moyens ne faisaient oublier le but.

— S'il était encore parmi nous, écrivait, il y a quelque temps, une feuille de l'opposition, ne le

verrions-nous pas étonner encore une fois le monde par un revirement complet dans les affaires polonaises, et ce grand ennemi des Slaves occidentaux ne deviendrait-il pas tout d'un coup leur protecteur intéressé? Mais — se plaint le même organe — la grande politique sérieuse et réfléchie ne se fait plus à Berlin. Des intrigues sans fin et un système toujours plus fantaisiste gouvernent maintenant la puissante Allemagne et la conduisent sur des chemins sombres et inconnus. La foule s'en amuse selon la maxime: Après nous le déluge!

Les Allemands qui parlent ainsi ne disent pas toute leur pensée. Ils se gardent bien d'avouer qu'outre les complications causées par sa politique dans la Pologne prussienne, le cabinet de Berlin se trouve en présence d'une autre difficulté qui concerne, elle aussi, la question polonaise, mais en dehors des frontières allemandes chez le grand voisin de l'Est. De tout temps la discorde entre les deux nations slaves les plus importantes, les Polonais et les Russes, a été dans l'intérêt de la Prusse. Cet intérêt impérieux et évident a toujours fait garder aux successeurs de Frédéric le Grand une ligne de conduite irréprochable au point de vue pratique. Constamment, depuis un siècle, des influences prussiennes ont agi en Russie contre l'idée d'un rapprochement des deux nations. L'image d'une Pologne en Russie, régénérée, guérie de ses plaies, réconciliée avec sa grande soeur slave et soutenue par elle, n'a jamais cessé d'être le cauchemar des hommes d'Etat berlinois.

Chose étonnante, autant la Prusse dans sa po-

litique intérieure vis-à-vis des Polonais commettait et commet encore faute sur faute, autant à l'extérieur, sur le terrain russo-polonais, elle n'a pas cessé de faire preuve d'une intelligence et d'une perspicacité, rares dans l'histoire politique. Et si là aussi le résultat n'est guère en rapport avec l'énergie déployée, ce n'est certes pas un manque de savoir faire du côté prussien qui en est la raison.

Pendant de longues années, l'attitude de la Russie envers ses sujets polonais répondait absolument aux vues des politiciens allemands. Les affaires des Balkans et ensuite celles de l'Extrême-Orient détournaient l'Empire des tsars du champ d'action occidental. L'alliance franco-russe, conclue en réponse à la Triplice, ne changea rien à cet état de choses. La Pologne russe, privée des libertés les plus nécessaires, attendait en vain une amélioration de son sort. Les combinaisons politiques se succédaient, les ministères changeaient, mais la question du rapprochement entre les deux grandes nations slaves ne semblait point exister pour les hommes d'Etat russes.

La Prusse triomphait et on disait aux Polonais: »Regardez ce que font les Russes. Si des Slaves tiennent si peu à vos frères, comment pouvez-vous prétendre à plus d'égards dans un Etat germanique?«

Mais vint la guerre russo-japonaise, patronnée si vivement par Berlin. On n'y doutait pas de la victoire des Russes, et la victoire, c'était l'abandon définitif de l'idée slave en Europe, c'était le com-

mencement d'une lutte mondiale contre l'Angleterre pour la conquête de l'Asie.

Et voici que les événements donnèrent tort aux prévisions allemandes. Ils mirent un terme à l'extension démesurée de la Russie vers l'Orient et replacèrent son centre de gravité en Europe. L'évolution intérieure, qui est une des suites de la guerre et que nous voyons se développer, s'est aussi fait ressentir dans la Pologne russe.

Les Polonais se sont mis à réclamer un traitement plus équitable, mais cette fois-ci des voix russes se sont élevées en leur faveur et l'idée d'un rapprochement entre les deux nations, basé sur des principes de justice, se fraye un chemin à travers les obstacles que lui opposent encore la routine chicanière et la défiance invétérée des nationalistes russes. La traditionnelle politique antislave de la Prusse se trouve avoir subi un échec assez grave, sans qu'il y ait eu de sa faute.

Au contraire, même dans ces fâcheuses occurrences, l'influence germanique en Russie n'a cessé de se montrer à la hauteur de la situation. Tout d'abord, lorsque l'évolution chez le voisin menaçait de dégénérer en une révolution, la tactique prussienne fut vraiment d'une habileté prodigieuse. Tandis qu'une grande partie de la presse allemande encourageait les manifestations les plus violentes des sujets du tsar contre le gouvernement, ce dernier était invité de Berlin à ne pas céder aux réclamations de l'opposition. Les Polonais qui, malgré tout, surent garder leur sang-froid et ne se laissèrent pas entraîner à des révoltes par l'exem-

ple de Moscou et d'autres villes russes, virent avec étonnement des feuilles allemandes exprimer l'espoir que leur énergie allait grandir. Sans leur conseiller directement une insurrection, on en laissait en Prusse percevoir la probabilité. Une vraie, bonne insurrection polonaise en Russie, quelle chance magnifique! Quels horizons nouveaux ouverts à l'ami vigilant!

En deçà des frontières prussiennes, hélas! pas moyen de compter sur un mouvement à main armée, qui simplifierait tant de choses. Pas moyen de pousser devant la bouche des canons ces Slaves obstinés, qui veulent vivre à tout prix.

Mais peut-être en Russie!

Et l'opinion en Prusse guettait le moment! On sait que ces calculs ratèrent comme les autres. Les Polonais en Russie comprirent le danger et y parèrent à temps. Sans cesser de réclamer la restitution des anciens droits, abolis depuis des générations, ils évitèrent jusqu'aux apparences de tout soulèvement armé. Tandis qu'à Moscou s'élevaient des barricades, en Pologne tous les partis nationaux se prononçaient contre l'anarchie socialiste. Aux séances de la Douma, les députés polonais se distinguèrent par leur modération et lorsque, la première Douma dissoute, l'opposition rédigea le fameux manifeste de Viborg, ils refusèrent d'y apposer leurs signatures. De son côté, le gouvernement se décida à quelques concessions bien insuffisantes, il est vrai, mais qui ne laissent pas de marquer une étape dans le rétablissement des bons rapports entre les deux principaux peu-

ples slaves. L'opinion générale, basée sur de bonnes informations de source russe très compétente, était même, qu'à Saint-Pétersbourg, en dépit de la réaction, on voulait accorder au royaume de Pologne une autonomie administrative, et que seule une menace directe de la Prusse aurait empêché l'accomplissement de cet acte décisif.

Quoi qu'il en soit, les Polonais en Russie se rendent bien compte de quel côté viennent les principaux obstacles à leurs libertés, et tout en continuant de demander ce qui leur est dû, ils espèrent l'acquiescer d'une façon légale. Ils sont des occidentaux par l'essence même de leur civilisation et de leur âme nationale. Mille liens indissolubles les relient, par dessus l'Allemagne, à la culture des peuples latins. S'il leur est donné de se développer normalement et de prospérer en paix, ils compléteront, comme un trait d'union intellectuel, l'entente qui s'accroît de nos jours entre l'occident latin et le monde slave.

Les sujets polonais de Guillaume II n'ignorent pas ce qui se passe de l'autre côté de la frontière. Trop avisés pour prêter, sous aucun rapport, ne fût-ce qu'à des soupçons de connivence avec l'étranger, fermement décidés à ne pas dépasser les strictes limites de leur résistance actuelle toute passive, ils regardent pourtant et ils réfléchissent.

Et toujours leur sort leur paraît affreux et dur à supporter. La conception d'une cohabitation pacifique avec la race germanique leur semble, grâce à la malhabile politique intérieure des Prussiens, pour longtemps irréalisable. Quarantevingt-dix ans

après le Congrès de Vienne, la Pologne prussienne est le théâtre d'une lutte continuelle. Les avertissements prophétiques de l'homme d'Etat anglais se réalisent tragiquement. Et l'ironie de l'histoire soulève la question: pour qui, en fin de compte, travaillent les ministres de Guillaume II? Est-ce bien pour le roi de Prusse?

Note de l'auteur.

L'article »Prussiens et Polonais, avant d'être inséré dans ce recueil a premièrement paru dans la »Revue«.

Dans l'intervalle entre ces deux publications il s'est produit en Russie et en Prusse des événements graves relatifs aux Polonais. Il paraît nécessaire d'en faire mention en ce lieu.

En Russie le courant polonophile semble non seulement affaibli mais bien près de tarir. Le nationalisme russe abandonne de plus en plus vis-à-vis des Polonais l'idée slave, il a restreint le nombre des députés polonais à la Douma et dans la presse le projet de céder la Pologne russe à l'Allemagne a été sérieusement discuté.

De cet état des choses si favorable pour elle la Prusse n'a pas su profiter. Elle n'a rien fait pour se concilier ses sujets polonais et agir ainsi sur l'imagination des Polonais en Russie. Pas un instant le système de répression dans la Pologne prussienne ne s'est relâché. Cependant une circonstance imprévue pour le gouvernement quoique prédite par les gens avisés vient contrecarrer ce système, du moins en ce qui concerne l'expropriation des terres polonaises. La population agricole allemande, excitée par des agitateurs, réclame l'expropriation des grands propriétaires allemands à l'égal des seigneurs polonais. La grande propriété allemande qui constitue jusqu'à présent la

caste dirigeante en Prusse se trouve d'autant plus menacée dans ses intérêts vitaux, qu'outre le socialisme agraire allemand elle se sent en face d'un ennemi futur tout aussi dangereux, l'ouvrier polonais, nombreux, indispensable et encore tranquille et discipliné, mais n'ignorant pas sa force sociale. Plus que jamais l'avenir dans la Pologne prussienne semble incertain et gros de dangers.

Le seul phénomène constant est qu'en Allemagne encore plus qu'en Russie les gouvernants font grandir, par leur système politique, la vivacité des sentiments nationaux polonais, rendent impossible tout rapprochement de la race dominée avec la race dominante et semblent être, bien malgré eux, les instruments d'une loi historique préservant et réservant pour l'avenir, à travers mille souffrances présentes l'irréductible individualité de la nation polonaise.

DER KOMMENDE TAG.

Meinen deutschen Bekannten!

Als ich Sie um die Erlaubnis bat, den Inhalt unserer Gespräche in meinen Aufsatz mit aufnehmen zu dürfen, da war Ihre Antwort: »Recht gerne, wenn dies aufklärend und helfend wirken kann«.

Nur die erste dieser Bedingungen versuche ich hier zu erfüllen.

Andere mögen belehren und bekehren, ich beobachte und stelle fest.

Im Zwielficht des kommenden Tages die Umrissse der wirkenden Kräfte zu unterscheiden und wiederzugeben, sei meine Aufgabe. Möge sie mir, wenn auch nur einigermaßen, gelingen. Allen denen aber, die mir dazu verholfen haben, schulde ich aufrichtigsten Dank.

Es war vor einem Jahre.

Im Eisenbahncoupé zwischen Nizza und Beaulieu saß, mir gegenüber, ein älterer Herr und las die Kreuzzeitung.

Er schien dabei sehr aufgeregt, murmelte halblaute, ärgerliche Bemerkungen vor sich hin, zog die Augenbrauen finster zusammen und tat wie einer, der höchst unangenehme Nachrichten erfährt.

Wir waren allein in unserem Abteil. Meinerseits hatte ich vergessen, mich mit Reiselektüre auszurüsten und so konnte ich nicht umhin, dem unruhigen Leser meine ganze Aufmerksamkeit zu widmen.

Plötzlich sprang er auf, warf die Zeitung von sich und rief im Tone höchster Erregung:

— Das ist ja rein, um aus der Haut zu fahren!

— Weshalb regen Sie sich so auf? — frug ich unwillkürlich.

Er hielt inne, schaute verwundert auf mich, setzte sich wieder in seine Ecke und sagte dann, schon etwas ruhiger:

— Verzeihen Sie, mein Herr, aber es geschehen jetzt bei uns in Preußen Dinge, daß einem wirklich die Galle überläuft.

Und er fügte hinzu:

— Uebrigens wußte ich nicht, daß Sie ein Deutscher sind.

— Das bin ich auch keineswegs — lautete meine Antwort.

Und er darauf: — Desto besser, dann merken Sie sich gefälligst, daß Sie am heutigen Tage mit einem Preußen von altem Schrot und Korn zusammengetroffen sind, der seine Ansicht über die Enteignung nicht in die Hosentasche steckt.

— Also das ist die Ursache Ihrer Aufregung — warf ich ein.

— Jawohl, jawohl — bestätigte er. — Ich würde den Tag nicht überleben, an dem man es wagen sollte, sich an meinem Besitztum zu vergreifen.

Das Gespräch fing an, mich zu interessieren. Wir machten bald Bekanntschaft. Ich hörte einen gutklingenden und mir wohlbekannten Familiennamen, dessen Träger, wie ich wußte, umfangreiche Besitzungen in Ostelbien ihr Eigen nennen.

Graf X. aber tat sehr erfreut, als er erfuhr, daß ich ein Pole, und zwar aus Posen sei.

— Das dachte ich mir gleich — sagte er — als Sie mir in so echtem Norddeutsch erklärten, Sie seien kein Deutscher.

Und er fügte hinzu:

— Sie müssen aber jetzt schön zu sprechen sein auf uns Konservative, daß wir ein so unerhörtes Projekt überhaupt aufkommen ließen. Denn daß der Gesetzentwurf nicht zum Gesetz wird, dafür sorgt schon selbstverständlich das Herrenhaus.

Gerade heute ist ja die entscheidende Abstimmung. Aber der Schaden ist bereits da. Er ist nicht mehr gutzumachen. Das preußische Abgeordnetenhaus, mit die konsequenteste gesetzgebende Körperschaft der Welt, hat sich mit der Gesetzesvorlage ernstlich befaßt, und zwar nicht, um sie zu brandmarken und für alle Zeiten unmöglich zu machen, sondern um sie anzunehmen! Ja, um sie anzunehmen! Ich glaube, ich bin nicht wach, ich träume noch. Doch nein, es ist ja wahr, gesehen habe ich es mit eigenen Augen. Eher hätte ich erwartet, den leibhaftigen Bebel als Oberpräsidenten zu erblicken.

Er sprach noch länger in diesem Tone fort, bis der Zug in Beaulieu hielt. Wir stiegen aus und verabredeten ein Rendez-vous für den Abend.

Es sollte sich recht interessant gestalten.

Mittlerweile aber ging ich nach Hause, um die Post aus der Heimat in Augenschein zu nehmen. In einem der angekommenen Briefe hieß es, in den Ansiedlungsprovinzen sei das Gerücht aufgetaucht, die Regierung wolle die Rittergüter abschaffen und alles Land unter die Bauern aufteilen. Der Schreiber des Briefes berichtete, dieses Gerücht verbreite sich unter der deutschen Bevölkerung der am meisten germanisierten westlichen und nördlichen Kreise der Provinz Posen, wo der Großgrundbesitz schon seit Jahrzehnten durchweg in deutschen Händen ist. Ein Volkslied sei schon entstanden. Das laute:

Michel sagt zu seinem Sohne:
Hol der Teufel die Barone,

Ob sie deutsch sind oder Polen,
Alle soll der Teufel holen.

Ich nahm mir vor, den Brief meinem neuen Bekannten mitzuteilen.

Dann kam der Abend und mit ihm die verabredete Stunde. Auf der Terrasse des Hotels Bristol fand ich den Grafen im eifrigen Gespräch mit noch zwei Herren. Es waren Verwandte von ihm, der eine aus Schlesien, der andere aus Mecklenburg. Beide erklärten, sie seien durch die Enteignungsvorlage in gleichem Maße beunruhigt, wie ihr Vetter. Sie hätten vorhin eine telegraphische Anfrage nach Berlin gerichtet, um das Ergebnis der Abstimmung so rasch wie möglich zu erfahren.

— Den hiesigen Zeitungen kann man ja ohnehin keinen Glauben schenken -- sagten sie — die sind immer froh, falsche Nachrichten über Preußen zu verbreiten.

Die französischen Blätter vom Tage hatten nämlich die Vermutung ausgedrückt, das Herrenhaus würde, trotz allem inneren Widerstreben, dennoch das Enteignungsgesetz annehmen.

Ich zeigte den Brief. Zu meinem nicht geringen Erstaunen erregte er bei den Herren gar kein Aufsehen. Sie meinten, es sei ganz natürlich, daß die Proletarier zugriffen, wenn ihnen so ein Köder ausgesetzt werde. Dies sei schon ein Vorspiel zu dem kommenden Drama. Ueberhaupt, wer näher dem Volksempfinden stehe, der wisse wohl, daß derartige Gelüste sich unter den Kleinbauern und Landarbeitern ganz Ostdeutschlands bemerkbar machten. Beweise und drohende Anzeichen gebe

es genug, nur sei die offizielle Berichterstattung in dieser Hinsicht wunderbar schweigsam. Um der Wahrheit die Ehre zu geben, müsse zugestanden werden, daß die Erhaltung des Großgrundbesitzes als sozialen, wirtschaftlichen und politischen Faktors in seiner jetzigen Ausdehnung und Bedeutung eine reine Machtfrage sei. Dessen sei man sich weder in der Regierung noch in der konservativen Parteileitung genug bewußt. Sonst würde man nicht so leichtsinnig mit dem Feuer spielen.

— Machtfrage ist Zeitfrage — sagte ich. Auf diese meine Worte folgte ein allgemeines langes Schweigen.

Dann ging die Unterhaltung auf das Gebiet der Statistik über. Die drei deutschen Herren, besonders der Schlesier, erwiesen sich als sehr gut informiert. Sie hielten in meiner Gegenwart eine förmliche Heerschau über die konservative Macht auf dem platten Lande ab. Heute seien die Konservativen noch am Ruder. Nicht nur in der Regierung und in der großen Politik, sondern auch im Lande selbst, im ganzen großen Reichskörper, dessen Kopf Berlin bildet. Sie seien stark und einflußreich in der Hauptstadt, weil die Macht zu Hause ihnen gehöre, in ihrer Provinz, in ihrem Kreise, in ihren Dörfern und von da aus in der Beamtenschaft und in der Armee. Dieser ganze Einfluß beruhe aber in letzter Linie ausschließlich auf der jetzigen Verteilung des Bodenbesitzes. Vor allem der adelige, dann aber auch der übrige Großgrundbesitz bilde die vorzüglichste Stütze der gegenwärtigen staatlichen und sozialen Ordnung. Aus

ihm sei die geschichtliche Entwicklung Preußens hervorgegangen. Mit ihm stehe, mit ihm falle die alte Borussia, der einzige zivilisierte Staat, in welchem neben allen Segnungen der Kultur das feudale Prinzip aufrechterhalten werde.

So sprachen die drei Herren und bekräftigten ihre Erwägungen durch Zahlenangaben, welche ich bei späterer Prüfung als keineswegs übertrieben, eher noch unter der Wirklichkeit stehend befand.

Mir war nun nie zweifelhaft gewesen, daß der Konservatismus in Deutschland mehr als in irgend einem anderen Lande Europas Grund habe, mit dem Bestehenden zufrieden zu sein und Neuerungen zu fürchten. Aber die Berechtigung dieser Furcht trat mir damals ganz besonders vor Augen, als ich die drei deutschen Kavaliers ein zusammenfassendes Bild des konservativen Machtbestandes entwickeln hörte.

Ja, die raisonnierten und mußten raisonnieren, wie Leute, die viel zu verlieren haben. Wie anders die Enteignung zu beurteilen war ich bis jetzt gewohnt!

Als einem Kulturmenschen war sie mir im höchsten Grade zuwider, aber als Nationalpole mußte ich zugeben, daß von allen Maßnahmen gegen den Polonismus die Enteignung zwar die lauteste, aber vielleicht die unwirksamste zu sein versprach. Sollte sie wirklich konsequent durchgeführt werden, sollten die paar hundert polnischen Herrenhöfe dem Staatssozialismus zum Opfer fallen, was wäre damit erreicht? Nur eines

ganz sicher, nämlich die vollständige Demokratisierung des polnischen Gemeinwesens mit allen weitgehenden politischen und sozialen Folgen eines solchen volkswirtschaftlichen Vorganges. Gewiß keine angenehme Aussicht für die enteignete Schicht, aber noch lange kein *finis Poloniae*, wohl aber die Umgestaltung der polnischen Politik auf ganz neuen Grundlagen. In dem unerquicklichen Leben, daß den Polen in Preußen beschieden ist, ein neuer Abschnitt, in der endlosen Kette der verschiedenen Prüfungen ein neues Glied — *voilà tout!* Man hat ja schon so viel erlitten, so viel ausgehalten!

In solchem Lichte war mir bisher die Enteignungsidee erschienen. Jetzt aber, während dieser polnisch-deutschen Begegnung in den Gärten der Riviera, eröffneten sich mir ganz neue Horizonte. Ich verstand auf einmal die wirkliche Bedeutung der Enteignung und erblickte den eigentlichen Kern der ganzen Frage.

Der am schlimmsten Betroffene, das war ohne Zweifel der deutsche Konservatismus. Zu gewaltig ist seine Macht, zu allumfassend sein Einfluß, als daß er nicht tiefen, bitteren Neid bei den anderen Parteien erregen sollte. Weil die Junker in Ostelbien herrschen, führen sie auch in ganz Preußen das Regiment, und weil in ganz Preußen, so auch in ganz Deutschland. Handel und Gewerbe erreichen einen ungeahnten Aufschwung, große Reichtümer häufen sich an, unter allen Staaten des Festlandes ist das germanische Imperium das mächtigste. Und siehe da, ein Wunder ist geschehen und

geschieht immerfort und will gar nicht aufhören. Dieser ganze hochmoderne Reichsmechanismus hat feudale Lenker, dient feudalen Herren. Seine soziale und wirtschaftliche Entwicklung wird von den Konservativen geleitet. Die Junker und ihre politischen Freunde bilden den mächtigsten Faktor, wenn nicht im Reichstage, so doch tatsächlich im Reiche. Im allgemeinen läßt es sich für einen Deutschen in Deutschland gut leben, aber am allerbesten doch, wenn er es mit den Junkern hält. Denn die haben den Platz an der Sonne. Ihnen gehört die Armee, die ganze obere Beamtenschaft, ihnen der Einfluß bei Hofe. In der ganzen Welt gibt es kein Land, in welchem die Konservativen eine so bevorzugte Stellung einnehmen, wie in Preußen. Die Wurzel aber, aus der die Junker ihre Macht ziehen, bildet der Großgrundbesitz, der zum großen Teil unmittelbar in ihren Händen, und wenn bürgerlich, dennoch mit ihnen prinzipiell verbündet ist. Wer den Einfluß der Konservativen, wer die Adelherrschaft in Preußen-Deutschland brechen will, der hat vor sich ein schier unüberwindliches Bollwerk — den Großgrundbesitz. Wie ein neuer Antäus findet der deutsche Konservatismus nach jedem Schlage, nach jedem Falle seine alte Kraft wieder durch Berührung des nährenden Bodens, der unermeßlichen Flächen, auf denen seine Burgen und Schlösser und seine Herrenhöfe dem gemeinen Manne seine Macht vergegenwärtigen. Darum ist der Großgrundbesitz das *noli me tangere* eines jeden echten Konservativen. Er ist das Dogma, an dem nicht gerüttelt werden darf, wenn

nicht der ganze mühsame Aufbau der gegenwärtigen bürgerlichen Ordnung ins Wanken geraten soll. Gerade deswegen ist er aber auch für viele, gar viele ein Gegenstand stillen Neides, wo nicht lauten Hasses. Und zwar durchaus nicht nur bei den Sozialisten. Wer vom Konservatismus keinen Nutzen hat, der ist ihm ein offener oder ein geheimer Feind. Allerdings sehr oft ein geheimer. Denn es offen mit dem Konservatismus zu verderben, ist heutzutage in Preußen meistens recht unbequem.

Ich gab diesen meinen Gedanken lauten Ausdruck, ohne auf Widerspruch zu stoßen. Erst als ich die Nachteile erwähnte, welche in Preußen eine oppositionelle Haltung gegenüber dem Konservatismus nach sich zieht, protestierte der Herr aus Mecklenburg und ihm schlossen sich die beiden anderen an. Sie beteuerten einstimmig, diese Nachteile wären noch zu gering und dies sei der Grund, weshalb so viel Feuer unter der Asche glimme. Herrschen könne eine Partei nur durch Energie, wenigstens auf die Dauer. Dies sei nun einmal das ewige Gesetz im sozialpolitischen Leben. Je größer die Energie, je entschiedener die Interessenvertretung, je fester das Selbstbewußtsein einer Partei sei, desto mehr habe diese Aussichten, ihren Machtbestand ungeschmälert zu behaupten. Hierin sündigten die preußischen Konservativen ganz gewaltig. Sie begnügten sich mit den ihnen zu teil werdenden positiven Vorteilen, ohne an die Nachteile zu denken, welche man dem politischen Gegner verständigerweise fühlen lassen müsse, wenn man

ihn nicht erstarken lassen wolle. So sei es gekommen, daß im neuen deutschen Reiche seit den großen Kriegen sich ganz kolossale antikonervative Kräfte angesammelt hätten, die früher oder später, aber sicher einmal zur Geltung kommen würden. Das Reich gleiche einem Kessel, dessen Wände von stahlhartem prächtigen konservativen Eisen seien. Aber inwendig siede es und koche von heißen Dämpfen und die Spannung sei schon ziemlich hoch. Hierin liege die Gefahr. Denn in dem Augenblicke, wo die Wände etwas nachlassen sollten, da ginge das Unheil sofort los. Die Maschinen hätten eben die Spannung etwas zu hoch werden lassen. Darum müsse der konservative Kesselpanzer jetzt um jeden Preis verstärkt werden. Um jeden Preis, denn es ginge ums Leben! Was aber täten die Konservativen? Sie bohrten selbst ein Loch in den Panzer. Das sei ja geradezu Selbstmord.

— Oder vielleicht die Nemesis der Geschichte — erlaubte ich mir zu bemerken.

— Mag sein, mag sein — antwortete nachdenklich der alte Graf. — Den Polen ist während der langjährigen konservativen Herrschaft in Preußen viel Unrecht geschehen. Jetzt fügt es eine sonderbare Wendung des Geschickes, daß wir selbst unser Palladium, den Bodenfeudalismus durch unseren dummen Polenkoller stürzen. Das heißt Vergeltung, Selbstvergeltung.

Der Vetter aus Schlesien sagte darauf: — Es ist immer so. Vor der französischen Revolution hat der Adel selbst alle seine Vorrechte angegriffen

und während der Revolution hat er dann freiwillig auf alles verzichtet. Daß er nachher geköpft wurde, ist ihm nur recht geschehen. Für Schwächlinge gibt es keinen Platz auf Erden.

— Und wir deutschen Konservativen sind noch größere Schwächlinge — rief der Graf — denn jene hatten kein warnendes Beispiel, wenigstens kein unmittelbares, und dazu kam noch die Not des Landes. Wir aber sind genug gewarnt. Ich erinnere mich noch ganz gut des Tages, an welchem mein seliger Herr Vater in das Kinderzimmer trat, mich siebenjährigen Buben auf die Knie nahm und mir lange erklärte, unser Majorat sei aufgehoben, wie alle anderen in Preußen. Und als er durch unser Städtchen geritten sei, da habe ihn die Straßenkanaille angeschrien und versprochen, ihn demnächst im Schlosse zu besuchen. Die Bauern aber im Dorfe seien auf den herrschaftlichen Feldern herumgegangen und hätten spekuliert, wie am besten die Aufteilung vorzunehmen sei. Zunächst freilich hätten sie sich damit begnügt, die Hirsche und Fasanen im Wildpark wegzuschießen.

Der Herr aus Mecklenburg stimmte bei: — Geköpft werden wir nicht, aber daß die Aufhebung der Majorate und die Aufteilung des Großgrundbesitzes eine sehr volkstümliche Grundlage für ein socialpolitisches Programm abgeben könnte, ist unzweifelhaft. Der vielgerühmte Konservatismus unserer Landbevölkerung reicht gerade so weit als das persönliche Interesse des Bauern. Nur der Großbauer, der schon an den Großgrundbesitzer heranreicht, ist konservativ in unserem Sinne. Die

große Masse, der Kleinbauer, Häusler, Landarbeiter, würde mit Begeisterung derjenigen politischen Gruppe folgen, die konsequent eine Neuteilung des Bodenbesitzes anstreben würde. Und glauben Sie mir, wenn nur erst der Anfang gemacht ist, wenn die eine oder die andere politische Gruppierung sich der Sache angenommen hat, dann beginnt ein förmlicher Wettstreit der Parteien in dieser Richtung. Der Bissen ist eben zu fett, als daß nicht viele anbeißen sollten. Den Einzigen aber, welche da rettend auftreten könnten, den Konservativen, wird die Hauptwaffe fehlen, nämlich das Selbstbewußtsein, die Tradition, überhaupt die moralische Kraft. Immer wieder wird vor ihnen das Gespenst eines konservativen preußischen Landtages auftauchen, welcher die gewaltsame Enteignung der Herrenhöfe zu Gunsten der Kleinbauern befürwortet und beschlossen hat. Daß die Spitze einstmals gegen die Polen gerichtet war, wird an der Tatsache ebenso wenig ändern, als die heutige Verwerfung des Enteignungsantrages durch das Herrenhaus.

Es wurde spät. Die Sonne war schon im blauen Meere untergegangen und ein kalter Schauer ging durch die Luft. Im Norden, über dem Gebirge, ballte sich schwarzes Gewölk zusammen. Es war Zeit, nach Hause zu gehen.

Doch als wir im Begriffe waren aufzubrechen, sahen wir einen Boten kommen. Er hielt ein Telegramm in der Hand.

Der Graf entriß es ihm hastig und warf einen Blick auf den Inhalt. Ich sah, daß seine Hand zit-

terte. Dann reichte er uns die Depesche hin und sagte mit feierlichem Ernst:

— Wir sind gerichtet.

II.

Ein Jahr ist seit dieser Unterredung vergangen. Ein für den deutschen Konservatismus, für die monarchische Idee verhängnisvolles Jahr. Es sind Sachen geschrieben, Worte gesagt, Erörterungen öffentlich betrieben worden, die man vorher für unmöglich gehalten hätte. Prozesse, die an jene des sinkenden französischen Königtums erinnern, wurden weiter geführt und Skandale breiter getreten, die vor zwei Jahrzehnten durch ein energisches Veto der öffentlichen Meinung und des Volkswillens unterdrückt und verschwiegen worden wären. Dem Volke wurde wie 1907 so auch 1908 täglich in Millionen von Zeitungsnummern die Verderbtheit von Hof und Adel, von Offizieren und überhaupt konservativen Kreisen vor die Augen geführt. Eine Verderbtheit, die nicht sowohl durch den Grad ihrer Schlechtigkeit im verdorbenen Europa Staunen erregt, als vielmehr durch den Erfolg, mit welchem sie von weitausschauenden und zielbewußten Regisseuren vor dem deutschen Volke auf die Bühne gebracht und monatelang von ihnen und den Zuschauern zum Nationalschauspiel erhoben wurde.

Und dann kam der zweite Akt, die Novembertage. Diesmal ging es noch höher. Auf die

Bühne zerrten die Deutschen ganz offen ihren Kaiser.

Daß dies geschehen konnte in der Weise, wie es geschah, dazu mußte eine ganze Welt von Begriffen und Gefühlen im innersten Wesen des deutschen Volkes sich verändert haben.

Denn, wohlgemerkt, im zweiten Akt wie im ersten handelte es sich um nichts Neues, um keine etwa unbekannten oder nicht schon hundertmal vorgekommenen Tatsachen. Nein, nicht der Stoff war sensationell, sondern der Mut der Regisseure, ihn der Nation zu bieten und die Lust der Nation, sich das lange und drastische Schauspiel vorführen zu lassen.

Die offen auftretenden und die verborgenen Regisseure kannten ihr Publikum. Als Vorkämpfer der zukünftigen inneren Umwälzung in Deutschland wußten sie, daß es reif geworden für die Vorstellung.

Für die nichtdeutschen Staatsbürger, welche diesem innerdeutschen Ideenkampfe passiv beizuhelfen und ihn infolgedessen objektiv beurteilen können, ergeben sich hieraus sehr lehrreiche Wahrnehmungen bezüglich der jetzt herrschenden konservativen Partei.

Sie, die im Laufe der Zeit es in Preußen-Deutschland zu einer kolossalen Machtfülle gebracht hat, ist mit dem Uebel der Uebersättigten behaftet. Für ihren fetten Leib wird die schützende Rüstung der konservativen Fundamentalprinzipien zu schwer. Ihre Bewegungsfreiheit beschränkt sich nur auf das Allernächste. Was sie unmittelbar,

heute, bedroht, das vermag sie noch abzuwehren, aber gegen die Vorboten der größeren Gefahren, der Gefahren von morgen ist sie vollkommen machtlos, auch wenn manchem Konservativen vor dem kommenden Unheil bange ist.

Ganz anders ihre Gegner. Ebenso rührig wie praktisch veranlagt, meiden sie es, ihre Hauptkraft da einzusetzen, wo die Konservativen am stärksten sind, nämlich in Geldfragen, in welchen es sich um unmittelbares Zahlen handelt, so z. B. in Steuer- und Zollangelegenheiten. Der antikonservative Bazillus, der in den meisten, auch bürgerlichen Parteibildungen existiert, begnügt sich, in den vorgenannten Fällen mäßig einzuwirken. Es wird gekämpft, viel verlangt, auch wohl etwas über den konservativen Egoismus geschimpft, aber dies alles geschieht doch mehr oder weniger *pro forma*, um den äußeren Schein zu wahren und den demokratischen Geist überall sich betätigen zu lassen. Die Eingeweihten, die Regisseure, die Ideenbilder der Linken, sind keinen Augenblick darüber im Zweifel, daß in den kleinen Tagesfragen nicht viel für sie zu erreichen ist. Um so mehr dagegen auf dem weiten Felde der öffentlichen Meinung, der Volksempfindung, der alten Ideale, wie der angeborenen Traditionen. Hier wird alle Kraft eingesetzt, die besten und schärfsten Geisteswaffen gebraucht. Um die alten junkerlichen Institutionen des feudalen Preußens wird allmählich eine neue Atmosphäre geschaffen, sie werden von einem neuen demokratischen Lichte übergossen, das ihre konservativen Fehler und Gebrechen immer greller beleuchtet.

Noch stehen die Mauern der feudalen Burg unverseht da, aber dem schauenden Volke erscheinen sie immer häßlicher, immer unzeitgemäßer. Es weht ein böser Wind um die Mauern und viele Mäuse nagen unsichtbar an den Fundamenten.

Diese vorbereitende Arbeit ist zum Teil schon fertig. Das haben die beiden letzten Jahre zur Genüge bewiesen. Es fehlt nur noch der äußere Anstoß, um die untergrabenen Mauern umzustürzen: ein unglücklicher Krieg, aber ebenso gut mitten in der Friedenszeit ein unternehmender Staatsmann, der aus einer unbequemen innerpolitischen Lage die Konsequenz einer neuen Orientierung in der Regierungssoziologie zöge. Ein Staatslenker, der sich sagen würde — ich lasse die Junker unwiderlich fallen — hätte heutzutage neun Zehntel der denkenden Geister Deutschlands für sich.

Der deutsche Gedankenhorizont ist heute ein ganz anderer, als zur Zeit der Gründung des Reiches. Fast alle Parteien, die Leute des direkten Umsturzes ebenso wie die gut bürgerlichen Demokraten und Halbdemokraten aller Religionen und Schattierungen wären bereit, ihre Ansprüche bei der Teilung der konservativen Konkursmasse anzumelden. Ja, sie müßten dazu bereit sein, um nicht überholt zu werden.

Aber dieser unternehmende Neuerer am Staatssteuer, diese dem Zeitgeiste huldigende Regierung hätte dann natürlich gegen sich das letzte Zehntel, die Junker und ihr konservatives Gefolge. Ein Kampf würde entbrennen, in welchem die bedrohten Feudalen sich endlich aufzuraffen und dem

Gegner ernstlich auf den Leib zu rücken versuchen würden.

Und so wie heute die Dinge stehen, kann man ruhig behaupten, daß, trotz allem, dieser Kampf dennoch zu Gunsten des herrschenden Zehntels ausfallen müßte. Das platte Land, die ostelbische Junkerheimat, mit ihren dreißig Millionen Morgen Großgrundbesitz, würde nicht versagen. Auf diese Macht, auf diesen Hauptpfeiler gestützt, würden auch die beiden anderen konservativen Hauptfaktoren im Staatsorganismus, nämlich das obere Beamtentum und die maßgebenden militärischen Kreise ihren Einfluß siegreich geltend machen.

Das Junkerzehntel kann, so wie es gegenwärtig ist, Schlappen erleiden, es kann von den übrigen neun Zehnteln offen oder im geheimen angefeindet werden. Eine wirkliche, prinzipielle, Niederlage kann es jetzt noch nicht erleiden. Deswegen hat sich bis jetzt kein Staatsmann gefunden, der es unternommen hätte, die politische Macht des feudalen Zehntels im modernen Deutschland endgültig zu brechen.

Die Schöpfer des kommenden Tages haben eine gewaltige Arbeit geleistet, viele Ideale umgestürzt, althergebrachte Begriffe und Empfindungen vernichtet oder in ihr Gegenteil umgewandelt. Sie haben die Volksseele verzaubert und halten sie in ihrem Banne fest. Alles, alles scheinen sie schon zu haben, nur nicht das Hauptsächliche, die Macht im Staate.

Denn festgewurzelt in Grund und Boden steht noch, wie früher, der altangesessene stolze, feu-

dale Konservatismus. Den ganzen äußeren Schein, den bisherigen Nimbus, ist es den Feinden gelungen, ihm zu rauben. Der Kern aber, das beste von ihm und die Ursache seiner Macht, der Großgrundbesitz, bleibt noch unangetastet.

Ein liberales Blatt schrieb neulich: »So lange der Feudalismus sich auf den Großgrundbesitz stützt, ist ihm auch sonst nirgends ernstlich beizukommen, weder im Offizierskorps, noch in der höheren Verwaltung, noch im diplomatischen Dienst«.

Ähnliche Aeüßerungen findet man immer öfter in liberalen Blättern. Selbstverständlich desto mehr in der sozialistischen, aber auch, wenngleich zarter ausgedrückt, in einem Teile der linksseitigen Zentrumspresse. Das Bewußtsein der Machtlosigkeit gegenüber dem Junkertum, so lange der Großgrundbesitz in Preußen-Deutschland seine führende Rolle behauptet, macht sich eben in allen Parteien, mit Ausnahme der Konservativen, mehr oder weniger geltend.

So sehen wir denn im weiten deutschen Reich ein eigenartiges Schauspiel. Vorwärts stürmt der Drang nach Neuerungen und immer wieder bricht sich die Gewalt des Ansturmes an dem ungeheuren Bollwerk des territorialen Feudalismus.

Dieser interessante Vorgang aber bildet selbst den Hintergrund für die große Sensation der deutschen Gegenwart — die gewaltsame Enteignung des Großgrundbesitzes, von der Regierung als Gesetzesvorlage eingebracht, vom Reichskanzler und den preußischen Ministern aufs wärmste empfohlen und vom konservativen Landtage ebenso wie vom kon-

servativen Herrenhause als Gesetz angenommen und festgelegt.

Wir sind gerichtet, hatte mir der altpreußische Edelmann vor Jahresfrist verzweiflungsvoll zugerufen, als er die Abstimmung des Herrenhauses erfuhr.

Mit dem Junkertum geht es bergab, sagt sich heute der dem deutschen Ideenkampfe zuschauende Beobachter. Auch der polnische!

Für ihn ist die genaue und möglichst objektive Beobachtung dieses großen Umbildungsprozesses jedenfalls wichtig. Nicht daß er an die wahrscheinliche Verschiebung der innerdeutschen Machtfaktoren irgendwelche Hoffnungen knüpfte. Ob die Nachfolger der Junker, ob die zukünftige Regierungslinke ihm gegenüber sich besser verhalten wird, kann er heute nicht wissen. Die Haltung der jetzigen Opposition in der Polenfrage gibt ihm dafür recht wenig Gewähr.

Er vertraut lieber auf die Vorsehung, der die Zukunft gehört, und auf seine eigene Kunst, sich den schwierigsten Verhältnissen anzupassen und die schlimmsten Schicksalsschläge ungebeugt, ungebrochen und ungeschwächt auszuhalten.

Aber gerade diese bitter in Preußen von ihm erlernte Kunst macht es ihm zur Pflicht, sich immer die Sachlage klar zu vergegenwärtigen und der Entwicklung der Dinge aufmerksam zu folgen nicht aber sich von den Tatsachen überrumpeln zu lassen.

In dieser Beziehung sind die letzten Monate besonders lehrreich. Wer am 17. März der Massen-

versammlung der Ansiedler in Gnesen beiwohnte, die dort gehaltenen Reden und außerdem noch Privatgespräche hörte, der weiß, wie die Ansiedler, diese der Regierung doch so nahe stehenden, von ihr direkt abhängigen und beeinflussten deutschen Bauern über den deutschen Großgrundbesitz und seine Stellung im Staate denken.

Im Gegensatz zur gesamten liberalen Presse haben die Posener Regierungsblätter die Gnesener Versammlung beinahe totgeschwiegen. Kein Wunder! Eine derartige unangenehme Ueberraschung, wie sie die Ansiedler ihren Wohltätern und Beschützern beschert haben, bringt wenig Ruhm denjenigen, welchen sie zugedacht ist. Von der konservativen Junkerregierung werden die Ansiedler förmlich verhätschelt. In der ganzen Provinz hört das Gerede nicht auf über die immer größeren Vergünstigungen, die ihnen zu teil werden. Mit Neid blickt die polnische, aber auch die altangesessene deutsche Landbevölkerung auf diese Glückskinder, für die der Staat so unendlich viel tut. Oft genug sieht man die Bewohner der anliegenden Dörfer auf die eleganten Häuser der Ansiedler kopfschüttelnd hinweisen und hört sie die wehmütig neidische Bemerkung machen.

— Ja, wir müssen drückende Steuern zahlen und immer größere Lasten tragen, damit diese da im Ueberfluß leben können.

Der Durchschnittsbauer in der Provinz Posen betrachtet den königlichen Ansiedler, wie er ihn nennt, als ein vom Schicksal besonders begünstig-

tes Wesen, für welches aus der Staatskasse ein unaufhörlicher Goldstrom fließt.

Wie dient nun, wie gehorcht der Schützling seinen junkerlichen Schutzherren? Die Gnesener Versammlung giebt darauf die beste Antwort. Der Andrang war ein gewaltiger, die Stimmung sehr, sehr lebhaft. Ansiedler Harte-Neu-Tecklenburg begeisterte die Teilnehmer durch seine Eröffnungsrede. Er ging mit voller Kraft gegen die Restgüter los. Alles solle aufgeteilt werden. Die Großgrundbesitzer suchten den ostmärkischen Bauern die Flügel zu unterbinden. Der Bund der Landwirte spiele eine zweideutige Rolle, wenn er beim Reichskanzler um die Erhaltung der Restgüter vorstellig werde.

Noch größeren Beifall erntete der Ansiedler Reinecke-Schlehen, als er erklärte, die Großgrundbesitzer hätten Furcht vor dem politischen Uebergewicht der Ansiedler und dann voll beißender Ironie ausrief:

— Wir sind nicht so unduldsam zu verlangen, daß alle Großgrundbesitzer von hier abwandern, aber aus Gerechtigkeitsprinzip muß verlangt werden, daß diejenigen Großgrundbesitzer, die sich nicht in der Ostmark aufhalten, enteignet werden, unbekümmert darum, ob sie Deutsche oder Polen sind — stürmischer, nicht enden wollender Beifall begleitete diese Worte.

Ansiedler Moritz Wilhelmsau erklärte, gleichfalls unter allgemeiner, begeisterter Zustimmung:

— Der Großgrundbesitz kann für uns nicht mehr als Führer in Betracht kommen.

Das Alles wurde in einer offiziellen Versamm-

lung vorgebracht. Was außerhalb im freien Verkehr gesagt wurde und wird, was für nichtoffizielle Betätigungen die Gefühle dieser Regierungsbauern wiedergeben und ganz besonders, was für ein Los den deutschen Rittergütern von diesen bäuerlichen Soziologen zugedacht ist, ist ja stadt- und landbekannt. Jedenfalls auch der Ansiedlungskommission, deren Zöglinge diese Bauern sind.

In dem Briefe eines mit den Posener Verhältnissen vertrauten Deutschen heißt es: »Die Gnesener Versammlung muß als eine Kundgebung gegen den Großgrundbesitz überhaupt angesehen werden, und zwar gegen den deutschen noch mehr als gegen den polnischen, schon aus dem Grunde, weil der letztere weit geringer an Umfang ist. Die Spitze der Bewegung ist gegen uns begüterte Mitglieder des Bundes der Landwirte gerichtet und nicht zum wenigsten, weil wir über politischen Einfluß verfügen. Man darf sich keiner Täuschung hingeben. Die Enteignung der polnischen Rittergüter bringt den Stein ins Rollen«.

Der Schreiber des Briefes hat Recht. Kurz nachdem die Ansiedler laut von der Enteignung deutschen Großgrundbesitzes gesprochen und ganz ausdrücklich unter stürmischem Beifall betont haben, sie machten in der Enteignungsfrage keinen Unterschied zwischen den deutschen und den polnischen Großgrundbesitzern, kurz darauf tritt der ebenfalls kerndeutsche Professor Bernhard mit dem Vorschlage auf, drei deutsche Feudalherrschaften in der Provinz Posen zu enteignen, nämlich die Besitzungen des Fürsten von Thurn und Taxis, des

Großherzogs von Sachsen-Weimar und des Herzogs von Sachsen-Koburg-Gotha.

Sehr bemerkenswert ist hierbei, daß sowohl die Bauernansiedler als auch der Nationalökonom zur Unterstützung ihrer Aufteilungsthese ein Argument anführen, welches wir in der Geschichte der Kämpfe gegen den Großgrundbesitz jedesmal wiederfinden. In Frankreich vor der großen Revolution, in Spanien vor 1820, dem Jahre der Aufhebung der Majorate, bei der gleichen Gelegenheit in Italien, in Deutschland 1848 und neuerdings in Rußland. Es ist dies der Absentismus. Da nun jedermann weiß, daß ein Inhaber von mehreren Besitzungen unmöglich auf allen gleichzeitig wohnen kann, so ist hiermit das Todesurteil über den bedeutendsten und politisch einflußreichsten Teil des deutschen Großgrundbesitzes im Prinzip ausgesprochen.

Der Vorgang ist typisch und wiederholt sich jedesmal mit einer solchen Genauigkeit, daß hier von keiner zufälligen Uebereinstimmung die Rede sein kann. Er ist eben immanent und liegt in dem Wesen der Sache. Zuerst werden immer die ganz großen Besitze angegriffen, weil hier der Angriff am leichtesten, die Verteidigung am schwersten ist. Dann kommen durch die Bresche andere Propheten und verkünden die Notwendigkeit, auch mit dem übrigen Großgrundbesitze aufzuräumen. Man findet in der einschlägigen Literatur sogar die Behauptung, daß die Vereinigung in einer Hand von hundert Morgen Acker nur ausnahmsweise und in gewissen Gegenden zulässig sei.

Die Toten reiten schnell, sagt das Gespenst in Bürgers Lenore. Das Enteignungsgespenst fliegt schnell heran, jedenfalls viel schneller, als es sich diejenigen gedacht haben mögen, welche die Verantwortung für dasselbe übernommen haben und nun die Folgen tragen müssen.

Schon sind die ersten Vorboten der volkstümlichen Bewegung da. Und sie sind echt, sie kommen aus dem Innern der deutschen Volksseele. Es sind keine Nachklänge einer künstlichen Agitation von oben, einer von den führenden Geistern der Linken ins Werk gesetzten Bewegung. Nein, es sind die direkten Wirkungen der Enteignungspolitik der konservativen Regierung, die sich hie und da fühlbar machen. Die Bewegung, ob sie in Gnesen oder wo anders sichtbar wird, kommt von unten.

Für den ernsten Beobachter liegt in der Urwüchsigkeit dieser Wirkungen, in dem Anklang, den sie noch ohne große Agitation und Paukenschlägerei bei der Landbevölkerung finden, ihre Bedeutung. Das Landvolk an sich denkt langsam und ist im Gegensatz zur Stadtbevölkerung nur solchen Ideen zugänglich, die wirklich seinem Wesen, seinem natürlichen Instinkt und seinen geheimsten Wünschen entsprechen. Hat es aber einmal so eine Idee erfaßt und ihr Ausdruck gegeben, dann läßt es nicht von ihr ab.

Der Samen der Enteignungsidee hat also bereits Wurzeln geschlagen. Er hat gezeigt, daß er lebensfähig ist und daß es eine lohnende Arbeit sein wird, diesem natürlichen Anfluge eine regelrechte künstliche Aussaat folgen zu lassen.

Den Regisseuren des kommenden Tages, den führenden Geistern der Linken muß aber bei dieser Gelegenheit das Zeugnis einer unheimlichen taktischen Befähigung ausgestellt werden. Mit feiner Charakterkenntnis haben sie richtig erkannt, daß eine allzufrühe und allzulaute Begeisterung ihrerseits für die Enteignungsidee dieser nur hätte schaden können. Als das Unglaubliche mit einem Male glaubhaft wurde, als die Konservativen selbst die Hand an ihr Hauptbollwerk legten, da mußte an die Linke die Versuchung herantreten, einen Siegesgesang anzustimmen und sofort mit aller Kraft die Selbstvernichtung des feudalen Prinzips auszunützen. Aber eben so nahe lag die Gefahr, daß dann Regierung und Konervative sich noch in elfter Stunde besinnen und allen Verfasserstolz beiseite legend, schnell und energisch Gegendampf geben würden.

Diese Gefahr drohte nicht nur während der Verhandlungen im Landtage und im Herrenhause. Auch später war sie noch vorhanden, als nach Annahme des Gesetzes sich selbst bei denjenigen Konservativen, die für dasselbe eingetreten waren, vielfach Mißmut und böse Ahnungen einstellten, die keineswegs verschwiegen wurden.

All diesem wurde durch die kluge Taktik der Linken vorgebeugt. Sozialisten, Fortschrittler und Demokraten aller Art hielten wie auf Verabredung eine gemeinsame Marschlinie ein. Sie billigten das ihnen von den Gegnern so schön zurechtgelegte Prinzip, die Enteignung als solche, aber sie verworfen die Ausnahmemaaßregel gegen die Polen.

Ihre Opposition war jedenfalls sehr schlau. Sie beschränkte sich auf ein Moment, welches nur wenig wirken konnte, nämlich das ethische.

Diese weise Zurückhaltung der intellektuellen Linken dauert noch an. Denn noch haben sich die Konservativen nicht genug ingerannt. Noch hat die praktische Ausführung der Enteignung nicht begonnen. Noch zaudert man und überlegt in Regierungskreisen, durch die spontanen Offenbarungen der Volksstimmung, wie in Gnesen, mißtrauisch gemacht. Noch ist der Augenblick nicht gekommen, wo eine ganze Anzahl enteigneter Herrenhöfe ein *fait accompli* bilden werden und dann Wahlparolen erschallen, nach welchen vom Rhein bis Königsberg der deutschnationale Boden unter die deutschnationalen Bauern zu verteilen sei. Noch ist der Zeitpunkt nicht da, wo man mit solchen gehörig reklamierten Wahlparolen wird gegen die konservative Wahlagitation auftreten können.

Aber, was noch nicht da ist, das kommt doch, und zwar bald. Wenn nicht alles trügt, so haben weder Regierung noch Konservative Mut und Energie genug, um auf dem gefährlichen Wege wirklich einzuhalten. Es ist auch gar nicht mehr leicht. Ein Bismarck konnte sich drehen und wenden, wie er wollte, auch nach Canossa gehen. Die Epigonen von heute können es nicht, so sehr auch vielleicht manche von ihnen es möchten. Trotz allem inneren Unbehagen werden sie die abschüssige Bahn, die sie einmal betreten haben, weiter gehen müssen.

Der letzte, entscheidende Abschnitt des Kam-

pfer um das neue, demokratische Deutschland hat begonnen. Mit dieser Tatsache hat ein Realpolitiker zu rechnen, vor allem der polnische, dem es bei dem fortwährenden Ringen um die Existenz seiner Nation ganz besonders daran gelegen sein muß, sich immer richtig und im voraus über die Vorgänge und Strömungen im deutschen Lager zu orientieren.

Zwar wird der polnische Großgrundbesitzer enteignet, aber deswegen verschwindet er doch nicht vom Erdboden, auch nicht von Preußen. Im Gegenteil, jetzt mehr denn je rechnet er es sich zur Ehrenpflicht an, in dem Staate zu bleiben, der sich so eingehend mit ihm beschäftigt.

Vor allem aber bleiben die etwa vier Millionen polnischer Bevölkerung, welche jetzt die Enteignung perhorreszieren, an die aber nach Beseitigung der paar hundert polnischen Rittergutsbesitzer höchst wahrscheinlich die Versuchung herantreten wird, ihr bisheriges Verhältnis zum Großgrundbesitz einer Revision zu unterziehen. Diese Versuchung entdeckt der kritische Forscher auf dem politischen Gebiete sogar schon jetzt. Es sind erst ihre Anfänge, aber vielversprechende. Die Quelle der Versuchung scheint doppelt zu sein. Erstens dürfte die Enteignungsaffaire bei dem polnischen Landarbeiter auf deutschen Gütern gar viele neue Gedanken geweckt haben, sodann muß man auch Anregungen von deutsch-demokratischer Seite in Betracht ziehen.

So schreibt z. B. der Warschauer »Dzień« in einem Artikel über Oberschlesien unter anderem folgendes: »In Oberschlesien beginnt ein ganz neues und höchwichtiges Moment eine Rolle zu spielen,

nämlich die Enteignungstheorie. Wundersam fürwahr ist der Lauf der Dinge. Vor einem Jahre haben die preußischen Konservativen, stolz und ohne für die Zukunft zu fürchten, dem Enteignungsgesetze für Posen und Westpreußen zugestimmt. Heute ist die Lage so, daß die deutschen Magnaten viel für die Anullierung des vorjährigen antipolnischen Vorstoßes geben würden. Es erweist sich eben die Enteignung als ein zweischneidiges Schwert. Die preußische Regierung kann damit gegen die polnischen Großgrundbesitzer wirken, aber ebenso das erweckte Gespenst des Landhüngers gegen die germanischen Barone. In der ganzen Welt verteidigen die konservativen Parteien mit größtem Eifer die individuellen Besitzrechte. Im adeligen, erkonservativen Preußen ist das Gegenteil geschehen. So stellen sich auch die Folgen einer solchen Politik ein. Im Posenschen, trotzdem man noch nicht angefangen hat, die polnischen Großgrundbesitzer zu enteignen, verlangen schon die deutschen Ansiedler, daß man auch die deutschen Herren enteigne. Da aber der deutsche Großgrundbesitz viel bedeutender ist als der polnische, so ist diese Wendung in der Stimmung der breiten Volksmassen der Regierung sehr unangenehm und versetzt sie in eine recht ungemütliche Lage.

Der Artikel bespricht dann die Forderungen der schon angesiedelten deutschen Bauern und sagt hierauf, am interessantesten jedoch entwickle sich die Enteignungstheorie in Schlesien. Dort sei der Großgrundbesitz fast ausschließlich deutsch, dort umfassten die ungeheuren Latifundien deutscher

Magnaten ganze Kreise, dort wachse auch immer stärker die Ueberzeugung, daß die Enteignung im Posenschen große und allgemeine Kundgebungen gegen den schlesischen Großgrundbesitz zeitigen werde. Die deutschen Sozialisten bereiteten sich still aber eifrig vor und warteten nur, bis die Regierung ihre Enteignungstätigkeit in der Nachbarprovinz begonnen habe. Unter der polnischen Bevölkerung aber, die ja sonst gar nicht sozialistisch gestimmt sei, höre man immer öfter sagen, es gebe keinen Grund, untätig zu bleiben, wenn das deutsche Volk eine rührige Agitation gegen die schlesischen Magnaten ins Werk setze und Versammlungen veranstalte. Diese Stimmung unserer Häusler und Landarbeiter sei den deutschen Führern wohlbekannt. Deswegen verbreiteten sie auch das Schlagwort, daß in der Enteignungsfrage die Bauern und Landarbeiter beider Nationalitäten gegen die preußischen Junker gemeinsam vorgehen sollen. Einstweilen sei ja diese ganze Agitation noch nicht organisiert, aber es dächten schon daran diejenigen, welche die unbegreiflichen Fehler der Regierungspolitik für ihre Zwecke ausnützen wollten. Wer Wind säe, der ernte Sturm. Dieses Sprichwort passe heute für die Konservativen, welche für die Enteignung gestimmt haben. Die deutsche Linke aller Schattierungen wünsche heiß den Fall der konservativen Junkerherrschaft. Aber sie sei bis jetzt zu schwach. Die Enteignung ändere die Sachlage, sie eröffne die Möglichkeit, die territoriale Macht der feudalen Herren zu erschüttern, in den Grenzprovinzen jedoch mit gemischter Bevölkerung nur wenn die

Polen mithelfen. Tragikomisch aber sei dabei, daß die Regierungsbehörden, denen diese Agitation gut bekannt sei, ihr gegenüber vollständig ratlos seien. Habe ja doch der Reichskanzler in Person die Enteignung befürwortet. —

Wie dem auch sein wird, jedenfalls verbleibt in den beiden jetzigen Ansiedlungsprovinzen Posen und Westpreußen auch nach Beseitigung der polnischen Herrenhöfe eine gewaltige Masse von Großgrundbesitz. Allein der deutsche Adel besitzt dort etwa zwei Millionen preußische Morgen! Die drei Mitglieder des deutschen Hochadels, die Professor Bernhard zur Enteignung in erster Linie vorschlägt, haben in der Provinz Posen einen Bodenbesitz von sechs Quadratmeilen.

Sehr bemerkenswert sind ferner die Bodenverhältnisse in Schlesien. Vor allem fällt dort die große Zahl und die gewaltige Ausdehnung der Majorate auf. Es sind ihrer 178 und sie nehmen den siebenten Teil des ganzen Landes ein. Ueberhaupt ist der Adelsbesitz in Schlesien ganz enorm. Die Familie Hohenlohe hat in dieser einen Provinz 400.000 Morgen, der Fürst Pleß 200.000 Morgen, etwa ebensoviel die Familie Henkel-Donnersmarck und nicht viel weniger die Grafen Schaffgotsch. Je 100.000 Morgen besitzen der König von Sachsen, Fürst Solms, Graf Arnim-Muskau, der Herzog von Sagan. Je 60—80.000 Graf Tiele-Winkler, Prinz Biron von Kurland, Fürst Carolath und der Herzog von Trachenberg, um nur die allergrößten zu erwähnen. Der Großgrundbesitz ganzer Kreise gehört in Schlesien oft nur zwei oder drei Personen, so z. B. im

Kreise Kattowitz, wo es außer den Aktiengesellschaften, die nur kleine Besitzungen auf der Erdoberfläche haben, überhaupt drei Großgrundbesitze gibt, die des Herzogs von Ujest, des Grafen Tiele-Winkler und der Grafen von Henkel.

Darüber kann man nun schon hie und da Interessantes hören. Ein Industrieller aus Breslau mußte neulich auf dem Bahnhof in Oels längere Zeit warten und wohnte der laut geführten Unterhaltung mehrerer, anscheinend aus der Umgegend stammenden deutschen Bauern bei. Die guten Leute besprachen die schöne Zukunft, wo alles Land den Landleuten gehören würde, zweifelten keinen Augenblick daran, daß die Enteignung vom benachbarten Posen auch nach Schlesien herüberkommen müßte und sagten, in der Umgegend von Oels biete sich wegen der vielen großen Güter eine wunderschöne Gelegenheit, die Aufteilung zu probieren. Sie erwähnten mehrere Güter, darunter die des Königs von Sachsen und die der Grafen von der Recke-Volmerstein und von Reichenbach-Goschütz.

Wenn die Enteignungsagitation erst im Gange ist, dann wird unzweifelhaft auch der Umstand eine Rolle spielen, welchen schon der frühere schlesische Landrat, später Posener Oberpräsident v. Bitter in seinen Berichten an die Regierung hervorhebt, nämlich daß in Oberschlesien Latifundienwirtschaft und Zwergwirtschaft unmittelbar und natürlich zusammentreffen. Neben den riesigen Majoraten ist der übrigbleibende geringe Teil des Bodens einer immer größeren Zersplitterung unterworfen.

In einer Volkszeitung heißt es darüber: »Der eine sieht seine Güter nicht, weil sie zu groß, der andere auch nicht, weil sie zu klein sind und seine Hütte das ganze Grundstück bedeckt. Der eine mißt seinen Besitz nach Quadratmeilen, der andere nach Quadratmetern«. Diese Klagen der Gegenwart sind bloß eine Fortsetzung der früheren. Schon 1858 sehen wir die Volkssoziologen es betauern, daß in dem Regierungsbezirk Oppeln die Zahl der Zwergwirtschaften unter fünf Morgen dreißigtausend betrage. Zwanzig Jahre später sieht die Sache noch bunter aus und die Erörterungen sind noch pessimistischer. Meistens durch fortgesetzte Teilung hat sich die schon so große Zahl verdoppelt und ist auf sechzigtausend gestiegen. Im Kreise Pleß vermehrt sich in demselben kurzen Zeitraum die Zahl dieser Miniaturbesitzer von 1383 auf 3491. Das Lied von der Landnot ist in Schlesien wahrlich nicht neu.

Aehnliche Klagen stellen wir in Anhalt, aber auch in verschiedenen preußischen Regierungsbezirken fest. Ueberall aber, in ganz Ostelbien sehen wir im sozialen wie im ökonomischen Leben eine ausgesprochene Vorherrschaft des Großgrundbesitzes und in diesem des Adels.

Oefters ärgert sich im »Berliner Tageblatt« der Herr Oberst Gädke in seinen so talentvoll und so giftig geschriebenen Artikeln über die Bevorzugung des Adels im Heere. Der nichtdeutsche Beobachter findet beides natürlich, sowohl das zähe Festhalten des deutschen Adels an seiner ererbten und erdienten Vorherrschaft in seiner Armee, wie auch den heftigen Aerger, den darüber die Demo-

kraten empfinden. Das gleiche läßt sich sagen von den Preßangriffen gegen die tatsächliche Erbllichkeit der Landratsämter in einzelnen Adelsfamilien und die Bevorzugung des Adels in der gesamten höheren Beamtenschaft. Auch hier erscheint das Festhalten einerseits ebenso logisch, wie die Begehrlichkeit andererseits.

Sicher aber ist, daß alle Artikel des demokratischen Obersten und seiner freisinnigen Kollegen von der Feder Hiebe in die Luft sein werden, so in Ostelbien der Adel weit über zwanzig Millionen preußische Morgen besitzt, so lange bei einem Diner von 20 Personen eine halbe Million Hektar vertreten sein kann. Das ist Einfluß, das ist reeller als der ganze Zeitungsliberalismus, das ist wahre, wirkliche Macht. Während sonst bei dem intellektuellen Deutschland die konservative Partei immer mehr abwirtschaftet, ist ihre Kraft, was den Bodenfeudalismus betrifft, immer noch im Steigen.

Den besten Beweis davon liefern die Majorate. Es gibt ihrer in Preußen etwa zwölfhundert und sie umfassen neun Millionen Morgen. Das war aber nicht immer so. Im alten vorkonstitutionellen Preußen gab es wohl Majorate genug, etwa ein halbes Tausend. Sie spielten jedoch keine allzu-große Rolle als konservativer Machtfaktor. Die Herrschaft des Konservatismus im Staate war eben unbestritten.

Dann kam die Märzrevolution. Die Demokratie von 1848 haßte durchweg den Großgrundbesitz, und schon ganz besonders dessen Hochburgen, die Majorate. Gegen diese führte sie einen

gewaltigen Schlag. Aufgehoben und in freies Eigentum verwandelt wurden alle Fideikomnisse vom einfachen ritterschaftlichen bis zum hochfürstlichen. Unter den Bauern herrschte darüber helle Freude. Schon bildeten sie sich ein, bald komme die Aufteilung der Herrschaften. Das war vor sechzig Jahren. Es gibt noch in Preußen Leute, die das mitangesehen haben.

Doch währte dieser Zustand nur kurz. Nach 4 Jahren, 1852, waren die Majorate wiederhergestellt. Und nun begann in der konservativen Partei eine eigenartige Bewegung. Nach der glücklich überstandenen Gefahr galt es, den Großgrundbesitz noch zu verstärken. Als eines der besten Mittel erkannte man richtig die Anlegung von Majoraten.

Die Frucht dieser Erkenntnis ist wirklich großartig. In dem kurzen Zeitraum der letzten 60 Jahre sind auf jetzt preußischem Gebiete 628 Majorate neugegründet worden, d. h. mehr als in der ganzen vorhergehenden Zeit seit dem Ausgange des Mittelalters.

Zwiefach ist die Bewegung im deutschen Gemeinwesen und immer größer wird der Gegensatz. Einerseits wächst der demokratische Gedanke in allen seinen Formen, andererseits vermehren sich von Jahr zu Jahr die aristokratischen Majorate. Große und kleine Flächen werden gebunden. Auch bürgerliche Grundbesitzer legen Fideikomnisse an. Allerdings werden sie dann meistens geadelt. Die amtliche preußische Statistik vom Jahre 1905 zieht schon im voraus in Betracht das weitere An-

wachsen der Fideikomnisse auf den ungeheuren Bestand von vierzehn Millionen Morgen.

Vom konservativen Standpunkt ist das eine kluge und voraussiehende Politik. Dem Demokraten aber steigt das Blut zum Kopfe!

In der Zeitschrift des preußischen statistischen Amtes gibt es eine sonderbare Tafel. Auf ihr sind zu sehen, blutrot gefärbt, alle Fideikomnisse in Preußen. Je mehr Fideikomnisse, desto rötlicher sieht die Gegend aus. Ganz dunkelrot, wie wenn Blut auf das Papier gegossen wäre, das Land der Zwergwirtschaften und der Grandseigneurs, der Landflucht und der Kohlenbarone, das interessanteste Gebiet der nationalen und sozialen Probleme — Oberschlesien!

Dort gibt es Gegenden, wo Großgrundbesitz und Majoratsbesitz sich fast decken, wo ein Stück schlechten Bodens auch nicht um sein Goldgewicht zu erwerben wäre. Das Majorat ist eben stark, ist fest, es verträgt schwache Inhaber und auch das Zähnefletschen des landlosen Volkes ringsherum, das mit Kind und Kegel seit Jahren massenhaft in die Städte zieht. Es ist, wie Freiherr von Tschammer und Osten im Herrenhause sagte, ein Kontrakt des Stifters mit dem Staate auf »unabsehbare Zeiten«.

Kein Wunder, wenn die Bewohner solcher Gegenden die Köpfe zusammensteckten und sich die außerordentliche Nachricht zuraunten, in Berlin habe man jetzt ein Mittel gefunden, um den hochgräflichen und durchlauchtigen Majoraten den

Garaus zu machen. Erstreckt sich doch das Enteignungsgesetz auch auf den gebundenen Besitz.

Kein Wunder auch, wenn in manchem Schlosse, in mancher romantischen Burg die Klagen des vorgeantanten Freiherrn böse Erinnerungen wecken und Besorgnisse, daß der Staat, der schon einmal den Majoraten gegenüber so total kontraktbrüchig sich erwiesen habe, es nicht zum zweiten Male werde.

Jedenfalls ist die Fideikommisfrage keine lokale. In ganz Preußen bilden die Majorate den Rückgrat des Großgrundbesitzes, stützen den Adel und festigen den konservativen Einfluß. Von den 577 Kreisen der Monarchie haben nur 147 keine Fideikommission, darunter die 22 Stadtkreise.

Die Statistik wird von der Regierung und größtenteils von konservativen Nationalökonomien gemacht. Aber sie kann auch den anderen dienen. Wenn z. B. der königliche Regierungsassessor Kurt Freiherr von Reibnitz in seinem Buche über die Fideikommission von der Landflucht spricht und feststellt, daß in 15 östlichen Kreisen mit mehr als einem Fünftel gebundener Fläche sich die Abwanderung in den Jahren 1875—1900 auf 33% der mittleren Bevölkerung bemaß, dann läßt sich wohl dieselbe Feststellung auf einem Bauerntage oder in einer sozialdemokratischen Versammlung ganz anders und jedenfalls sehr interessant beleuchten.

Wenn Freiherr von der Goltz in seiner Abhandlung über die Latifundien von der Schwächung der finanziellen Leistungsfähigkeit des Volkes und dem Klassenkampfe spricht, wenn er die Zeiten erwähnt, wo in Deutschland jeder freie

Mann Grundbesitzer war, wenn er die modernen Zustände in Württemberg berührt, wo im Gegensatz zu Ostelbien mehr als vier Fünftel des Bodens den Bauern gehören, dann dürfte es nicht schwer fallen, dasselbe Thema noch viel ausgiebiger zu behandeln und daraus Schlüsse zu ziehen, die dem freiherrlichen Soziologen durchaus fern lagen.

Ueberhaupt, wenn einmal die Enteignungsagitation im Gange ist, wenn die denkenden Führer der Linken die Zeit für gekommen erachten, mit ihren geistigen Waffen den demokratischen Heerbann zu bewehren, dann wird die offizielle und halb-offizielle Statistik und Nationalökonomie Dienste leisten müssen, die sie heut nicht ahnt.

Wie leicht läßt sich der vorerwähnte Vorschlag Professor Bernhards erweitern, die Posener Güter des Fürsten von Thurn und Taxis, des Großherzogs von Weimar und des Herzogs von Sachsen-Koburg-Gotha wegen Absentismus zu enteignen. Man braucht nur auf die Angaben Dr. Conrads zurückzugreifen, nach welchen von der Gesamtzahl der Großgrundbesitze 43 Prozent vom Besitzer nicht bewohnt werden.

Oder die bedeutsamen Worte, die Professor Schmoller im Herrenhause während der Enteignungsdebatte gesagt hat! Was läßt sich nicht alles aus ihnen herausfolgern. Der berühmte Nationalökonom sagte, indem er die Enteignung als solche verteidigte: »Bei jedem Eingriff ins Eigentum handelt es sich um zweierlei, um die Größe des Zwecks und um die Größe des Objekts«. Dieses

»jedem« ist unbezahlbar. Es versinnbildlicht eine Weltanschauung, der Eingriffe ins Eigentum geläufig sind«.

Aber es kann Versammlungen geben, in denen sich kein Mensch an solchen Worten stößt. Im Gegenteil. Von der Dorftribüne herab ertönt das Losungswort: »Groß ist der Zweck, das Land den Landleuten, und groß das Objekt, so groß und so schön wie Deutschland. Ebenso groß sei also unser Eifer, es zu erreichen. Und wenn der gelehrte Professor zugegen wäre und erklärte, er hätte es nicht so gemeint, wie nett würde sich da das Wissen desjenigen ausnehmen, der Herrn Schmoller auf dessen eigene, beredte Worte hinwies, mit welchen er in früheren Jahren Süddeutschland pries, wo der kleine Grundbesitz und der kleine landwirtschaftliche Betrieb vorwalten, wo zahlreiche Dörfer statt ansehnlicher Rittergüter existieren, wo sich arm und reich nicht unvermittelt gegenüberstehen.

Zweifellos ließen sich auch in eine Agitationsrede die Ausführungen solcher Soziologen hinein flechten wie Sering oder Miaskowski, z. B. die ergreifende Geschichte von dem Egoismus der Feudalen, die nach der Schlacht bei Jena allen Rittergutsbesitzern der Kurmark die Wohltat eines fünfjährigen Moratoriums zuteil werden ließen, den Bauern aber, den armen Bauern, die ebenso unter der Kriegsnot litten, keinen Heller. Daß trotzdem zwanzig Jahre später die Rittergüter der Kurmark zu drei Viertel, die Bauerngüter nur zu einem

Drittel ihres Wertes verschuldet waren, das brauchte der Volksredner ja nicht hinzuzufügen.

Als ein sehr ergiebiges Spezialthema wird sicher die soziale Erscheinung der Landflucht betrachtet werden, ebenso gründliche demokratische Erörterungen der bis jetzt vorwiegend vom konservativen Standpunkt beleuchteten Frage, in wie weit der Großgrundbesitz wirtschaftlich berechtigt ist. Vergleiche des Volkswohlstandes zwischen einzelnen Teilen des Deutschen Reiches, z. B. zwischen Mecklenburg und der Rheinprovinz, werden solchen Erörterungen noch höheren Reiz verleihen. Alles in allem gibt es wohl gegenwärtig wenig sozialpolitische Fragen, die talentvollen und begeisterten Rednern, Schriftstellern und Agitatoren so prächtige Gelegenheit geben könnten, ihren Eifer zu betätigen, wie die Neuordnung des Bodenbesitzes in Deutschland. Zweierlei muß da den Handelnden packen: die Größe des Zwecks und die Größe des Objekts.

Unter den vielen mehr oder weniger grauen und abgeleierten sozialpolitischen Tagesthemen tritt die Bodenfrage mächtig und hinreißend hervor. Sie ist älter als alle anderen, jetzt aber durch das Enteignungsgesetz verjüngt und lebendig. Auch erweiterungsfähig ist sie und dehnbar in hohem Grade. Im Osten ist sie akut, aber auch im Westen interessant. Die flammenden Worte Liebknechts gegen die großen Wirtschaften ertönten ja nicht in Ostelbien, sondern in der Hessischen Kammer. Denn was ist Großgrundbesitz? Der eine läßt ihn bei hundert, der andere bei fünfzig Hektar

anfangen. Ein dritter noch niedriger, je nach der Gegend. Und dementsprechend steigt auch die Aufteilungsgelegenheit ins Unendliche.

Es wäre ein arger Irrtum, sich der Hoffnung hinzugeben, daß die vielen triftigen Gründe, die für die Erhaltung des Großgrundbesitzes vom wirtschaftlichen Standpunkt aus sprechen, die Tätigkeit der Agitatoren erschweren würden.

Sie werden einfach ignoriert.

Es genügt auf das hinzuweisen, was die deutschen radikalen Blätter neulich über die Besitztümer des Herzogs von Arenberg und über die Rittergüter in den schlesischen Kreisen Breslau und Trebnitz vorgebracht haben.

Die Bewegung kann, ja sie muß außer der direkten Besitzfrage auch noch andere Formen annehmen. Ganz besonders dürfte der Umschwung in den Gemütern, welchen die Enteignungstheorie verursacht, in der nächsten Zukunft eine starke Wirkung auf die Lohn-, Dienst- und Arbeitsverhältnisse auf dem Lande ausüben. Ein gut Teil der gegenwärtigen sozialen Ordnung auf dem Lande beruht ja auf dem Gefühl der Dienenden und Arbeitenden, daß die Rittergüter nun einmal sozusagen von Gottes Gnaden da sind und sein müssen.

Von nun ab ist die Sache anders. Ein neuer Zug geht durch die Gemüter. Die bisherige Theorie, daß der Großbesitz sehr hohe Löhne nicht aushalten könne, findet kein Verständnis mehr in der Masse. Es heißt von nun an — ihr braucht ja gar nicht auszuhalten. Diese Meinung macht sich jetzt

schon im Einzelnen fühlbar. Vielfach klagen Großgrundbesitzer aus der Provinz Posen, der Ton und das ganze Gebahren der Landarbeiter werde in letzter Zeit ganz anders. Solche Klagen sind mir unter anderem aus den Kreisen Obornik und Lissa mitgeteilt worden. Ein Gutbesitzer aus dem Regierungsbezirk Bromberg, mit dem ich darüber sprach, bestätigte mir diese Erfahrungen und fügte hinzu:

— Noch sind die Interessen der Landbevölkerung normal, d. h. vielseitig, doch nur allzubald dürften sie sich immer einseitiger gestalten, immer mehr soziale Färbung annehmen.

In letzter Stunde wird mir noch folgender charakteristischer Vorgang mitgeteilt:

Ende März dieses Jahres, etwa eine Woche nach der Gnesener Ansiedlerversammlung fand auf dem Rittergute C. im Kreise Gostyn ein Termin zwecks parzellenweiser Verpachtung von Außenschlägen statt. Als die Interessenten sich über den Pachtpreis nicht einigen konnten, erhob sich bäuerlicherseits die Drohung, der Rittergutsbesitzer möge nicht so viele Umstände machen, da die Enteignung doch bald kommen und der ganze Grund und Boden den Bauern zur Verfügung stehen würde.

Die Gnesener Märzversammlung war echt und deswegen interessant. Eine Gegendemonstration in Szene zu setzen wird wohl versucht werden. Aber alle Vertuschungsmanöver, alle künstlich hervorgerufenen Aufführungen und Erklärungen, werden, wie die Potemkinschen Dörfer nur diejenigen täu-

schen, die getäuscht sein wollen. Allerdings dürfte es auch solche geben ¹⁾).

Das Enteignungsgesetz hat eine gewaltige Frage, die der Neuordnung des Bodenbesitzes in Deutschland aufgerollt.

Von seinen Urhebern gegen die polnischen Großgrundbesitzer gerichtet, wächst es in seinen Folgen weit über den ursprünglichen engen Rahmen hinaus. Im Gebirge, wo Schneemassen lagern, wird ein geworfener Stein zur Lawine.

Daß der Absturz aufgehalten werden könnte, ist wenig glaubhaft. Vielmehr ist zu gewärtigen, daß jetzt der Kampf um das letzte und stärkste Bollwerk des deutschen Konservatismus, um die Bodenherrschaft beginnt, und daß die Konservativen sich in diesem Kampfe selber so ziemlich wehrlos gemacht haben. Bei der Bedeutung aber, die der Konservatismus in Preußen-Deutschland hat, bei seiner innigen Verknüpfung mit der Geschichte und dem Wesen des preußischen Staates muß sein Fall unabsehbare Folgen nach sich

¹⁾ Anmerkung des Verfassers:

Der Aufsatz — der kommende Tag — ist zuerst als selbständige Broschüre gedruckt worden. Bis zu seiner Aufnahme in vorliegendes Buch haben sich die Verhältnisse weiter zugespitzt. Der antifeudale Bauernbund ist gegründet und der Kampf gegen die politische und soziale Vorherrschaft des Großgrundbesitzes wird nunmehr deutscherseits systematisch organisiert.

ziehen. Ein Wendepunkt ist erreicht. Es beginnt eine Umwertung aller Werte. Wir befinden uns am Abschluß einer alten, am Anfange einer neuen Periode in der Entwicklungsgeschichte Preußen-Deutschlands. Die neue demokratische Germania steht vor der Tür.

Diesen Umbildungsprozeß möglichst scharf zu beobachten, ist für alle Bewohner des deutschen Staates wichtig, am notwendigsten vielleicht für die Polen, welche es den deutschen Konservativen doch nicht nachmachen wollen und auf eine weitere Existenz ganz und gar nicht verzichten.

An sie treten jetzt neue Gefahren, neue Schwierigkeiten heran, deren sie, unverzagt wie bisher, gewärtig sein müssen: nach der hakatistischen Scilla die sozialistische Charybdis.



22062

TREŚĆ.

	Str.
Słowo wstępne	1
Geneńczyk w Poznaniu	13
Rachunek sumienia	55
Sen hakatysty	79
Dzieci poznańskie	109
Światło kresowe	125
Mankietnicy w Poznaniu	141
O podział w zyskach	151
Jak Polacy krytykują	161
Roman Szymański	171
Realizm zachodniopolski	179
Z roli poznańskiej	193
Propos allemands	229
Prussiens et Polonais	243
Der kommende Tag	281
